

1

Z NOWYM ROKIEM NOWA SZATA GRAFICZNA  
I NOWE STAŁE POZYCJE

# POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

STYCZEŃ 1988

CENA 95 Z



N<sup>o</sup> 2435







ANNA GWIAZDA

Bez tytułu; rysunek piórkiem (1984)



**P**rzez pewien czas w ogóle nie wychodziła na ulicę. Gdy jednak minął 3-miesięczny okres zwolnienia lekarskiego, poszła, jak gdyby nie się nie wydarzyło, do pracy w kartuskiej Ubezpieczalni Społecznej. Znajdowała się ona dokładnie naprzeciwko Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zdarzyło się listonoszowi zanieść omyłkowo anonimowe listy nadesłane na drugi z adresów pod pierwszy. Co zrobiła z tymi listami? Spaliła je. Kiedy to było? W początkach lat pięćdziesiątych. Czy była wzywana? Tak, kilka razy. Miano do niej pretensję o to, że „się nie ujawniła”.

— A więc teraz, z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, gdy liczę sobie 85 lat, postanowiłam się przed panem ujawnić...

Pani Maria wydobywa z szuflady w stole rozmaite dokumenty, świadectwa, krzyże. Nie, Krzyża Kawalerskiego nie posiada. Za to może mi pokazać wynik swego egzaminu końcowego z języka polskiego sprzed sześćdziesięciu kilku lat. Z dyktanda, z wypracowania, z egzaminu ustnego same oceny bardzo dobre. Miało to później pewne znaczenie przy formowaniu się polskich urzędów po nastaniu Niepodległej w jej rodzinnych Kartuzach...

# UJAWNIE PANI MARII

Ryszard Ciemiński

**P**ierwsze dni lutego 1920 roku. W Kartuzach organizuje się życie publiczne. Rodzi się polska administracja państwowa. W gabinecie dopiero co mianowanego pana starosty ruch niewielki. Emil Sobiecki, do niedawna adwokat, gwałtownie szuka ludzi do obsadzenia rozmaitych urzędowych stanowisk i godności. Wakuje także funkcja osobistej sekretarki starosty.

Dowiaduje się o tym doktor teologii, wcale wzięty kaszubski poeta Leon Heyke. Na kursie nauczycielskim w kartuskiej szkole, tej za pruskich czasów zbudowanej, czerwoną dachówką krytej, ocieźiałej, solennej, ma on dziewczynę, dobrze ułożoną, umiejącą po polsku pisać i czytać, osiemnastoletnią Marię Szymichowską. Pochodzi z podkartuskiego Mezowa i jest córką aktywnego członka cechu stolarzy, zakrystiana z poklasztornej kościoła — Szczepana Szymichowskiego, gorącego polskiego patrioty.

Protekcja okazuje się wielce skuteczna. Na Marię, niebawem pełnoletnią, czeka praca w starostwie. W werandowo przeszklonej willi na rogu obecnych ulic Kościuszki i 1 (niegdyś 3) Maja.

Miedzy gabinetem starosty a sekretariatem był pokój, którego znaczną część wypełniała okazała szafogablota, po brzegi załadowana rozmaitymi cudownościami kaszubskimi. Ilekroć przezeń przechodziła, wzrok jej niezmiennie zatrzymywał się na złocistej naciąg haftowanym kobiecym czepcu. Wokół zaś piętrzyły się wazony, misy z kartuskiego ceramicznego warsztatu rodziny Meissnerów, słynnych już hen przed wojną, a także necelowskie z nieodległego od Kartuz Chmielnia. Szklana szafa stała w tym miejscu jeszcze za pruskich czasów.

Krzepły, umacniały się polskie struktury admini-

stracyjne. Zawiązał się wydział powiatowy. Pan starosta, „poznanińczyk” z urodzenia, kierował zarówno jednym, jak i drugim urzędem.

Jej obowiązki... Pan starosta wzywał do siebie. Po czym dyktował, ona zaś pisała. Potem przepisywała na maszynie.

Elegancja starosty. Jego szyk. Jego okazały wzrost. Binokle nadawały mu wygląd intelektualisty.

Wcześniej nasamprzód byli z Sobieckim we dwójkę. Potem zaś doszedł jeszcze Gliński na funkcję sekretarza powiatowego.

Ze starostwa przechodzi potem pani Maria do pracy w Ubezpieczalni Społecznej. W tym czasie — co w detalach pamięta — doszło do sporu w kręgach kartuskich lekarzy. Zdarzyło się, iż dr Aleksander Majkowski — jeszcze wówczas nie był autorem klasycznej kaszubskiej powieści „Życie i przygody Remusa” — powiedział publicznie, że powątpiewa w fakt posiadania dyplomu przez dr. Neymanta, pediatrę. Dr Neymand złożył więc pozew w sądzie przeciwko dr. Majkowskiemu z oskarżenia o zniesławienie. A pamiętać trzeba, iż naówczas lecznictwo podlegało właśnie Ubezpieczalni Społecznej. Poszczególni lekarze właśnie w niej odbierali swe honoraria. Jako więc, że był tą porą wolny wybór lekarzy, istniała znaczna pomiędzy ludźmi tej profesji konkurencja. — Zresztą to jest zrozumiałe — dorzuci pani Maria.

Odbyla się sesja wyjazdowa sądu w Wejherowie. W charakterze świadka wystąpiła w niej pracownica Ubezpieczalni Społecznej w Kartuzach Maria Szymichowska. W kluczowym momencie rozprawy dr Neymand sięga po dyplom, przedkłada go sądowi. Dyplom, okazuje się, opiewa na nazwisko Samuel Zuckermann.

— Dr Neymand, w przeciwieństwie do Majkowskiego, był wysokim, przystojnym mężczyzną. Bardzo grzeczny, kulturalny. Wcale na Żyda nie wyglądał — powie po latach pani Maria. Wolnomularzem miał być, jak się dość powszechnie w mieście mówiło. Ile jednak w tym było prawdy, tylko on mógłby zaświadczyć. Żona doktora była Niemką, ponoć mieszkała na wyspie Rugii.

Lata trzydzieste. Maria Szymichowska przenosi się do Wejherowa, co oznacza dla niej wcale znaczny awans w zawodowej hierarchii. W tym mieście z kalwarią „w herbie” mieści się bowiem Ubezpieczalnia Społeczna jakby wyższą rangą od tej kartuskiej. Tu ją zastaje wybuch wojny.

W ubezpieczalni mieści się punkt sanitarny PCK. Maria zgłasza się na ochotnika, jako pielęgniarka. Napływają pierwsi ranni. Cywile — ludzie starsi, kobiety i dzieci. Wieczorem nadchodzi rozkaz udania się na front w rejon Nanie — dzielnicy Wejherowa — i zameldowania się u porucznika Dąbrowskiego, lekarza improwizowanego pociągu sanitarnego.

Wraz z koleżanką z miejsca pracy Haliną Filipowską przedzierają się nocą, pod silnym artyleryjskim ostrzałem, na miejsce postoju pociągu. Mijają kolumny uciekinierów. Drogi zapchane są wozami załadowanymi dobytkiem. Czym kto miał pod ręką i uznał za stosowne zabrać z sobą. Widzi Maria ludzi pędzonych przed siebie strachem, w stronę niewiadomego, na oślep, byle dalej.

— Sanitariuszka potrzebna na front dla naszych junaków — dochodzi ją wołanie jakiegoś podoficera. Zgłasza się. Mija pociąg pancerny. Nazwie go sobie „Kaszub” choć tak naprawdę zwał się „Smok kaszubski”. Naloty nań odbywały się jeden za drugim. Stoi teraz unieruchomiony, porzucony. Ostrzał z powietrza i z lądu jest silny. Szosą już się iść nie da. Więc rowami, na czworakach.

I gdy wydaje się, że już są u celu tej drogi, przychodzi rozkaz: wycofać się!

— A my gdzie? — pytają obie dziewczyny.

— Idziecie z nami, pod Redę.

Zamieszanie wszędzie olbrzymie. Zapada wieczór. Jakiś wojskowy samochód się napatoczył, zabiera je ze sobą.

W bok od drogi ranny żołnierz woła o pomoc. Wyśiadają. Filipowska chwytą apteczną torbę i rusza w stronę, skąd głos ten dochodził.

Gubią się. Maria podąża za wojskiem. W Redzie jest postój. Lokują się u Skawskich. W domu jest



miło, przytulnie. Kłopot tylko w tym, że nie posiada już apteczki. Co robić?

— Pani będzie obsługiwać działko — decyduje porucznik Paradny, jeden z tych chłopców z wojennych dróg, sprężysty, zdecydowany, nie poddający się choćby przez krótką chwilę zmęczeniu.

Donosi więc Paradnemu amunicję, ten ładuje. Po iluś tam godzinach oboje głuchną i obojętnieją na kolejne wystrzały.

Przychodzi oficer...

— Zdobyliśmy wóz z amunicją, trzeba go sprowadzić z linii frontu. Kto się zgłasza?

Żołnierze nie ruszają się z miejsca. Oficer nie namyślając się wyciąga pistolet z kabury.

— Kto pójdzie?

— Ja pójdę! — sanitariuszka wstała ze swojego miejsca.

Zaniemówił. Odezwał się spod ściany Paradny:

— Ja też idę!

We dwojkę poszli w stronę, skąd prowadzono ostrzał Redy. A taka była jasność od tych wybuchów... Leczą, że niezbyt było daleko, rychło doszli na miejsce.

Jeszcze tylko most na rzece zewsząd ostrzeliwany. Blisko wozu stoi oficer, pilnuje frontowego majątku.

— Dobrze, że jesteście. Wejdźcie na wóz.

Paradny wskakuje z miejsca. Oficer wyciąga rękę, by pomóc drugiej osobie.

— Toż to jest kobieta! — krzyczy. — Flintenweib, czy pani wie, co to u Niemców znaczy? Z miejsca panią zastrzela.

Artyleria nie ustaje. Konie ześlizgują się.

— Ukryć się w zarośla!

Maria biegnie pod niedodległą szopę. Po drodze przewraca się o coś miękkiego. Czuje tylko, że to się rusza. Ale ciemności takie... Potężny bernardyn przeżony tym wszystkim przywarł do ziemi. Ona do niego. Z rana strzelanina ucichła. Podnosi się z ziemi, nikogo wokół nie zauważa. Tylko w oddali krząta się jakieś wojsko.

— Pójdę z powrotem do Skawskich — myśli sobie.

A w domu już są wszyscy. Jest też i Paradny. Powinna nieco odpocząć. Gospodyni wskazuje pokój z łóżkiem. Zasypia.

Rano budzi się, taka cisza. Jeszcze wokół szarówka. Nadchodzi córka Skawskich...

— Co się stało?

— Wojsko odmaszerowało.

— A mnie zostawiło?

— Już hitlerowcy nadchodzą.

— Gdzie wojsko, w jakim poszło kierunku?

Pytania, mnóstwo pytań. Tylko na niektóre z nich można dać odpowiedź.

Idziemy, idziemy... Wtem z krzaków wyjeżdża oficer na koniu.

— Nasze wojsko, batalion morski!

— W imię ojca i syna, pani Mario, skąd się pani tu wzięła? — pyta major Skubik z morskiego batalionu. Znali się, gdyż przebywali u tej samej gospodyni. — Chłopcy, zorganizujcie coś do jedzenia!

Wojsko w mig rozpalilo ogień. Znalazli się chleb, kiełbasa.

— Pani Mario, źle z nami. Jest taka przewaga Niemców... — Twarz majora wyrażała niepokój i determinację zarazem. — Ja w niewolę niemiecką nie pójdę. Zobaczymy się na moim pogrzebie. — Zdążył jeszcze tylko powiedzieć, że w miejscowości Wielki Kazimierz na Kępie Oksywskiej znajduje się izba chorych, w której pracuje osamotniony doktor Dobrowolski. — Pani wie, pani Mario, ten co nas szkolili. Jest sam, nie ma żadnej pomocy. Niech go pani wspomóż.

Chorągiew ze znakiem Czerwonego Krzyża. W progu wita ją uradowany doktor Dobrowolski. Przynoszą mu taką masę rannych, że już nie daje sobie rady.

Maria bierze się za bandażowanie. Rany, krew, wszystko to robi na niej wrażenie tylko z początku. Napatoczą się dwie dziewczyny — jedną jest Dąbrowska z Wielkiego Kazimierza, druga o nazwisku Gregor. Też pomagają w opatrunkach.

Trwa odwożenie cięższych rannych w stronę Babiego Dołu.

Wóz drabiniasty. We trzy asekurowają rannych. Od-

stawiają ich na miejsce. Chcą wrócić do doktora Dobrowolskiego. To przecież tylko kawalek, całkiem niedaleko stąd. Nie można, nie sposób. Kazimierz już zajęty. Front jest całkiem blisko.

Wieczór. W oddali mający klasztor sióstr franciszkanek, położony nad samym brzegiem morza. Proszą o nocleg.

— Rano pójdziemy sobie dalej — mówią widząc kierowane w ich stronę niechętnie spojrzenia.

— To wy się nie wstydzicie z wojskiem chodzić? — słyszą.

Gregor ma na głowie czapkę oficerską po ciężko rannym w głowę poruczniku. Ten na moment przed śmiercią prosił, by czapkę posłać jego rodzicom. Teraz ta czapka świadczy przeciwko trójce kobiet. Przełożona z ociąganiem wskazuje pokój z łózkami czysto, jak to w klasztorach bywa, pocleczonymi.

A rano bombardowanie swe zaczął pancernik „Schleswig-Holstein”. Futryny klasztornych okien wylatywały z traskiem. Szyby wypadały z hukiem. Obrazy o świętej tematyce spadały ze ścian. Tej kanonady kierowanej w stronę Oksywia nie wytrzymały też drzwi.

Siostrzyczki podnoszą lament, truchleją. Do klasztornej kaplicy przychodzi ksiądz odprawić mszę świętą.

— Przygotujmy się, dziewczyny — zadysponowała Maria — idziemy do spowiedzi.

Gdy to siostry zobaczyły, stały się dla nich o wiele miłsze.

Z klasztoru udają się w stronę Gdyni, która wciąż jeszcze się broni. Tam Maria otrzymuje kolejny przydział — do jednego z gdyńskich szpitali. Będzie w nim pracować aż do zajęcia miasta przez Niemców.

W październiku trafia do domu gdyńskiego sędziego — Władysława Kiedrowskiego, w momencie gdy sędzia, zwolniony przez wachmana z więzienia pod przysięgą, po raz ostatni widzi się ze swymi dziećmi, dwójką ledwo od ziemi odrosłych chłopców — Jerzykiem oraz Wojtkiem (po latach wyrosną z nich energiczni działacze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego).

Obaj chłopcy z miejsca opadają ojca.

— Tatusiu, tatusiu — przekrzykują jeden drugiego — pobawisz się z nami w klocki?

Sędzia Kiedrowski siada na podłodze. Ustawiają w trójkę rozmaite budowle. Lecz, że robi się już późno, dzieci rychło przy tej zabawie zasypiają.

I wówczas brat sędziego, Stanisław, wraz ze szwagierką zaczynają namawiać cudem ocalałego, wydaje im się, z gestapo mężczyznę, by jednak nie powracał do więzienia. Jest już uszykowana kryjówka, mówią, przeczekaj w niej najtrudniejszy dla siebie okres.

— Przecież ja dałem słowo honoru, że wrócę... — mówi sędzia Kiedrowski w odpowiedzi na te nalegania. — Jeszcze nie zdarzyło się, ażebym złamał daną komu obietnicę.

Wrócił do więzienia, skąd jego droga, już ostatnia, wiodła wprost na skraj Puszczy Darżlubskiej, do Piaśnicy...

pracę wcale nie jest łatwo, a przecież Maria ją znajduje. Majątek nazywa się Borcz i leży nie opodal Żukowa. Zarządza nim Niemiec o nazwisku Albert Höhne, potomek rodziny gdańskich patrycjuszów z Bierstrasse, czyli ulicy Piwnej, na której od wiek wieków posiadali wykwinną kamienicę, tzw. Höhnehaus. W Borczu zaś zawiaduje majątkiem wraz z pałacem i zabudowaniami gospodarczymi. Tu mieszkają zarządca oraz inni urzędnicy zatrudnieni w Beamtenhausie. Wśród nich księgowa Maria Szymichowska, leśniczy, kierowca. Nadto zaś jeszcze gorzelany Albin Sulewski.

Maria często teraz bywa w niedodległych Kartuzach. Tutaj — w jedynym ocalałym eremie klasztoru Kartuzów — mieszkają rodzice. Tutaj poznaje niejakiego Miąskowskiego zatrudnionego u esesmana Kąkła w roli krawca. Od niego dowiaduje się, iż jego dwaj bracia posiadają w Przodkowie, we wsi o dziesięć kilometrów odległej od Kartuz, stację nadawczą.

Nawiązuje z nimi współpracę. Kilka razy wiezie im do Kartuz w koperce wiadomości o dyslokacji niemieckich wojsk. Mieszkaniec Skarszewa Żuław-



skiego, Skrzypkowski, wkładał Marii kopertę do torebki. Höhne, niezmiennie elegancki, woził ją dorożką na stację kolejową, kupował bilet pierwszej klasy, przez co znajdowała się podczas krótkiej podróży do Kartuz w wyłącznie niemieckim, nadto w przeważnie mundurowym, towarzystwie.

Oby mnie tylko w trakcie jazdy nie zaczepiali — niemal modliła się sama do siebie.

Raz już była na krawędzi... Opuuszczając pociąg w Kartuzach zapomniała zabrać z siedzenia torebkę.

— Gnädige Frau, Sie haben ihre Tasche vergessen... — zakrzyknął za nią niemiecki oficer.

Zmartwiała. Spłoniona, czego ukryć nie była w stanie, cofnęła się, ażeby odebrać z rąk Niemca torebkę z zawartością planów niemieckich umocnień oraz rozmieszczenia wojsk.

Aż stało się: bracia Miąskowscy zostali aresztowani i straceni. Nie ujawnili jej nazwiska. Ocalała. Choć jej kontakt z podziemiem urwał się, wydawało się wtedy w sposób nieodwołalny.

I wówczas dochodzi do następnego spotkania. Klemens Wicki jest absolwentem gimnazjum w Kartuzach, gdzie swego czasu był aktywnym harcerzem. Ma już za sobą obronę Wybrzeża. W stopniu oficera walczył na przedpolach Gdyni. Dostał się do niewoli. Przeniesiony do obozu w Toruniu rychło nawiązał kontakt z ruchem oporu. W sobie tylko wiadomy sposób ucieka z obozu. Wciąga się w podziemną działalność. Materiały wywiadowcze przekazuje Przygodzkiemu z Gdyni. Poprzez niego nawiązuje kontakt z łącznikiem z Warszawy.

Wicki wywodzi się z bardzo na Kaszubach rozgałęzionej rodziny. Klemens jest kontrolerem mleczności krów na obszarze całego Pomorza od Gdańska po Szczecin. To właśnie jemu Maria zwierzyła się, że jeszcze do niedawna działała w konspiracji. Lecz ludzie, z którymi współpracowała, już nie żyją. Odczuwa potrzebę pracy dla kraju, czy więc może on mógłby jej dopomóc w nawiązaniu zerwanej łączności. Zwłaszcza, iż w borskim majątku pracuje gorzelany, Albin Sulewski, brat zatrudnionego w „Hydrierwerke” w Pölitz, po naszymu Policach, niedaleko Szczecina Alfonsa Sulewskiego. Powiada otóż ten Sulewski, że cała ta fabryka jest usytuowana pod ziemią i że produkuje ona, bagatela, benzynę syntetyczną dla potrzeb niemieckiego lotnictwa. Nawet pytał ją pewnego razu, czy aby nie zna kogoś, komu plany tych zakładów mogłyby w czymś być potrzebne...

I tak się zaczęło. Okazało się bowiem, że funkcja kontrolera obór i mleczności krów była znakomitą przykrywką — wymagała znacznej operatywności — dla roboty wywiadowczej na rzecz aliantów. Robotę tę prowadził Polski Związek Wojskowy, zwany później „Jaszczurczym”.

Były więc informacje, z miejsca przekazywane do Londynu, o ruchach jednostek w porcie wojennym Kilonia. Był, nie zrealizowany, zamiar ułokowania w lasach nie opodal Boczka tajnej radiostacji nadawczej. Była stała łączność utrzymywana pomiędzy „grupą pomorską” — Klemens Wicki był jednym z jej głównych ogniw — a „grupą warszawską”.

I była udana próba wykradzenia planów wraz ze skalą, oryginalnych szkiców „Hydrierwerke” Pölitz. Droga ich wędrówki arcyprosta. Od Sulewskiego przy okazji odwiedzin brata w Boczku do Szymichowskiej. Od niej zaś, gdy przybył tu po raz kolejny w celu kontroli mleczności krów Klemens Wicki, poprzez centralę w Warszawie wprost do Londynu.

Gdy przez radio usłyszała o alianckim nalocie na

Pölitz i doszczętnym zbombardowaniu zakładów benzyny syntetycznej, bez uszkodzenia choćby znajdujących się w sąsiedztwie baraków polskich robotników — Maria wiedziała, co ma o tym myśleć.

Tymczasem Sulewski już się anonsował z wiadomościami dotyczącymi osławionych wyrzutni rakietowych pocisków V-1 i V-2 w Peenemünde na wyspie Usedom, czyli Uznam. Do przekazywania tych, jakże cennych materiałów, już jednak nie doszło. Po wyspie w stolicy dochodzi do niemal równoczesnej dekonspiracji grup „pomorskiej” i „warszawskiej”.

W planach zaś Klemensa Wickiego było jeszcze wykrycie kwatery głównej Adolfa Hitlera w Prusach Wschodnich. Maria dotarła już do inspektora, zatrudnionego właśnie na tamym terenie. Wicki miał już jechać w odwiedzin do niego, gdy...

W czerwcu 1942 roku Przygodzki idzie na umówione spotkanie w jednej z gdyńskich restauracji. Kellner Kunikowski ostrzega Przygodzkiego, że w lokalu znajduje się kilku gestapowców. Jednak Przygodzki bagatelizuje to ostrzeżenie. Łącznik, okaże się, był przez cały czas śledzony. Kompromitujące notatki obaj mają przy sobie. Aresztowania objęły wówczas około 40 osób.

Szło na godzinę drugą, gdy rozległo się pukanie do drzwi pokoju, w którym spała.

— Kto tam? — spytała.

— Petlenko.

Petlenko, wywodzący się z białogwardyjskiej rodziny, był w majątku nocnym stróżem.

— Co się stało?

— Tu są dwaj panowie, którzy chcą czegoś od pani. Ozwał się ich głos...

— Wir sind aus der Polizei. Wir wollen Sie um etwas fragen.

Otworzyła drzwi. Weszli w tych swoich błyszczących płaszczach z podniesionymi kołnierzami.

— Geheimpolizei. Zna pani Wickiego, Sulewskiego? — strzelali nazwiskami jak pociskami.

— Znam, oczywiście — odpowiedziała zgodnie z prawdą. — Pierwszy przyjeżdżał tutaj dla kontroli krów i obór, drugi zaś jest w Boczku gorzelanym.

— Proszę się ubrać, dokonamy rewizji.

Szperając po regale z książkami spostrzegli „Na tropach Smętka” Wańkowicza.

— Już za fakt posiadania tej książki powinniśmy panią aresztować!

Włożyła na siebie najładniejszą z sukienek, jakie posiadała.

— Nie szkoda pani tej sukni? — spytał jeden z nich. — Ma pani rodziców?

— Mam.

— Już ich pani więcej nie ujrzy.

Rewolwer przytknęli jej do płeców. Gdy zaś wsiała do gestapowskiego samochodu, który, jak się okazało, miał powieźć ją do Gdańska, kątem oka spostrzegła gorzelanego z Boczka, którego wyprowadzano z rękami uniesionymi ku górze.

Albina Sulewskiego uratuje swymi zeznaniami złożonymi na jego korzyść. Pamiętała przecież przestrach człowieka, który nieraz powtarzał w obecności brata: „Ja nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego!” Już po pierwszym przesłuchaniu w gdańskim gestapo wyszedł więc na wolność. W trakcie przesłuchań Niemcy śmiali się z jego płócienych spodni, oglądali fałdy, kpiąc sobie ze swoistej ich zdaniem elegancji gorzelanego. Któż wie, może i wygląd jego spodni dopomógł mu w wyjściu na wolność? (cdn.)

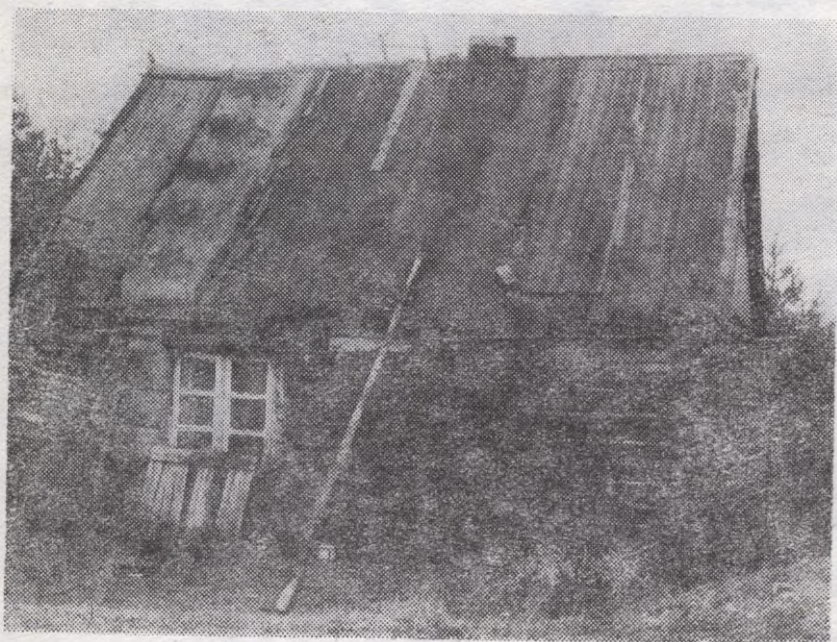
## 25 lat „Pomeranii”



# Ostatnia rzeźba



Mariusz  
Kuleta



Woda w aluminiowym garnku jest już zimna. Kobieta rzuca pod blachę piecyka trochę drewna i siada na stołku. Jest niska i szczupła, niestara jeszcze, chyba po pięćdziesiątce. W małej, ciemnej kuchni czuć wilgoć. Jest duszno i gorąco. Na drzwiach do sąsiedniego pokoju wisi kalendarz „Słowa Powszechnego”. Na poszarzałej ścianie metalowy krzyż i wyschłe gałązki.

Kobieta pokazuje drewniany krzyż, wyglądający trochę na robotę fabryczną i chce za niego tysiąc złotych.

— Nie ma w domu jakichś innych rzeźb męża? Naprawdę nic już nie robi?

— Bola go ręce — odpowiada ze złością. — Ci, co tu przyjeżdżali, wszystko zabrali.

Jej mąż, Apolinary Pastwa, jest rzeźbiarzem. Natchniony dziwak i abnegat, żyjący w samym środku kościerskich lasów, w domku pościadanym z desek, sosnowych żerdzi, kawałków papy. Dwa kilometry od Wąglikowic. Tylko pokój,



kuchnia i sień. Nic wesołego. Ten dom okoliczni mieszkańcy nazywają „wybudowaniem”. W katalogach wystawowych pisze się o nim, że to „chatynka w lasach, za jeziorami”. W chatynce siedzi sobie Pastwa i rzeźbi kozikiem Chrystusiki frasośliwe.

Podobno jest bardzo dobrym rzeźbiarzem. Zaczął późno, już po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Miał już ponad czterdzieści lat. Jego rzeźby są grubo ciosane i niekiedy agresywnie, jarmarcznie polichromowane. Dzięki temu są jednocześnie i bardzo wyraziste, i w jakiś sposób delikatne, wzruszające, choć podobno Pastwa „nie ma własnego stylu”. Jego uczeń i konkurent z Wdzydz Tucholskich — Władysław Lica wystawiał w Paryżu. Jednak rzeźbiarz z Wąglikowic intryguje. Dlatego jesteśmy tutaj, kilku studentów Uniwersytetu Gdańskiego i Jan Drzeżdżon.

Przed domem stoi kapliczka z gipsową Madonną. Jedyna rzeźba Pastwy, jaką można tu obejrzeć. Brzydki, pomalowany jaskrawą farbą i ozdobiony szkiełkami posążek. W czerwcu przechodzi tędy procesja.

W przedsiönku stopy szmat, starych butów, pordzewiałych narzędzi, kłopotów, których przeznaczenie trudno już odgadnąć. Co rok Pastwa okłada dom kilkucentymetrową warstwą igliwia, przytrzymywaną przez sosnowe pręty. Tu się ciągle coś zmienia. Plastikowe łaty, cegły z rozbiórki. Ostatnio za bił gwoździami kłapę od wyjścia na stryszek, bo zimą wiatr podwiewał. Tak mówi kobieta.

— A dom — ile ma lat?

— Już przeszło pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt latek ma.

— Piecze tu pani chleb?

— To jest popsute. Kiedyś to tak, jego pierwsza żona piekła. Ale był dobry ten bratniak.

— Pierwsza żona umarła?

— Dwadzieścia lat temu.

— Ostatnio ludzie bardzo umierają, na raka, na zawał — staramy się nawiązać jakiś kontakt z panią Pastwą.

— Bo oni mają sztuczne ogrzewanie — mówi Jan Drzeżdżon — jedzą sztuczną żywność, trują się, wdychają te gazy.

— W takim domu zdrowiej żyć — mówi któryś z nas, naciskając klawisz magnetofonu.

Kobieta w ogóle nie zwraca uwagi na magnetofon, ani na aparat fotograficzny na statywie. Z małego okienka bije światło. Tylko kilka zdjęć.

— Pozwoliłaby pani zobaczyć tamten pokój?

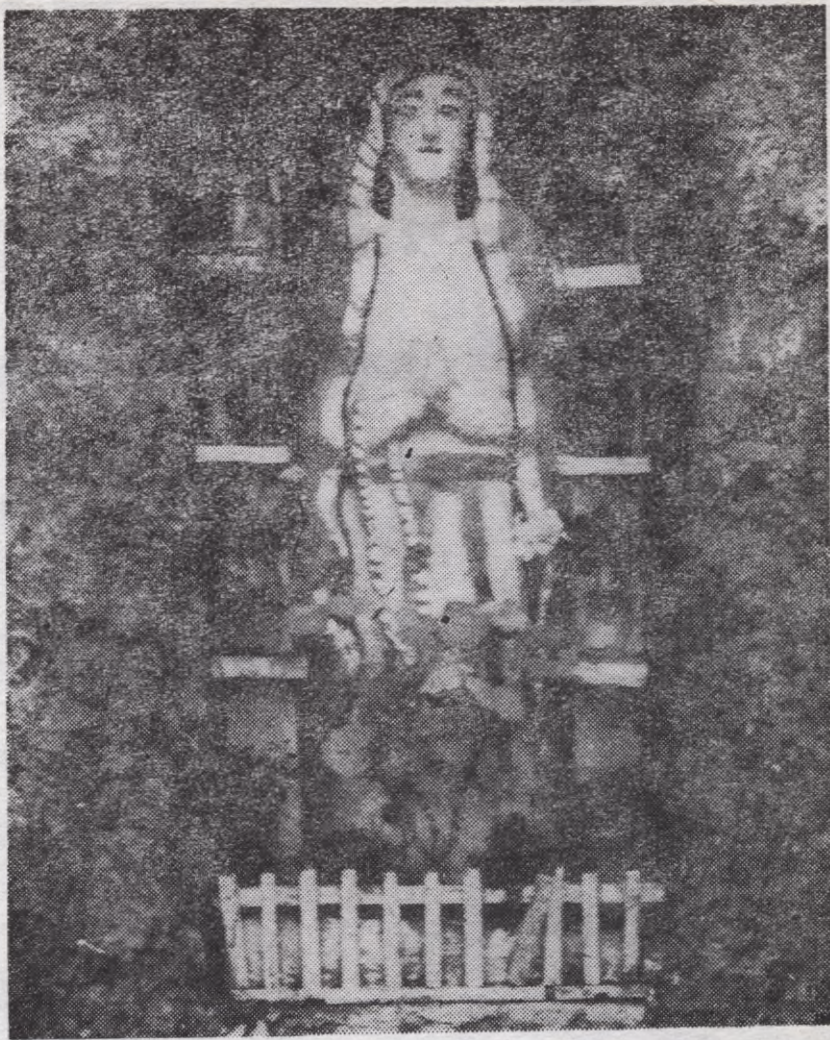
— Nie, bo jak mąż od synów przyjedzie, to będzie się złościł, będzie mówił, że jak widziałas, że ktoś idzie, to trzeba się było zamknąć i fertig.

— To mąż u synów?

— U synów. Z pierwszej żony.

— Kiedy można się pana Pastwy spodziewać? Pewnie na Wielkanoc już będzie?

— Kto wie, jak mu synowie doradzą, może na kurację zostanie.



Fotografie Arkadiusza Drey

Woda w garnku już dawno się wychłodziła. Kiedy wychodzimy, kobieta mówi:

— To ja tu sobie będę coś robić.

Okno od zamkniętego pokoju oblepione jest gazetami.

\*

Wracaliśmy przez las, potem łakami, jeden za drugim, wąską ścieżką wydeptaną przez bydło. Potem kremowy autobus. W Kościerzynie mieszka proboszcz parafii Pastwy. Pochmurne, sobotnie popołudnie. Szary, parterowy domek. Drzwi otwiera matka proboszcza. Na stole kiszona kapusta w białym talerzu. Ksiądz proboszcz właśnie spał, wychodząc z pokoju dopina koszulę. Kiedy spyaliśmy go o Apolinarego Pastwę, rzeźbiarza, powiedział, że Pastwa umarł jesienią zeszłego roku. Pochowano go w Kościerzynie. Teraz jest początek kwietnia.

\*

Jan Drzeżdżon: Żałuję, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Jechałem tam trzy razy. Któregoś lata byłem w Wąglikowicach: przed domem stał samochód. Ktoś, kto o Pastwie mówił „wujek”, chciał mi umożliwić spotkanie z nim. Mówił, żebyś-

my z dwóch stron zbliżyli się do domu, żeby „wujek” nie uciekł. Kiedy podeszliśmy do drzwi, nikogo już tam nie było. Nie chciał z nikim rozmawiać. Myślałem zawsze, że go rozumiem, ale chciałem to sprawdzić.

\*

Kiedy szliśmy na dworzec autobusowy w Kościerzynie, ktoś z nas powiedział, że moglibyśmy wybrać się na grób Pastwy. Nic z tego nie wyszło. W autobusie oglądaliśmy kupiony przez Jana Drzeżdżona krzyż i ktoś przypomniał sobie wiążący na drzwiach do niedostępnego pokoju kalendarz „Słowa Powszechnego”. To był kalendarz na zeszły rok.

\*

Zobaczyłem potem zdjęcie Pastwy, zdjęcie sprzed kilkunastu lat: stary mężczyzna o podłużnej twarzy, z odstającym kosmykiem włosów. Zbyt obszerne spodnie podtrzymywane są przez szelki. Kwadratowy wąsik. W prawej ręce, przed sobą, trzyma rzeźbę: Chrystusa na krzyżu. Krzyż jest bardzo podobny do tego, który kupił Jan Drzeżdżon. Tylko że krzyż za tysiąc złotych jest bez Chrystusa. Ostatnia rzeźba Pastwy. ■



# Pociąg już odchodzi

Kiedy stałem w kuchni przy garnkach, usłyszałem, że od tego roku, którego pierwsze dni mamy już za sobą, odnowi się odnowa. Zaciekawiony więc pytam — czy to prawda? Bo spontaniczne odgłosy zadowolenia, które powinny ją poprzedzać, nie za bardzo do mnie docierają. Możliwe, wszak, iż dzieje się tak przez to pykanie w garnku, w którym gotuję zupę na gwoździu. A gwoździ ten jest stary, pordzewiały, pogięty. Myślę, że pamięta on chyba odnowę z Października 56. Zapewne lśnił wtedy swym blaskiem — jak ludzkie oczekiwania. Nic dziwnego, wiara w zmiany na lepsze była wówczas czymś więcej niż gwoździem sezonu. A potem, po licznych zakrętach i etapach — cóż pozostało? Bogactwo doświadczeń, raz po raz odnawiane wypaczenia? Wydaje mi się, że gotowanie zupy na gwoździu dobrze wpływa na pamięć, która innym, stojącym z dala od kuchni i codziennych utrapień, częstokroć płatała i płata figle.

Na przykład: jak to było z „interludium mazurskim” w okresie poprzedzającym polski Październik? Zadałem sobie to pytanie, bo właśnie przeczytałem reportaż Michała Mońki o Gerardzie Skoku, Mazurze z piskich okolic, swego czasu gwiazdzie pokolenia ZMP, o formacji duchowej ukształtowanej przez mechanizmy władzy lat stalinowskich („Kultura”, 1987 nr 42). Reportaż to „puzzlowy” — taka układanka, do której powtykano wypowiedzi żywych i umarłych, z różnych lat pozbierane. Mniejsza zresztą o gatunek, ale o obraz. Przecieram oczy i patrzę, że tu wszystko nie tak. Skokowi zdaje się, że robił w Olsztynie październikową odnowę i że to działacze mazurscy, nie bardzo w tę odnowę ufając, przeważnie mu odmawiali.

Nie chcę człowiekowi dziś steranemu, od lat wiodącemu żywot rencisty, dokuczać. Ale trudno nie pamiętać, jak było, choćby nawet, jak w moim wypadku, ta wiedza pochodziła w większej mierze z rozmów i lektur. Otóż, gdy pod koniec lat czterdziestych władze nasiliły i z determinacją właściwą dla tamtych czasów przeprowadziły akcję antymazurską, to represje dotknęły wszystkich znanych działaczy mazurskich, którzy w 1945 roku z nadzieją przystąpili do pracy na rodzinnej ziemi. Niekani, publicznie odsądzeni od czci i wiary, żyli odtąd w nędzy albo szukali możliwości pracy poza regionem. Teraz można żartować, że albo zamykano ich w więzieniach, albo że sami zamykali się w domach. Ale wówczas los takich działaczy, jak Fryderyk Leyk, Walter Późny, Jerzy Fryderyk Burski, dr Edward Adolf Szymański, Bohdan Wilamowski, Emil Leyk, Gustaw Leyding, Jan Lippert czy Karol Maliek, był dla ludu mazurskiego widocznym przykładem, że nikt już nie stanie w jego obronie. W nadchodzących czasach, zamiast reprezentantów ludu, władza sama sobie wybierała swych reprezentantów. Ze efekty wcześniejszych poczynań okazywały się w sumie mało skuteczne? Tak, ale i tego nie ukrywano. Nowa epoka jak wymiotła tę wielogłosowość, oczyściła pole dla nowych ludzi i nowych zadań.

W owym czasie los wskazał swym palcem na młodego Mazura. W przeciwieństwie do odsuniętych działaczy, od początku dzielił on jedno z bardziej dramatycznych mazurskich doświadczeń. Otóż w 1945 roku, mając 14 lat, został Gerard Skok zagarnięty do obozu pracy, gdzie poznał co to głód i poniżenie. I wprost stamtąd, z tego mazurskiego piekła, wyniosły go mechanizmy władzy i pchały coraz wyżej: ZMP, partia,

Sejm. Mówi więc sam, że ta nagła zmiana sytuacji była dla niego jak piękny sen, z którego nie chciał się obudzić. Wierzył zresztą, że ten sen to rzeczywistość. Stawał na trybunie, zakładał spółdzielnie produkcyjne, a nabrawszy obycia w walce klasowej napisał pracę „Polityka rolna Józefa Stalina”. Sam wojewoda Mieczysław Moczar poklepał go po plecach, co — o czym już wiedział — znaczyło kolejny awans. Dopiero śmierć Stalina wstrząsnęła nim do głębi.

„To był szok — wyznał teraz w reportażu. — Zdało mi się, że słońce zaszło. I już nie wejdzie. Dopiero latem 1956 otrząsnąłem się. Co robić? — zastanawiałem się. Odpowiedź otrzymałem od bardziej obrotnych. — Włącz się, Skok, do odnowy, powiedzieli. — Tylko pamiętaj: pociąg już odchodzi — nie spóźnij się. Stanąłem do odnowy (...). Znowu zacząłem wierzyć. Chciałem pozyskać do współpracy starych działaczy mazurskich. Ale oni przeważnie odmawiali”.

Inne rewelacje pomiję. Dość, że przeczytałem ten fragment i zlapałem się za głowę. Czyż to zawsze tak jest z odnową? Czy zawsze jest tak, że ci z pierwszych szeregów — żarliwi budowniczości kolejnych okresów błędów i wypaczeń — lokują się w pierwszych szeregach odnowicieli? Historia Skoka nie jest, być może, najlepszym przykładem odpowiedzi na te pytania. Snuję tę przypowieść raczej ku nauce. Jest jakby ćwiczeniem pamięci na temat mechanizmów społecznych, które wikłają losy ludzi tak, iż rodzi się w nich żal do rzeczywistości społecznej, że się nie odnawia tak szybko jak oni. Bo zresztą, gdy tyle odnow się przetoczyło, to bywa, że nie zawsze pamięć za nimi chce nadążyć.

Można więc nie pamiętać, jaką odgrywało się rolę. Ale — do rzeczy. W okresie poprzedzającym Październik część prasy krajowej odkryła istnienie Mazurów i przypomniała koleje losu odsuniętych i skazywanych na zapomnienie działaczy. Latem 1956 roku ukazały się w „Walce Młodych” publikacje o Mazurach pióra Andrzeja Jareckiego i Mirosława Dybowskiego. Autorzy w sposób na tyle dobitny przedstawili dyskryminację i nędzę ludu, że sprawa mazurska stała się przedmiotem dyskusji na Zjeździe ZMP. I nie trzeba zgadywać, kto wystąpił wówczas z najostrejszą krytyką prasowych enuncjacji. Naturalnie, Gerard Skok. Na trybunie grzmiał on, że obraz krzywd mazurskich, ukazany przez reporterów pisma, jest wręcz fałszywy. Mazurom, mówił, krzywda się nie dzieje.

Gdy echa tego wystąpienia dotarły na Mazury, nie zdzierzył tego pogardliwego traktowania ludu Fryderyk Leyk, autentyczny działacz o temperamencie trybuna. Dnia 27 sierpnia 1956 roku wysłał obszerny list do redakcji „Walki Młodych”. Przedstawiając własne zastrzeżenia, Leyk napisał: „Mam 72 lata. Obecnie, kiedy Mazury i Warmia wchodzi w skład Polski Ludowej, pragnę, by lud ten czuł się tak, jak u siebie w domu. Niestety, z przyczyn powszechnie wiadomych, stało się inaczej. Ob. Redaktorzy A. Jarecki i M. Dybowski oddali w sposób trafny a zarazem obiektywny panujące na naszym terenie stosunki i stosunek. Także podane wnioski należy uznać za bardzo celowe i trafne. Tylko zaślepieni, względnie obojętni, wygodni lub działający z urzędu, mogą twierdzić, że jest inaczej, że jest dobrze.”

Dziwiw się też bardzo, że ob. Skok Gerhard, poseł na Sejm, mający reprezentować naszą rodzimą ludność, nie widzi krzywdy mas, ani też istotnych żalów, bólczek, dolegliwości i nędzy ogółu Mazurów. (...)



Wystąpienie ob. Skoka przypomina mi reprezentację naszego ludu przez narzuconych nam postów z lat 1897—1913 w Reichstagu, którzy gwoździł świętego spokoju zaprzeczali wszelkiej prawdzie i stwierdzali, że na Mazurach jest wszystko w porządku”.

W innym miejscu Leyk dodawał, że poseł, który z woli władz „reprezentuje” Mazurów, jest „naszemu ogółowi nieznany”. Co więcej, „nie raczył się, mimo swej prawie 4-letniej kadencji, przedstawić chociażby prawdziwym, powszechnie znanym, popularnym i zastrzeżonym działaczom wśród tutejszego ludu mazurskiego. Swego stanowiska nigdy nie uzgadniał z nami...”

Zestawiłem te głosy, aby przypomnieć, jak zazwyczaj diametralnie różne, także w kwestiach odnowy,

są oczekiwania „tych co na górze i tych co na dole”. Tu tylko dodaję dla ścisłości, że w końcu, po Październiku, Skok pobierał przez pewien czas gorzkie nauki u starych działaczy, nawet zbliżył się do nich. Jednak po roku październikowa odnowa weszła już w wyłobione koleiny. Tam było bezpieczniejsze.

A teraz zastanawiam się, czemu ma służyć moja przypowieść. Czy tylko temu, że we wspominkach, które są jak piękny sen, wielu mamy heroldów odnowy, co zachęcają innych do współpracy, bo pociąg już odchodzi? Na razie mieszam tę zupe na gwoździu, a przez kuchenne okno słyszę dobiegający z dworca płacz lokomotywy. ■

**Erwin Kruk**

## NA PRZYKŁADZIE CHMIELNA

# Sami sobie

Przygotowania trwały długo. Ale też i przebiegały nietypowo. Seminarium poprzedzono szeregiem zebrań wiejskich, zwołanych z inspiracji organizatorów, wsparto sondażem socjologicznym. A wszystko po to, żeby łatwiej było znaleźć odpowiedź na pytania: Jak pobudzać różne inicjatywy społeczne, służące wszechstronnemu rozwojowi Kaszub i Pomorza? Jak powinno urzeczywistniać w praktyce ten cel Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, które wpisało go do swych statutowych obowiązków? Urzeczywistniać skuteczniej niż dotąd.

W 30-lecie Zrzeszenia, jak stwierdził jego prezes doc. dr Józef Borzyszkowski otwierając seminarium, dominowała społecznikowska działalność w dziedzinie kultury i oświaty, od dłuższego jednak czasu są podejmowane próby „szerszego wejścia na płaszczyznę życia codziennego mieszkańców regionu”. Utrudnia je ogólna apatia, pogłębiona w ostatnich latach niechęć do społecznego działania. Remusowe Nievôrto zadomowiło się w wielu środowiskach. A przecież przykłady z przeszłości, zwłaszcza bogate na Pomorzu doświadczenia związane z tym, co zwykło się nazywać pracą organiczną wskazują, że samorządne działanie może, nawet w niesprzyjających okolicznościach, przyczynić się do poprawy warunków życia, wyeliminowania lub ograniczenia choćby niektórych niedostatków.

To przekonanie legło u podstaw inicjatywy zorganizowania seminarium, „przekonanie — jak podkreślił J. Borzyszkowski — że społeczność pomorska, w swej masie zniechęcona do rzeczywistości, nie podejmuje w dostatecznym stopniu trudnych, ale możliwych i potrzebnych wysiłków w kierunku poprawy jakości swego duchowego i materialnego życia codziennego”.

Jakie są lokalne potrzeby i możliwości ich zaspokojenia? Jakiej formy samopomocy i wspólnej pracy obrab? Odpowiedzi szukano najpierw na zebraniach, które odbyły się w szeregu wsi gminy Chmielno. Właśnie jej przykładem postanowiono się posłużyć do ogólniejszych rozważań. Wybór nie był przypadkowy. Jak zaznaczono na seminarium, w gminie tej obserwuje się stosunkowo dużo samorządnych poczyniń, a miejscowe władze prezentują otwartą postawę wobec oddolnych inicjatyw. Są tego efekty. Gmina była dwukrotnie wicemistrzem gospodarności w skali wojewódzkiej, dwukrotnie też uzyskała wyróżnienia w skali kraju. Osiągnięcia, o których mówił podczas seminarium naczelnik gminy Ryszard Cierocki, nie zadowolają władz chmielńskich; władze te mają świadomość wielu nie zaspokojonych potrzeb i przeświadczenie, że przy pomocy społeczności wiejskich można dużo zrobić. Nic dziwnego, że ini-

cyatywa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego zyskała poparcie i pomoc.

Zebrania, które miały ukazać skalę potrzeb, a jednocześnie umożliwić rozpoznanie „stanu obywatelskiego ducha”, odbyły się w Łączyńskiej Hucie, Borzestowie, Miechucinie, Garczu, Chmielnie i Sznurkach. Z reguły były to poszerzone o innych reprezentantów wsi spotkania rad sołeckich, z udziałem działaczy Zarządu Głównego i Oddziału Chmielńskiego ZK-P. Niektóre rady, co trzeba podkreślić, istniejąc formalnie od dawna, zebrały się po raz pierwszy. Propozycje współpracy i konkretne sugestie przyjmowano różnie, niemniej plon spotkań był obfity. Jak stwierdził na seminarium uczestnik zebrań, działacz Zrzeszenia i miejscowy radny Brunon Cierocki, okazało się, że nigdy za dużo bodźców, są potrzebne wciąż nowe, bowiem w tym przypadku, pod wpływem nowego impulsu, ujawniło się wiele pilnych potrzeb i bolączek. W rezultacie uzbierał się pokaźny rejestr. Różnej rangi, ale na co dzień i drobne braki bywają bardzo dokuczliwe.

W Garczu na przykład aż cztery z poruszonych spraw dotyczyły dróg we wsi. Brak znaku ograniczenia prędkości na odcinku szosy był już przyczyną trzech wypadków drogowych. Potrzebny jest chodnik wzdłuż tego odcinka, niezbędna zatoczka autobusowa. Mieszkańcy deklarowali wcześniej gotowość wykonania prac przy budowie 600 m drogi z Garcza do Kożyczkowa, nie dostarczono im jednak obiecanych płyt. Podtrzymali tę ofertę. Droga ta wyeliminowałaby konieczność przechodzenia przez tory kolejowe (dotyczy to zwłaszcza dzieci idących do szkoły w Kożyczkowie) i wychodzenia na szosę. Niezbędne jest poszerzenie mostku nad strugą wypływającą z Jeziora Łapalińskiego, obecnie trudno przejechać tamtejsze ze sprzętem rolniczym. To wnioski w sprawie dróg. Ponadto uskarżano się na umieszczenie w bezpośrednim sąsiedztwie wsi wylewiska zawartości szamb zwożonych z obszaru całej gminy. Nieczystości przedostają się do jeziora, zatoka przy wsi cuchnie. Mówiono o bocznicy kolejowej na stacji PKP w Garczu, rozebranej, potem odbudowanej, ale wciąż nieczynnej. Zebrani byli zdania, że we wsi należy zbudować szkołę (obecnie jest tu ok. 100 dzieci w wieku szkolnym), a także podjąć starania o budowę remizy z salą na zebrania, zabawy, uroczystości, gdyż we wsi nie ma obiektu, który służyłby wszystkim. Tym ostatnim postulatem towarzyszyło zapewnienie, że „mieszkańcy włączą się do realizacji robocizna lub finansowo”. Takie deklaracje składano również gdzie indziej. „Ludzie gotowi są podejmować nowe czyny społeczne, które spowodują poprawę warunków życia. Chętnie też podejmą zadania z dziedziny kultury” — uogólniono te przyrzeczenia w podsumowaniu zebrań.

Wyniesiono z nich jednak nie tylko same korzystne wrażenia. W protokole ze spotkania w Miechucinie zanotowano, że „dało się zauważyć ogólne zniechęcenie pracą dla dobra najbliższego otoczenia. (...) Mimo sporych osiągnięć w latach ubiegłych (społeczna budowa remizy strażackiej, kościoła, ośrodka zdrowia), mieszkańców wsi ogarnia niechęć do jakiegokolwiek działania”. W tym przypadku należałoby raczej mówić o przesileniu, trudno wymagać,



żeby mieszkańcy wsi wszystko brali na swoje barki, zrobili i tak bardzo dużo. Można natomiast więcej oczekiwać od reprezentantów władzy na najniższym szczeblu. Zaobserwowano, że tam gdzie jest prężny sołtys, tam udaje się więcej. Stąd wniosek zapisany w podsumowaniu, że „potrzeba większej inicjatywy i wiarygodności ze strony liczniejszego grona ludzi reprezentujących władzę na różnych szczeblach”. We wspomnianym Garczu sołtysa nie zainteresowała nawet możliwość założenia telefonu w liczącej 800 mieszkańców wsi, telefonu, którego ta miejscowość dotąd nie posiada. Nie doszłoby też do zebrania, gdyby nie energiczna przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich, a zarazem członkini Rady Sołectkiej Brygida Plicht. Sołtys, mimo zaproszenia (podobnie jak drugi członek Rady), nie przyszedł na spotkanie. Dopisali za to inni przedstawiciele wsi i zebranie należało do bardziej udanych, a pakiet problemów, które się wyłoniły, już uległ zmniejszeniu, gdyż część z nich — jak poinformowała wiceprezes ZG ZK-P Izabella Trojanowska, uczestniczka tego zebrania — udało się załatwić jeszcze przed seminarium.

Ogólny wniosek był mniej optymistyczny; gdy chodzi o liczebność autentycznych działaczy wiejskich, to ich szeregi uznano za skromne. „Z jednego zebrania wyszedłem z pokusą współpracy wyłącznie z władzą, gdyż cena wciągnięcia do współdziałania szerszego grona, i to nawet działaczy wiejskich, wydawała się zbyt duża” — wyznał podczas seminarium uczestnik kilku zebrań.

W minionych latach zrobiono wiele, żeby odzwyczaić od samodzielnego działania, a samorządność sprowadzić do frazesu. To sprawia, że nie wykorzystuje się nawet tych możliwości, które się pojawiają. Mówił o nich podczas seminarium dr Błażej Wierzbowski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wskazując na przyczyny uwiadu samorządności (wystąpienie to publikujemy oddzielnie). Wszystko wskazuje na to, że pole działania dla samorządu terytorialnego będzie się powiększać, że zostanie wyposażony w atrybuty niezbędne dla pełnienia roli faktycznego gospodarza (zapowiada się m.in. przywrócenie własności komunalnej). Czy szanse zostaną wykorzystane? Z wypowiedzi na seminarium można było odnieść wrażenie, że trudno będzie oderwać się od dotychczasowych schematów myślenia i działania, wyjść poza obowiązujące dotąd reguły. Wiele nowych możliwości już się pojawiło, tymczasem nie są one wykorzystywane. Zwrócił na to uwagę w trakcie dyskusji Szczepan Lewna. Na możliwość tworzenia spółek, fundacji, powoływania małych przedsiębiorstw (np. przetwórstwa), z których dochody mogłyby zasilić kiesz. gminną, ułatwić zdobycie funduszy na własne potrzeby. To spostrzeżenie potwierdził uczestniczący w seminarium wicewojewoda gdański Leon Brancewicz. W pasie Trójmiasta, powiedział, podwoiła się w ostatnim czasie liczba tego typu inicjatyw gospodarczych. Natomiast następny pas jest pusty. Mieszkańcy tego rejonu nadal wolą wsiąść do pociągu i szukać szczęścia w Trójmieście. Stwierdzając, że gmina Chmielno uzyskuje dobre wyniki w rolnictwie i na nim koncentruje główny wysiłek, trzeba brać pod uwagę, że rolnictwo wymaga obsługi, zaplecza, jest więc duże pole do działania dla tych, którzy nie pozostają na roli, ale mogą pozostać na wsi lub też po ukończeniu szkół wracać.

Gmina Chmielno, a nie tylko ona jedna, staje przed inną jeszcze rodzajem wyzwaniami, którym musi stawić czoła. Mianowicie znalazła się ona w obrębie Kaszubskiego Parku Krajobrazowego, a na domiar jeszcze w strefie ochrony ujęcia wody w Straszynie. Spowoduje to ograniczenia, które nie muszą jednak zahamować rozwoju. Pod warunkiem że znajdzie się nowe obszary aktywności. Na tę konieczność wskazał podczas seminarium dr inż. Andrzej Baranowski z Politechniki Gdańskiej, analizując plany perspektywicznego zagospodarowania gminy. Będzie nieodłącznym ograniczeniem stosowania nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, a w niektórych rejonach nawet zupełne z nich zrezygnowanie. Powinno to skłonić do zainteresowania się rolnictwem biodynamicznym. Zdrowa żywność i u nas będzie rosła w cenie.

○ bjęcie w krótkim artykule całości zagadnień związanych z funkcjonowaniem samorządu wiejskiego na Pomorzu dawniej i dziś jest zadaniem niemożliwym. Temat wymaga zresztą gruntownych badań o charakterze historyczno-prawnym i empirycznych. Próba szkicowego przedstawienia zagadnienia wydaje się jednak przedsięwzięciem celowym, zwłaszcza w odniesieniu do zaktualizowanego problemu nie wykorzystanych możliwości. Ponieważ temat rozpatrywany jest z punktu widzenia nauk prawnych, a samo pojęcie samorządu wiejskiego nie jest pojęciem prawnym i prawniczym (prawo i prawnicy mówią raczej o wiejskim samorządzie terytorialnym — samorządzie mieszkańców wsi, samorządzie rolniczym, samorządnych organizacjach rolników, samorządzie spółdzielczości wiejskiej i rolniczej), przeto pod pojęciem samorządu wiejskiego rozumieć będą różne przejawy samorządności występujące na wsi pomorskiej w ostatnim okresie. Tylko w takim ujęciu możliwe jest zwrócenie uwagi na nie wykorzystany potencjał energii społecznej tkwiący w różnych formach spotykanej w środowisku wiejskim samorządności.

Na Pomorzu o kształcie wiejskiej samorządności przesądziły w dużym stopniu rozwiązania prawne okresu uwłaszczania chłopów. Pod zaborem pruskim uwłaszczenie przebiegało inaczej aniżeli na terenie innych zaborów. Była to akcja dość brutalna, gdyby poprzestać na jej humanitarnych aspektach, lecz konsekwentna, jeżeli chodzi o aspekty czysto ekonomiczne. W wyniku uwłaszczenia powstawały racjonalnie ukształtowane kompleksy wielkiej własności wiejskiej i stosunkowo duże gospodarstwa chłopskie. Konsekwentnie likwidowano feudalne przeżytki (np. wspólnoty gruntowe, służebności), które na terenie innych zaborów stanowiły dla samorządności wiejskiej bazę materialną lub naturalne spoiwo w konfliktach z dworem.

Gdyby jednak fenomen samorządności wsi pomorskiej rozpatrywać tylko w kategoriach prawnych i prawniczych, uzyskano by obraz na tyle uproszczony, że aż nieprawdziwy. Samorządność wiejska na Pomorzu kształtowała się w warunkach walki, lecz i współistnienia, dwóch żywiołów narodowych: polskiego i niemieckiego. Ogólne socjologiczne kontury tej walki zarysował znakomity socjolog Florian Znaniecki w szkicu „Socjologia walki o Pomorze”, wskazując na niedostateczną ekspansywność żywiołu polskiego. Stąd też na poziomie pojedynczych wsi chłop polski rzadko otrzymywał wsparcie zewnętrzne w walce z germanizacją. Dotyczy to zwłaszcza społeczności kaszubskiej niemal zupełnie pozbawionej włas-

W okresie przejściowym, gdy nastąpi obniżenie dochodów, trzeba pomyśleć o rekompensatach dla rolników.

Przed wszystkim jednak gmina musi lepiej wykorzystać swoje walory naturalne. „Chmielno jest gminą o walorach letniskowych, ale letniskowość przysparza tylko kłopotów” — powiedziała Izabella Trojanowska. Jak dotąd, turystów traktuje się niczym dopust boży. „Gdzie są miejsca noclegowe, gdzie można zjeść coś atrakcyjnego, kupić wyroby sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego?” — pytała inna uczestniczka seminarium mówiąc, że turystyka powinna przynosić zyski, mieszkańcy powinni na niej zarabiać. Przed wojną były w Chmielnie dwa zajazdy (jeden służył z zupy rakowej i masła rakowego), atrakcję stanowiła restauracja na Górze Tamowej. Właścicielami byli mieszkańcy Chmielna, obecnie jeśli już ktoś zarabia na turystach, to przybysze. Turystyka wymaga odpowiednio przygotowanych kadr. Chmielanie powinni posyłać dzieci do szkół hotelarskich, gastronomicznych, wówczas nie byłoby takiej sytuacji, jak jest teraz, że „kobiety z Chmielna obierają kartofle w ośrodkach, zamiast je prowadzić”.

Na terenie gminy znajduje się sporo domków letniskowych. Ich właściciele, którzy nie będąc stałymi



# SAMORZĄD WIEJSKI NA POMORZU DAWNIEJ A DZIŚ

## NIE WYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

Błażej Wierzbowski

nej inteligencji, tragicznie osamotnionej w walce o polskość.

Na wsi pomorskiej — tak jak wszędzie w dziewiętnastowiecznej Europie — istniał samorząd terytorialny. Podstawową jednostką podziału terytorialnego była tzw. gmina jednostkowa lub obszar dworski, a więc jednostki stosunkowo słabe i szczupłe obszarowo. Dziewiętnastowieczna koncepcja samorządu terytorialnego wyrażała się między innymi w tym, iż jednostki samorządu wyposażone były w osobowość prawną, pozwalającą na znaczną niezależność od organów administracji państwowej. Do kompetencji samorządu należały zwykle sfery kłopotliwe — szkolnictwo podstawowe, opieka społeczna, drogi lokalne. Ograniczały one w sposób istotny działalność samorządu terytorialnego, zwłaszcza na obszarach wiejskich. Szczupłe dochody samorządu nie wystarczały na zapewnienie odpowiedniego poziomu w administrowanych przez samorząd sferach. W zaborze pruskim układ stosunków między samorządem terytorialnym a organami administracji państwowej miał swoją specyfikę. Dziś jeszcze zachowuje w pełni swą aktualność ocena J. Frejlich („Gospodarstwo samorządowe w byłej dzielnicy pruskiej”), iż „tak sama gospodarka ciał samorządowych w wielu jej dziedzinach, jak i działalność organów wykonawczych komunalnych czyniły ze związków samorządowych w zaborze pruskim instrument polityki antypolskiej, celem której było osłabienie żywiołu polskiego, wzmacnianie ludności niemieckiej, germanizowanie ludności polskiej”. Temu celowi podporządkowane były rozwiązania prawne regulujące samorząd terytorialny. Regulacja prawna szkolnictwa podstawowego (zwłaszcza sprawa języka) jest tego dobitnym przykładem.

Słaby ekonomicznie i podporządkowany antypolskim tendencjom politycznym samorząd terytorialny na wsi pomorskiej nie mógł więc stanowić płaszczyzny, na której mogłaby być wykorzystana energia społeczna ludności wiejskiej, przywiązanej w swej zasadniczej masie do polskości. Ujawniała się więc w

innych formach pozwalających na pewien zakres samorządności. Nie przypadkiem na Pomorzu powstało w 1862 r. pierwsze w Polsce kółko rolnicze. Tu też rozwijały się pierwsze formy zbiorowej aktywności kobiet wiejskich. Nie od rzeczy będzie też wspomnieć o specyfice stosunków wyznaniowych. Brak polskiego organizmu państwowego powodował, że świadomość narodowa ludności wiejskiej kształtować się musiała nie w oparciu o kryterium obywatelstwa, ale przynależności wyznaniowej. Stąd też polskość i katolicyzm to pojęcia, które w świadomości ludności wiejskiej nakładały się na siebie, a nie krzyżowały się tak, jak tego wymagałyby względy etniczne. W obliczu wrogiej Kościołowi katolickiemu polityki pruskiej parafie na ziemiach polskich stawały się naturalnym ośrodkiem koncentracji życia społecznego ludności wiejskiej. Niewielki zakres autonomii parafii pozwalał jednak na organizowanie w jej ramach różnych form samorządności, które w tych warunkach były wysoce cenione i szanowane przez ludność wiejską.

Tak więc w czasach zaborów ukształtował się na wsi pomorskiej pewien specyficzny i anormalny model samorządności wiejskiej. Istotną jego cechą było traktowanie samorządu terytorialnego jako ciała obcego dążeniem mieszkańców wsi przy jednoczesnych próbach koncentracji energii społecznej oraz rozwijania samorządności w organizmach zastępczych, nastawionych antagonistycznie wobec struktur samorządu terytorialnego. Ideą naczelną tego modelu była idea solidarności narodowej, co przy braku rodzimej inteligencji spowodowało, iż istotną w nim rolę odgrywało duchowieństwo, ziemiaństwo, drobna szlachta kaszubska i bogaci chłopcy.

Model ten nie został zaakceptowany w Polsce niepodległej. Nie mógł być zaakceptowany zarówno przez nowy aparat państwowy, jak i radykalniejsze siły polityczne. Aparat państwowy skłonny był upatrywać w samorządzie przedłużenie administracji państwowej (teza o braku sprzeczności między samorządem a aparatem państwowym przy stałej tendencji do spychania na samorząd bardziej kłopotliwych obowiązków). Nie sprzyjało rozwojowi samorządności wiejskiej na Pomorzu opóźnione włączenie tej części kraju w granice państwa polskiego a także międzydzielnicowe antagonizmy, znajdujące swój wyraz w układzie sił politycznych. Zaowocowało to błędną polityką kadrową obozu rządzącego. Dostęp ludności rodzimej do stanowisk w administracji państwowej i samorządowej był znacznie utrudniony. Stąd też również w warunkach Polski niepodległej samorząd terytorialny i jego struktury nadal pozostawały „obce”. Z kolei dla radykalniejszych sił politycznych model samorządności wiejskiej ukształtowany na Pomorzu był zbyt konserwatywny. Siły te raczej popierały odziedziczony po Austrii model galicyjski, streszczający się w nieco demagogicznym hasle: „Wolna gmina podstawą wolnego państwa”.

Niespełna dwudziestoletni okres Niepodległej na Pomorzu był zbyt krótki, aby — przy uwzględnieniu powyższych uwarunkowań — przekształcić funkcjonujący tu model samorządności. Tendencja do spychania na samorząd terytorialny sfer kłopotliwych dla administracji państwowej utrzymywała się, co w warunkach ówczesnego kryzysu powodowało zaniedbania w zaspokajaniu zbiorowych potrzeb mieszkańców wsi. Samorząd terytorialny dysponował bowiem stosunkowo skromnymi funduszami. Istotne zmiany dokonały się w sferze samorządności zawo-

mieszkańcami, uważają, że są „więcej niż gośćmi”, mogliby też włączać się do wspólnych przedsięwzięć. Wyniki sondażu przeprowadzonego przez socjologów mgr. Janusza Iskierkiego i dr. Marka Latoszkę rokuja dobrze: na ogół wyrażano gotowość pomocy (omówienie wyników przygotowane przez J. Iskierkiego drukujemy osobno). To także szansa, którą należy wykorzystać. Pierwsze propozycje konkretnej pomocy zostały złożone podczas seminarium.

Dominowały sprawy gospodarcze, ale nie zapomniano o kulturze, potrzebie ochrony dorobku kultury kaszubskiej. W gminie Chmielno — jak stwierdził Antoni Czaja, który omówił rozwój kultury — Zrzeszenie jest głównym animatorem życia kulturalnego. W dyskusji padło zapewnienie: „Jesteśmy dość silni, żeby bronić naszej tożsamości”.

Seminarium na temat: „Rozwój gospodarczy i kulturalny Kaszub po 1945 r. na przykładzie gminy Chmielno” odbyło się 10 października ub. r. w miejscowej szkole. Udział wzięli radni, sołtysi, członkowie rad sołeckich, przedstawiciele władz, społeczności letników, naukowcy z Gdańska i Torunia, działacze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

— Nie był to czas stracony — podsumował krótko rezultaty seminarium prowadzący obrady przewodniczący GRN w Chmielnie Eugeniusz Bistrón. (SZ)



dowej rolników. Tu obronę interesów zawodowych rolnictwa podjęły izby rolnicze. Trzeba jednak wyrazić powiedzieć, iż instytucje te służyły przede wszystkim interesom większej własności ziemskiej. Reforma samorządu terytorialnego dokonana w 1933 r. była przede wszystkim reformą strukturalną, a nie funkcjonalną. Na Pomorzu dawne gminy jednostkowe i obszary dworskie zostały zastąpione gminami zbiorowymi o większym obszarze. Zburzyło to dawne struktury, a nowe modele były zbyt słabe ekonomicznie. Wzmocniony został nadzór państwowy nad samorządem, co w ówczesnych konfiguracjach kadrowo-politycznych Pomorza było odczytywane — chyba słusznie — jako próby ograniczenia aktywności czynnika lokalnego. Tak więc również międzywojenie trzeba określić jako okres nie wykorzystanych możliwości samorządu wiejskiego, zwłaszcza w sferze zaspokajania potrzeb lokalnych.

W okresie powojennym sytuacja samorządu wiejskiego na Pomorzu uległa dalszemu zagmatwaniu. Lata 1945—1950 to okres równoległego funkcjonowania dawnych organów i struktur samorządowych oraz rad narodowych. Podobnie jak w całej Polsce problem nie sprowadzał się jedynie do aspektów formalno-prawnych, lecz miał przede wszystkim swe implikacje ideologiczne i polityczne. Po raz wtóry w najnowszej historii Pomorza popełniono rażące błędy w sferze polityki kadrowej. Zasiłeni miejscowi działacze dawnych struktur samorządowych otaczani byli atmosferą nieufności ze strony decydujących wówczas czynników politycznych. Nowe struktury, organy, instytucje siłą rzeczy nabierały cech obcości dla ludności wiejskiej Pomorza. Nowa koncepcja przebudowy wsi obcość tę zmieniała wręcz we wrogość. I chociaż to temat raczej dla socjologa, to również prawnik nie może się powstrzymać od konstatacji, iż nowe koncepcje rozwiązań prawnych samorządu wiejskiego trafiały na wsi pomorskiej — zwłaszcza na kaszubach — na wyjątkowo niepodatny grunt. Nie rozumiejący zaś całej złożoności miejscowych stosunków importowani działacze i decydenci raczej pogarszali niż polepszali sytuację.

W tej atmosferze obcości, podejrzliwości, wrogości i rozgoryczenia weszła w życie ustawa z 1950 r. o radach narodowych, ustanawiająca jednolity organ władzy państwowej — rady narodowe. Zniknął dawny samorząd terytorialny ze swą odrębną osobowością prawną. Również w sferze majątkowej niepodzielnie zapanowała koncepcja jednolitej własności państwowej. Obie te koncepcje miały w swych założeniach mnóstwo cech pozytywnych. Usuwały sprzeczność między samorządem a organami administracji państwowej, wpisana niejako w koncepcję samorządu przedwojennego. Umożliwiały rozwój wsi i zaspokajanie potrzeb jej mieszkańców w sposób daleko lepszy aniżeli model odrębnej gminy o skromnych dochodach. Mimo to w niewielkim stopniu wyzwoływały inicjatywy lokalne. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że stało się coś odwrotnego — inicjatywy lokalne uległy zahamowaniu. Wprawdzie specyficzna obrzędowość tamtych czasów zamaskowała istotny stan rzeczy, lecz konsekwencje psychologiczne tej przebudowy łatwe są do odczytania do dnia dzisiejszego. Zniknięcie własności komunalnej i zastąpienie jej państwową zrodziło postawy roszczeniowe i brak szacunku dla mienia państwowego. Państwowe to często w potocznym rozumieniu niczyje. Skoro państwo o wszystkim decyduje, niech też zaspokaja wszystkie potrzeby. Są to stereotypy funkcjonujące do dnia dzisiejszego w różnych częściach kraju. Na wsi pomorskiej wywołały zaś konsekwencje znacznie wykraczające poza sferę psychologii i socjologii. Exodus z niektórych wsi kaszubskich jest tego dobitnym, lecz zawstydającym dowodem.

Zmiany w sferze własności i ustanowienie rad narodowych zbiegły się w czasie z nową koncepcją socjalistycznej przebudowy wsi, w której centralne miejsce zajmowały spółdzielnie produkcyjne. Utworzenie gromadzkich rad narodowych było ściśle związane z tą koncepcją. Przyspieszonej industrializacji kraju towarzyszył drenaż finansowy wsi. Samorząd

mieszkańców wsi miał w tej sytuacji przypisaną jedną funkcję — mobilizowania wsi na rzecz wykonania obowiązków wobec państwa. Inne formy samorządności wiejskiej praktycznie nie istniały. Pod hasłem walki o lepsze jutro niszczone dawne struktury lokalne, kwestionowano uznane autorytety.

Przemiany popaździernikowe doprowadziły do reaktywowania kółek rolniczych i spółdzielczości rolniczej. Zasadnicza jednak koncepcja rad narodowych i samorządu terytorialnego pozostała nie zmieniona. W nowych jednak warunkach politycznych mogła ona wszakże objawić swe zalety. Dzięki aktywności kółek rolniczych i spółdzielczości rolniczej uwaga samorządu mieszkańców wsi mogła zostać zwrócona przede wszystkim na sferę zaspokajania wspólnych potrzeb mieszkańców. Osłabienie obaw co do przyszłości rolnictwa indywidualnego wyzwoliło aktywność rolników, manifestowaną w formie czynów społecznych, którym wyszły naprzeciw zwiększone nakłady państwowe na rozwój infrastruktury wiejskiej. Zauważalny postęp uwidocznił się w budowie dróg lokalnych, szkół (tysiąc szkół na Tysiąclecie) i ośrodków zdrowia. Efekty są widoczne również na wsi pomorskiej. Okres popaździernikowy korzystnie więc zapisał się w historii samorządu wiejskiego na Pomorzu. Częściej występowała zbieżność interesów centralnych ośrodków politycznych i społeczności lokalnych. Podjęto różne próby naprawienia błędów poprzedniego okresu.

Pomyślnie również zapisał się w historii samorządności wiejskiej na Pomorzu początek okresu pogrudniowego. Niestety, rychło dały o sobie znać tendencje technokratyczne i zwykle lekceważenie lokalnych dążeń i inicjatyw. Dwie reformy podziału terytorialnego, połączone z wyodrębnieniem terenowych organów administracji państwowej, znacznie osłabiły faktyczną pozycję rad narodowych. Próba wzmocnienia tej pozycji przez połączenie funkcji przewodniczącego rady narodowej z funkcją sekretarza komitetu partii nie była w stanie uratować podupadającego autorytetu rad narodowych. Pozbawiony oparcia w radach narodowych samorząd mieszkańców wsi tracił z wolna na znaczeniu. Zjawiska te nie ominęły wsi pomorskiej. Autor niniejszego szkicu zna z autopsji wydarzenia, które towarzyszyły niezbyt prze-myślanej, odgórnej reformie sieci szkolnej w byłym powiecie kartuskim. Determinację niektórych wsi w obronie szkół, które mimo iż formalnie państwowe, były uważane przez mieszkańców wsi za swoje własne. Likwidacja własności komunalnej nie odbiła się bowiem jeszcze trwale w świadomości prawnej mieszkańców, którzy nie bardzo mogli zrozumieć czemu ktoś inny ma prawo dysponować budynkami przez nich samych zbudowanymi. Władze powiatowe i wojewódzkie, podejrzewając spisek, wrogie podszepty i niemal że kontrewolucję, złamały opór poszczególnych wsi, stosując właściwe dla tych czasów środki. Przykład ten — wcale nie odosobniony — dowodzi, jak wielkim niebezpieczeństwem dla efektywnego działania samorządu wiejskiego jest rozmiękanie się intencji lokalnych społeczności z intencjami organów władzy.

Również w sferze szeroko pojmowanej samorządności rolniczej zaszły w latach siedemdziesiątych niekorzystne zmiany. Kółka rolnicze stały się tworem papierowymi, gdyż w ich strukturze organizacyjnej najważniejszym ogniwem stały się spółdzielnie kółek rolniczych, ukształtowane na wzór przedsiębiorstwa państwowego. Rolnicze zrzeszenia branżowe de facto zostały podporządkowane instytucjom kontraktującym i związkom kółek rolniczych. Ostatnią oazę samorządności rolniczej stanowiły jedynie koła gospodyń wiejskich. W tej sytuacji siłą rzeczy musiała się dokonać swoista „agronomizacja” samorządu mieszkańców wsi. Sprawy związane z produkcją rolną indywidualnych gospodarstw zdominowały pozostałe problemy samorządu mieszkańców wsi.

Obecnie obowiązuje ustawa z 20 lipca 1983 r. o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. Problematykę szerzej pojmowanego samorządu rolniczego regulują: ustawa z 8 października 1982 r. o



społeczno-zawodowych organizacjach rolników i prawo spółdzielcze. Akty te pozwalają na przywrócenie dawnej formuły samorządu mieszkańców wsi — ma służyć wszystkim mieszkańcom wsi. Jednym z ustawowych zadań samorządu mieszkańców wsi jest organizowanie i prowadzenie działalności społecznej na rzecz zaspokajania wspólnych potrzeb mieszkańców (art. 154 ust. 1 pkt 5 ustawy). Koncentrowanie się samorządu mieszkańców wsi na problemach rolnictwa indywidualnego nie jest więc prawidłowym stosowaniem ustawy. Problemy te powinny być rozpatrywane na innym forum (organizacje społeczno-zawodowe rolników, spółdzielczość rolnicza). Takie ujęcie odpowiada nie tylko ustawie, lecz przede wszystkim nowej strukturze społeczno-zawodowej wsi. Są one bowiem zamieszkiwane nie tylko przez czynnych zawodowo rolników indywidualnych.

Rozważane są propozycje de lege ferenda dotyczące samorządu mieszkańców wsi (przywrócenie własności komunalnej, inne ukształtowanie funduszu gminnego, który mieści teraz w sobie elementy zlikwidowanego funduszu rozwoju rolnictwa). Na pewno kształt prawny samorządu mieszkańców wsi daleki jest jeszcze od doskonałości. Niemniej trzeba zauważyć, że już w obecnym stanie prawnym może osiągnąć dużo lepsze efekty przy przestrzeganiu pewnych podstawowych warunków (piszę o tym szerzej w artykule: „Udział samorządu mieszkańców wsi w zaspokajaniu potrzeb lokalnych”. Problemy Rad Narodowych 64/1986). Przede wszystkim trzeba zerwać z tradycją koncentrowania się samorządów mieszkańców wsi na sprawach istotnych jedynie dla rolnictwa indywidualnego. Należy unikać przeznaczania tej części funduszu gminnego, która pochodzi z wpłat podatku rolnego, na maszyny i urządzenia rolnicze. W praktyce takiej widać silne nawiązanie do dawnej tradycji funduszu rozwoju rolnictwa. Wspólne maszyny i urządzenia rodzą liczne kłopoty i konflikty w sferze zarządu i eksploatacji. Może to sprzyjać dezintegracji samorządu wiejskiego. Z tego punktu widzenia znacznie rozsądniejsze jest przeznaczanie przypadających na daną wieś kwot na inwestycje o trwałym charakterze (drogi, wodociągi, urządzenia ochrony środowiska, obiekty budowlane).

W działalności społecznej na rzecz zaspokajania wspólnych potrzeb mieszkańców istotne znaczenie w organizowanym konkretnym przedsięwzięciu mają dobrowolne świadczenia mieszkańców i instytucji. Państwo wspiera tę postać aktywności społecznej przez dofinansowanie, które w niektórych wypadkach może wynosić nawet 80 proc. wartości realizowanego zadania. Nie można wszakże lekceważyć w tym względzie czynnika psychologicznego. Im bowiem wyższy stopień akceptacji przez lokalną społeczność inicjowanego przez samorząd mieszkańców wsi przedsięwzięcia, tym większe są rozmiary dobrowolnych świadczeń mieszkańców i instytucji. Po stronie świadczących wylania się jednak problem zagwarantowania, iż dobrowolne świadczenia zostaną wykorzystane zgodnie z celem deklarowanym przez organizatora wspólnego przedsięwzięcia. Ma to istotne znaczenie przy obiektach budowlanych. Problem ten został dostrzeżony w ustawie o funduszu gminnym i miejskim. Osoba fizyczna lub osoba prawna, dokonująca dobrowolnych świadczeń pieniężnych na fundusz, może zastrzec przeznaczenie ich na wskazane

przez nią zadania oraz zwrot kwot w razie niewykorzystania ich na ten konkretny cel (art. 2 ust. 3). Samorząd mieszkańców wsi inicjując jakieś przedsięwzięcie powinien szerzej i śmiało korzystać ze środków o charakterze cywilno-prawnym. Odpowiednie zastosowanie powinny znaleźć przepisy art. 893—894 k.c. Mieszkańcy, zobowiązując się do wpłaty określonej kwoty lub świadczenia określonych usług czy do innych świadczeń w naturze, nakładać mogą na obdarowanego (Skarb Państwa reprezentowany przez terenowy organ administracji państwowej lub organizacja społeczna) obowiązek oznaczonego działania — zgodnego z celem organizowanego przez samorząd mieszkańców wsi przedsięwzięcia lub w razie niezgodności zaniechania. Przy przedsięwzięciach o istotnym znaczeniu dla zaspokajania wspólnych potrzeb mieszkańców wsi należałoby — ze względów psychologicznych — sięgać do formy uroczystych porozumień, zachowujących wszelkie dzięki dokładnemu określeniu praw i obowiązków stron walor umowy w rozumieniu kodeksu cywilnego, a nawet wykorzystywać formy aktu notarialnego.

Duże możliwości tkwią też w sferze organizacyjnej. Samorząd mieszkańców wsi nie zawsze jest w stanie pokonać bariery formalno-prawne i organizacyjne, które występują przy wspólnych przedsięwzięciach. Pokonywanie tych barier należy zgodnie z przepisami do obowiązków terenowych organów administracji państwowej. Bardzo często jednak sprawa przekracza możliwości tych organów (np. dokumentacja geodezyjna). Dlatego też terenowe organy administracji państwowej powinny otrzymać niezbędne wsparcie organizacyjne, kadrowe i materialne dla realizacji obowiązków związanych z obsługą formalno-prawną i organizacyjną przedsięwzięć samorządu mieszkańców wsi.

Krótki zarys problemów samorządu wiejskiego na Pomorzu w pełni uzasadnia tytuł tego szkicu, samorząd bowiem nadal nie wykorzystuje możliwości. Zmienia się wszakże natura i rozmiary przyczyn, które powodują to zjawisko. O ile dawniej na plan pierwszy wysuwały się przyczyny o charakterze politycznym, o tyle obecnie mamy do czynienia raczej z przyczynami o charakterze organizacyjnym. Obecne rozwiązania prawne umożliwiają pełne wykorzystanie możliwości tkwiących w samorządnych formach ludności wiejskiej. Trzeba tylko uwolnić się od stereotypów, sięgnąć po niekonwencjonalne środki działania, a przede wszystkim uwolnić się od uprzedzeń psychologicznych, które, jak dowodzi powyższy zarys, miały pełne prawo, aby się nagromadzić na wsi pomorskiej wielowarstwowymi złoгами. ■

## W oczach letników

Janusz Iskierski

W badaniach, które podjęliśmy na zamówienie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, interesowało nas w szczególności to, jak letnicy wyobrażają sobie swój udział w zbiorowym życiu wsi kaszubskich, w jakim stopniu i w jakich inicjatywach gotowi są czynnie uczestniczyć. Postawiliśmy także szereg pytań, które miały umożliwić zrekonstruowanie obrazu wsi kaszubskich w ich oczach.

Badania zostały przeprowadzone metodą „ankiety doreczanej” przy organizacyjnej współpracy z działaczami ZK-P. Otrzymaliśmy 82 odpowiedzi. Nie wiemy, jaki to procent tych, którzy ankietę otrzymali,

gdyż organizatorzy nie dysponują informacją, ile spośród 300 przygotowanych egzemplarzy dotarło do respondentów. Stanowi to dość istotne ograniczenie wartości prognostycznej badań, sam bowiem fakt wypełnienia i zwrotu ankiety jest znaczący — świadczy o nastawieniu prospołecznym.

Uzyskany materiał pochodzi od letników z jedenastu wsi gminy Chmielno: Borzestowo, Borzestowska Huta, Chmielno, Garcz, Łączyńska Huta, Zawory, Zajezerze, Lampa, Reskowo, Kożyczkowo, Miechucino. Z pewnością każda z nich ma określoną specyfikę, swoiste problemy nurtujące mieszkańców i letników,



a być może także indywidualny klimat społeczny i kulturowy. W niniejszym opracowaniu nie będziemy się tym zajmować, potraktujemy odpowiedź jako dotyczącą ogólnie wsi gminy Chmielno.

Zdecydowana większość respondentów to mieszkańcy Trójmiasta. W charakterystyce społeczno-zawodowej na uwagę zasługuje fakt, że ponad 80 proc. to osoby z wyższym wykształceniem. Dużą grupę stanowią respondenci zawodów technicznych — inżynierowie i technicy — 34 proc., a dalej kolejno: lekarze — 15 proc., artyści — 10 proc., nauczyciele akademicy — 9 proc., nauczyciele — 8 proc. Na uwagę zasługuje brak przedstawicieli prywatnej inicjatywy. Istotną cechą uzyskanego materiału jest niedostateczna reprezentacja młodszych roczników, tylko bowiem 28 proc. to osoby w wieku do 40 lat, podczas gdy 65 proc. respondentów mieści się w granicach 41–60 lat. Niestety nie wiemy, czy jest to wynikiem międzypokoleniowych różnic w postawach wobec sfery życia publicznego czy odzwierciedleniem określonej struktury wiekowej mieszkańców domków letniskowych, czy wreszcie — skutkiem tego, że w jakiś sposób ankietę docierała częściej do osób starszych. Brak tej informacji uniemożliwia wysnucie interesujących wniosków.

Zobaczmy najpierw jak letnicy wpisują się w społeczny pejzaż wsi kaszubskiej.

Jako jeden z istotnych czynników określających wzajemne stosunki pomiędzy miejscową ludnością kaszubską a letnikami można wymienić ogólne nastawienie, pewną zgeneralizowaną postawę przedstawicieli jednej grupy wobec drugiej. W naszych badaniach mogliśmy oczywiście zająć się jedynie postawą letników wobec Kaszubów. Zadaliśmy następujące pytanie: „Czy na podstawie dotychczasowego pobytu na Ziemi Kaszubskiej wytworzył Pan(i) sobie jakiś obraz, pogląd na temat Kaszubów? Prosimy o krótką wypowiedź”. Trudno byłoby streścić odpowiedź w syntetycznej formie, jako że są one różnorodne. Można powiedzieć, że nie ma jakiegoś jednego obrazu Kaszubów w oczach letników (zapewne też i w oczach szerszego społeczeństwa). W większości są to oceny pozytywne: „życzliwi”, „serdeczni”, „pracowici”, „uczciwi”. W wielu wypowiedziach (ok. 20–25 proc.) można odczytać satysfakcję z tego, że udało się przełamać rzekomą nieprzystępność i zamkniętość Kaszubów („są na pozór nieprzystępni i zamknięci w sobie, przy bliższym poznaniu otwarci, uczynni, bezinteresowni, można na nich polegać”). Warto się zastanowić, czy nie jest przypadkiem tak, że część letników poczytuje sobie za punkt honoru przełamanie owej rzekomej nieufności (tutaj zakładamy, że taki stereotyp jednak funkcjonuje, nie przesadzając, czy odpowiada on rzeczywistości). W każdym razie można postawić hipotezę, że w wielu wypadkach fakt kulturowej inności i odrębności Kaszubów jest — paradoksalnie — czynnikiem przyciągającym. Część respondentów wymieniała cechy odpowiadające stereotypowi skrytości: „nieufni”, „zachowują dystans”, „w dużym stopniu wyizolowani”, „widzą tylko swoje racje”. 10 proc. respondentów wymieniło skłonność do nadużywania alkoholu, co należy odnotować jako fakt niepokojący.

W innym miejscu zadaliśmy pytanie dotyczące charakteru stosunków pomiędzy stałymi mieszkańcami a letnikami. 22 proc. respondentów określiło je jako serdeczne, w tym 11 proc. jako bardzo serdeczne i zażyłe, natomiast 43 proc. uznało, że są one poprawne, ale obojętne. Tylko jedna osoba stwierdziła, że wzajemne stosunki są nieżyczliwe. 12 proc. nie potrafiło jednoznacznie ich określić.

Kolejne pytanie zadane letnikom dotyczyło ich obrazu własnej osoby w oczach mieszkańców wsi w aspekcie dychotomii „swój” — „obcy”. Chodziło nam tutaj o określenie, w jakim stopniu letnicy czują się osobście zaakceptowani przez mieszkańców wsi. Otrzymaliśmy następujące odpowiedzi:

- traktują mnie jako kogoś z zewnątrz, intruza, obcego — 0
- traktują mnie interesownie jako kogoś, kto może pomóc coś załatwić, na kim można zarobić — 4 proc.

— traktują mnie jako kogoś z zewnątrz, kto jest im obojętny — 6 proc.

— traktują mnie z życzliwym zainteresowaniem zachowując pewną rezerwę — 21 proc.

— traktują mnie z życzliwym zainteresowaniem i akceptują — 20 proc.

— traktują mnie jako osobę godną zaufania, oferując niekiedy bezinteresowną pomoc, a także powierzając swoje troski i zmartwienia — 26 proc.

8 proc. respondentów podkreśliło dwa ostatnie punkty, łącznie więc 54 proc. respondentów odczuwa akceptację swojej osoby w środowisku wsi, przy czym 34 proc. — pełną akceptację, z którą wiąże się zaufanie i emocjonalne otwarcie.

Zobaczmy teraz, w jakim stopniu letnicy identyfikują się ze społecznością wsi. Pytanie, jak gdyby syntetyzujące różne aspekty wzajemnych stosunków i postaw, miało dać odpowiedź, czy respondent czuje się we wsi

— przybyszem — kimś z zewnątrz, kto przyjeżdża tutaj tylko na wypoczynek — 9 proc.

— okazjonalnym gościem — kimś z zewnątrz, nie-trwale związanym z wsią — 15 proc.

— stałym gościem — kimś z zewnątrz, ale trwale związanym z wsią — 29 proc.

— kimś więcej niż tylko gościem, ale nie w pełni członkiem społeczności wsi — 42 proc.

— członkiem tutejszej społeczności — 4 proc.

Można powiedzieć, że identyfikacja letników ze społecznością wiejską jest zróżnicowana, od pełnej — 4 proc., do całkowitego jej braku — 9 proc.

Z punktu widzenia celu naszych badań istotną granicą przebiega pomiędzy uznaniem siebie za „kogoś z zewnątrz”, nawet jeśli jest się trwale związanym ze wsią, a określeniem siebie w kategoriach „tutejszy” (coś więcej niż tylko gość), nawet jeśli nie oznacza to pełnego zakorzenienia w społeczności wsi. Widzimy, że blisko połowa respondentów — 46 proc. definiuje siebie w kategoriach „tutejszy”, co zdaje się oznaczać, że letni domek nie jest dla nich wyłącznie miejscem letniego wypoczynku. Jest to raczej drugie mieszkanie, a cały otaczający mikrokosmos przyrodniczy, społeczny i kulturowy miejscem identyfikacji i przywiązania uznanym za „swoje”, za własne.

Z porównania odpowiedzi na dwa ostatnie pytania wyłania się ciekawy obraz wzajemnych stosunków i odniesień letników i mieszkańców wsi. Można wyróżnić następujące kategorie letników:

— letnicy zakorzenieni w społeczności wsi (identyfikujący się z nią i zaakceptowani przez mieszkańców) — 40 proc.

— letnicy pozostający w izolacji społecznej w stosunku do społeczności wiejskiej (nie identyfikujący się z nią i nie zaakceptowani) — 24 proc.

— letnicy dystansujący się wobec społeczności wiejskiej (nie identyfikujący się ze społecznością, zaakceptowani przez nią) — 21 proc.

— letnicy odrzuceni przez społeczność wiejską (identyfikujący się z nią, nie zaakceptowani) — 6 proc.

Interpretację przytoczonych danych ograniczymy do zwrócenia uwagi na dość dużą przewagę sytuacji, w których letnicy dystansują się w stosunku do środowiska wiejskiego, w porównaniu z sytuacją przeciwną. Świadczyłoby to, że stereotyp „zamkniętości” Kaszubów jest nieadekwatny do rzeczywistości. Niewielki stosunkowo procent „odrzuconych” spośród tych, którzy identyfikują się ze wsią, sugeruje hipotezę, że akceptacja letników w społeczności wiejskiej zależy od ich postawy w stosunku do społeczności kaszubskiej, a nie od „zamkniętości” Kaszubów, która wyrażałaby się postawą dystansu wobec nie-Kaszubów.

Przejdźmy teraz do problematyki funkcjonowania instytucji na terenie gminy Chmielno. Jaki jest ich obraz w oczach letników? Postawiliśmy w ankiecie pytanie „Czy miałby Pan(i) jakieś zastrzeżenia i postulaty pod adresem różnych instytucji?” W ten sposób uzyskaliśmy jednostronny obraz ocen negatywnych, nie pyaliśmy natomiast o oceny pozytywne. Spośród wielu wymienionych przez nas instytucji najwięcej negatywnych ocen uzyskały placówki handlowo-zaopatrzeniowe, w tym także Gminna Spółdziel-



nia (41 proc.). Jak można się domyślać, zastrzeżenia dotyczyły złego zaopatrzenia (materiały i sprzęt remontowo-budowlany, artykuły spożywcze). Na kolejnym miejscu w tej negatywnej hierarchii znalazła się komunikacja — 25 proc. Respondenci narzekali na złą komunikację z Trójmiastem. Problem komunikacji wiąże się bezpośrednio ze złym zaopatrzeniem, jako że letnicy zmuszeni są często wyjeżdżać do Trójmiasta, gdzie zaopatrzenie jest lepsze. Dotyczy to także posiadaczy aut, którzy zwracają uwagę na fakt, że paliwo jest racjonowane. 19 proc. respondentów narzekało na złą funkcjonowanie placówek gastronomicznych, których albo jest za mało, albo oferują kiepskie posiłki.

Po 12–13 proc. respondentów wyraziło jakieś zastrzeżenia w stosunku do usług rzemieślniczych (brakuje, za drogie, niefachowe), ośrodków wczasowych i kolonijnych (za dużo — zanieczyszczają środowisko, powodują hałas i przegęszczenie miejsc wypoczynku), instytucji kulturalnych (brakuje, nie działają), kościołów (za mało, za mało mszy, brak aktywności ze strony księży), Urzędu Gminnego (oceny streszczają się w stwierdzeniu „nos dla tabakieri”). Konieczna jest tutaj uwaga, że negatywne oceny odnoszą się prawdopodobnie również do tych samych instytucji na innym terenie. Respondenci często zaznaczali, że Gminna Spółdzielnia jest źle zaopatrzona — jak wszędzie.

Z problemów wykraczających poza sprawy instytucji, prawie wszyscy respondenci wymienili trapiącą ich plagę włamań i kradzieży w domkach, nasilającą się w okresie jesienno-zimowym. W wypowiedziach nie ma żadnych sugestii, które obarczałoby winą mieszkańców wsi. Na uwagę zasługują także liczne wypowiedzi krytycznie oceniające „najeżdżających turystów sobotnio-niedzielnich”, powodujące zanieczyszczenie środowiska (dzikie biwaki, dewastacja przyrody, zanieczyszczenie jezior). Wypowiedzi te można interpretować jako wyraz szerszego konfliktu, dzielącego społeczeństwo na dwie zbiorowości: z jednej strony stosunkowo nieliczną grupę posiadaczy i mieszkańców domków letniskowych, w poważnym stopniu zainteresowanych zachowaniem walorów rekreacyjnych środowiska, w którym są zakorzenieni, takich jak spokój i piękno przyrody; z drugiej — dominującą zbiorowość pozbawioną stałego miejsca wypoczynku, traktującą środowisko przyrodnicze w większym stopniu instrumentalnie, jako miejsce okazjonalnego wypoczynku i rekreacji z bardziej zaznaczającym się pierwiastkiem „wyżycia się”, „wyszumienia” — nawet kosztem przyrody.

Z problematyką, którą określiliśmy mianem „inicjatyw samorządowych”, ściśle wiąże się zagadnienie instytucjonalnych uwarunkowań podejmowania decyzji. Chcieliśmy poznać opinie respondentów na temat aktualnie funkcjonującego systemu podejmowania „ważnych dla mieszkańców wsi i letników decyzji” i porównać je z wyobrażeniami stanu pożądanego — jak powinien wyglądać właściwy system podejmowania decyzji.

Prawie połowa respondentów (47 proc.) wyraziła opinię, iż ważne decyzje podejmowane są bez jakiegokolwiek uzgodnienia z osobami zainteresowanymi (czyli rzecz prosta z mieszkańcami wsi i letnikami), lokując ich źródło w instytucjach centralnych. 27 proc. respondentów stwierdziło, że o ważnych sprawach dotyczących społeczności lokalnych decyduje naczelnik w uzgodnieniu z miejscową ludnością, w tym także z letnikami, przy czym decydujący głos należy do naczelnika. Zdecydowana mniejszość natomiast, bo tylko 17 proc. wyraziło opinię, iż podmiotem decyzji jest miejscowa ludność. Z kolei 23 proc. respondentów stwierdziło, że o ważnych sprawach wsi decydują układy i powiązania nieformalne, ewentualnie także łapówki. Widać tutaj jak w świadomości dużej części respondentów rysuje się jakby podwójny obraz systemu podejmowania decyzji. Z jednej strony jest to centralistyczny, nakazowy system, który niezbyt dobrze reaguje na istotne potrzeby społeczności lokalnych, z drugiej — system powiązań nieformalnych, różnego rodzaju układów, który być może kompensuje jakoś dysfunkcjonalność systemu centralistyczne-

go, ale z kolei jest czynnikiem patologizującym życie społeczne. Taki stan rzeczy jest prawdopodobnie negatywnie oceniany także przez osoby, które zmuszone są wbrew sobie funkcjonować w tym systemie.

W tym kontekście zrozumiałe są odpowiedzi dotyczące stanu pożądanego. Zdecydowana większość respondentów (68 proc.) uznała, że podmiotem decyzji dotyczących ważnych spraw społeczności lokalnych powinni być członkowie tych społeczności, którzy bądź zobowiązują naczelnika do załatwienia określonych spraw w ramach przydzielonych odgórnie funduszy (38 proc.), bądź samorządnie podejmują ważne przedsięwzięcia w oparciu o samodzielnie wypracowane środki i finanse (30 proc.). Mniejszość — 27 proc. respondentów widzi stan pożądaný w ten sposób, że naczelnik podejmuje decyzje konsultując je z mieszkańcami i letnikami.

Jakie respondenci mają wyobrażenia na temat ewentualnej wspólnoty interesów stałych mieszkańców wsi i letników, jakie sprawy mogłyby być przedmiotem ich wspólnej troski? 24 proc. respondentów bądź nie ma w tej mierze rozeznania, bądź w ogóle neguje możliwość zaistnienia takich wspólnych spraw. Natomiast wśród osób, które konstatują wspólnotę interesów mieszkańców wsi i letników (76 proc.) zdecydowanie na czoło wysuwają się dwie sprawy: ochrony środowiska — 35 proc. oraz budowy i naprawy dróg lokalnych (dojazdowych od drogi głównej do wsi i letniska) — 35 proc. Kolejne miejsca zajmują: doprowadzenie wody (13 proc.), estetyka wsi (10 proc.), pielęgnowanie i propagowanie kultury karszubskiej (8 proc.), kształtowanie właściwej kultury wzajemnych stosunków (6 proc.), zapewnienie stałego dopływu elektryczności (6 proc.), poprawa zaopatrzenia sklepów (5 proc.). Warto też odnotować niektóre pojedyncze głosy: rozwiązanie problemu włamań do domków letniskowych, założenie telefonu, zorganizowanie stałej galerii obrazów (reprodukcji) mistrzów światowego malarstwa oraz biblioteki dla dzieci i młodzieży.

Na uwagę zasługuje tutaj niska pozycja problemu włamań. O ile stanowi on wątek najczęściej poruszany w pytaniu o negatywne strony zamieszkiwania w domku letniskowym, o tyle tutaj fakt jego pominięcia wskazuje, iż letnicy i mieszkańcy wsi nie są w stanie we własnym zakresie podjąć przeciwdziałania i cedują to na organa MO.

Patrząc z perspektywy jednostkowej, czynna deklaracja uczestnictwa w jakichkolwiek przedsięwzięciach związana jest z przewidywaną oceną ich realności i skuteczności — niewiele osób uczestniczy w działaniach, które z góry skazane są na niepowodzenie, bądź których szansa powodzenia jest niewielka. Ocena tych szans jest z kolei w dużym stopniu zależna od oszacowania stopnia, w jakim „inni” gotowi są w tych działaniach uczestniczyć. Jest to opisany w literaturze socjologicznej mechanizm „samo-spełniającego się proroctwa”. Zobaczmy zatem, jak odpowiadali respondenci na pytanie: „W jakim stopniu Pana(i) zdaniem mieszkańcy wsi i letnicy gotowi są podejmować wspólne przedsięwzięcia? (gdyby podjęta była taka inicjatywa przez księdza, sołtysa bądź ZK-P)”. 33 proc. respondentów jest pod tym względem usposobionych optymistycznie, uznało bowiem, że w takich inicjatywach wzięłaby udział większość mieszkańców (stałych i letników). 18 proc. wyraziło bardziej umiarkowany sąd, iż wzięłaby udział powyżej połowa mieszkańców (stałych i letników). Natomiast 19 proc. respondentów to pesymiści, według których „zdecydowana mniejszość bądź kilku zapalczewców by się znalazło”. 26 proc. respondentów wołało wstrzymać się z oceną, uznając zapewne, że stopień udziału w działaniach społecznych uzależniony jest od wielu różnych okoliczności. Trzeba tutaj podkreślić, że uzyskane odpowiedzi przeczą tezie, że podejmowane tu i ówdzie inicjatywy wymagają przełamania powszechnie odczuwanej bierności i apatii. Być może jest to specyfika Chmielna, w którym tradycje społecznikowskie są żywsze niż gdzie indziej i udzielają się one również letnikom. Być może jest to wynikiem silnej pozycji ZK-P na tym terenie i je-



go wiarygodności jako organizatora społecznych przedsięwzięć.

Kolejne pytanie dotyczyło gotowości samych respondentów do wzięcia udziału we wspólnych przedsięwzięciach. Zdecydowana większość (ok. 60 proc.) wyraziła pewność co do tego, że wzięłaby udział we wspólnych przedsięwzięciach, gdyby tylko były organizowane. 33 proc. respondentów nie wyraziło co do tego całkowitej pewności, a jedynie duże prawdopodobieństwo — zapewne biorąc pod uwagę ewentualność jakichś okoliczności życiowych, które by to uniemożliwiały. Tylko 7 proc. nie zadeklarowało swojego udziału.

W jakiego rodzaju przedsięwzięciach chcieliby wziąć udział respondenci? Zdecydowana większość, bo aż 90 proc. wymieniła przedsięwzięcia związane z ochroną środowiska. Liczny udział zgłosili respondenci w trzech grupach inicjatyw (w każdej od 30 do 33 proc.): związanych z propagowaniem kultury kaszubskiej, estetyką wsi oraz naprawą lub budową dróg i kanalizacji. Na dalszych miejscach uplasowały się takie przedsięwzięcia, jak organizacja imprez kulturalnych (12 proc.), organizacja imprez sporto-

wych (7 proc.), organizacja imprez rozrywkowych (4 proc.), budowa obiektów rekreacyjnych — przystani, plaży (4 proc.).

Podsumowując można powiedzieć, że w wielu poruszonych sprawach postawy respondentów są różnorodne. Na ogół pozytywnej ocenie ludności kaszubskiej towarzyszy różnicowany stopień identyfikacji i akceptacji w ramach kaszubskich społeczności wiejskich. Większość letników postrzega pewne dziedziny, które mogłyby stać się przedmiotem wspólnej troski stałych mieszkańców i letników, postrzega więc pewną wspólnotę interesów. Negatywnej ocenie aktualnie funkcjonującego systemu podejmowania decyzji w skali gminy towarzyszy gotowość włączenia się do wspólnych inicjatyw o charakterze samorządowym, które z jednej strony zwiększyłyby podmiotowość społeczności lokalnych — w ich ramach również letników, z drugiej — byłyby jedynym sposobem zrealizowania ważnych dla wszystkich spraw. Na podkreślenie zasługuje fakt, że około 1/3 respondentów deklaruje zainteresowanie kulturą kaszubską i gotowa jest uczestniczyć w jej propagowaniu. ■

## Na gorącym uczynku

Rafał Nowakowski

Prawie każdego dnia służby ochrony przyrody wykrywają liczne wykroczenia przeciwko obowiązującym przepisom. Praktycznie rzecz biorąc nie sposób określić skali zjawisk dewastacji, zaśmiecania, kłusownictwa czy szkodnictwa leśnego. Nie trzeba się zbytnio zagłębiać w raporty Straży Leśnej i Straży Ochrony Przyrody, by dojść do wniosku, że winni są szeregowi pracownicy służb oczyszczania, mieszkańcy wsi czy obrzeży miast. Niejednokrotnie winę za kłusownictwo czy szkodnictwo leśne trzeba przypisać „turystom”, wędkarzom, grzybiarzom.

W Inspektoracie Terenowym Straży Ochrony Przyrody przy Zarządzie Parków Krajobrazowych w Gdańsku — podobno najaktywniej działającym w województwie — skupionych jest kilkunastu stale działających „ochroniarzy”. Wielu tu młodych ludzi, którzy ze względu na wiek czy brak doświadczenia nie dysponują jeszcze SOP-owską legitymacją. Trudno określić, ile czasu spędzają na patrolowaniu terenu. Trudno podać liczbę interwencji i przeprowadzonych rozmów, gdyż w wielu przypadkach poprzedza się na nie notowanym pouczeniem. Najbardziej wymiernym — niestety — efektem ich pracy jest liczba wystawionych mandatów karnych.

Doświadczeni strażnicy z inspektoratu mówią, że kaszubskie lasy i jeziora zanieczyszczają przede wszystkim turyści sezonowi. Praktycznie rzecz biorąc na brzegach każdego jeziora czy w okolicy pól biwakowych można znaleźć ilość śmieci wystarczającą do zapełnienia nie jednej ciężarówki. Nie są to jedynie „osiągnięcia” indywidualnych czy zbiorowych turystów.

— Kiedy wieczorem 26 lipca 1987 — wspomina jeden ze strażników — podjeżdżaliśmy w pobliże jeziora Kotel koło Olpucha, zauważyłem sporą lunę dobrze widoczną na tle młodego zagajnika sosnowego. Okazało się, że nad jeziorem biwakowali harcerze z Wejherowa. W późnych godzinach nocnych młodzież, a właściwie dzieci bawiły się przy ognisku, podczas gdy dorośli opiekunowie zajęci świętowaniem imienin Anny, zupełnie nie zwracali uwagi na to, że ogromne płomienie stanowią potencjalne źródło pożaru. Niestety, wypadek ten był jednym z wielu obserwowanych każdego lata.

Kilka tygodni później nad Jeziorem Raduńskim Górnym dopuszczono się naruszenia strefy ciszy. Zdarzenie z pozoru błahе, lecz... Obóz pletwonurków zorganizowany przez Wyższą Szkołę Morską w Gdyni używał aż trzech motorówek napędzanych spalinowymi silnikami oraz dwóch sprężarek do ładowania butli. Jak widać, organizatorzy zbiorowego wypoczynku nie mają pośzanowania dla przepisów o ochronie przyrody.

Nie mniej ważkim, jakże częstym na kaszubskich wodach, problemem jest kłusownictwo. Jakkolwiek najczęściej spotykanym sposobem kłusowania jest używanie tak zwanych pup, czyli pływaków z przymocowaną do nich żyłką, to największe szkody czynią zorganizowane grupy kłusownicze posługujące się bądź to wyspecjalizowanym sprzętem, bądź też po prostu prądem elektrycznym. Motywacja osób zajmujących się zakazanym połowem ryb jest rozmaita — jedni powołują się na tradycję rodzinną mówiącą, że kiedyś wody zostały nadane rodzinie, a nigdy

żadna ustawa nadania tego nie zniosła, inni tłumaczą się prozaiczną koniecznością wyżywienia rodziny, gdy sytuacja majątkowa i możliwości innego zarobku są znikome. Prawdziwym jednak motywem działalności kłusowników jest po prostu chęć zysku.

Do największych sukcesów „ochroniarzy” należy bezsprzecznie wytopienie i zatrzymanie szczególnie zuchwałego kłusownika działającego na jednym z większych akwenów Pojezierza Kaszubskiego. Informacje o jego bezkarnej działalności przez wiele miesięcy docierały do inspektoratu. Poza rutynowymi kontrolami prowadzono wielokrotnie zorganizowane „obławy”, w których jednorazowo brało udział kilkadziesiąt osób. Niestety, metody działania nieznajomego, polegające na poruszaniu się wyłącznie bezdrożami, nieużywaniu świateł i dokładnym zacieraniu śladów praktycznie uniemożliwiały złapanie go na gorącym uczynku, a nawet zdobycie informacji o miejscu jego zamieszkania. Wyczuwano swego rodzaju złąkliwość milczenia mieszkańców okolicznych wiosek.

W zatrzymaniu kłusownika znaczną rolę odegrał przypadek. Ujęty jako przyczynę podał konieczność wyżywienia chorych dzieci. Sprawa znalazła swój epilog w sądzie.

Z krainą jezior związany jest też problem ścieków. Wiele kaszubskich wiosek, a nawet większych miejscowości pozbawionych jest oczyszczalni. Teoretycznie rzecz biorąc ścieki powinny być wywożone beczkowozami do oczyszczalni w większych ośrodkach. W praktyce okazuje się to często niemożliwe z przyczyn, jak się je ładnie nazywa, technicznych. Brak beczkowozów, przepełnione, szczególnie w okresie letnim, oczyszczalnie odmawiające przyjęcia fekaliów. Poza tym wielu gospodarzy nie widzi potrzeby wywozu nieczystości, ścieki odprowadzają po prostu na pola bądź do pobliskich potoków.

Wymownym przykładem zanie-



czyszczania wód jest sytuacja w Chmielnie. Do leżącego u jego stóp Jeziora Białego leją się ścieki z rury prowadzącej przez całą wieś. W pierwotnym zamiśle miał to być ciąg drenażowy, odprowadzający jednocześnie nadmiar wód deszczowych. Zmyślni mieszkańcy doprowadzili do „rury” wyloty swojej gospodarskiej kanalizacji i tak szlam przemieszany niejednokrotnie z olejami czy smarami płynie do jeziora, na którym powstaje żółtawy śmierdzący nalot.

Lasy, w znacznej części położone na uboczu głównych dróg, narażone są na kradzież drzew czy zanieczyszczanie leśnych polan wysypiskami. Za powszechny uznać trzeba fakt — jak mówią strażnicy — kradzieży w okresie letnim drewna przygotowanego do wywozu z lasu. Najczęściej winni są turyści używający przyciętych bali sosnowych do rozpalania ognisk. Ale też wiele jest przypadków używania materiału drzewnego do budowy urządzeń obozowych na obozach harcerskich. Druhowie „potrafią” wycinać zdrowe drzewa, suszek i chrustu używając tylko do palenia. Nie są to oczywiście straty zagrażające istnieniu lasów, lecz z pewnością odgrywają niepoślednią rolę w procesie degradacji terenów leśnych.

Dużo niebezpieczniejszym, a przy tym nader częstym procederem jest nielegalne wywożenie drewna z lasu w sposób zorganizowany i na dużą skalę. Najczęściej robią to ludzie oficjalnie zatrudnieni przy wywozie. Wykorzystują posiadane dokumenty i na ich podstawie wywożą „lewe” przyczepy pełne papierówki. Nie sposób zapobiec wszystkim tego typu przestępstwom, gdyż nie można na każdym wyrębie postawić leśnika z fuzją, którego zadaniem byłoby pilnowanie drewna.

Bardzo często lasy są miejscem „upłynniania” niepotrzebnych przedmiotów. Na terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego od lat wyrzuca się śmieci w pobliżu rezerwatu w Dolinie Ewy oraz w Dolinie Radości, niespełna 500 metrów od siedziby Nadleśniczego Terenowego Oliwy. W pobliżu Gołębiewa przed laty porzucono wrak samochodu... Przykłady zaśmiecania lasów można by mnożyć.

Ciekawszym, bo aktualnym i dokładnie zbadanym, przypadkiem jest „naprawa drogi leśnej” dokonywana przez Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Czarlinie. 17 października w pobliżu zabudowań gospodarstwa złapano na gorącym uczynku jednego z pracowników tego zakładu. Ze służbowego wozu wyrzucał on dachówki na drogę leśną i jej pobocze. Ponieważ nie mógł się wylegitymować żadnym zezwoleniem, ani administrującego tymi terenami Nadleśnictwa Lipusz, ani Rejonu Dróg Publicznych w Kościerzynie, strażnicy postanowili skierować sprawę do kolegium. Wiedzieli z doświadczenia, że hałdy gruzu wyrzucanego na drogi nie są rozwalcowywane. Kilka dni po za-

trzymaniu w lesie pracownik stawiał się w inspektoracie. Jakież było zdziwienie strażników, gdy przeczytali w piśmie kierownictwa Zakładu Rybackiego Wdzydze: „... w związku z pogarszającym się stanem drogi gruntowej pomiędzy Czarliną a Przerębską Hutą zakład nasz przystąpił do jej doraźnej naprawy poprzez naniesienie gruzu i żużla. Ponieważ stanem jej nikt się w ostatnich latach nie interesował, Zakład Rybacki Wdzydze zmuszony był i jest poprawiać jej stan we własnym zakresie”. Nie ulegało wątpliwości, że w ten sposób rybacy pragną uniknąć odpowiedzialności za popełnienie wykroczenia z artykułu 154 kodeksu wykroczeń. Potwierdziło się to w rozmowie z dyrektorem Państwowych Gospodarstw Rybackich w Gdańsku sprawujących nadzór nad zakładem we Wdzydzech. Powiedział on:

— Niejednokrotnie naprawiamy drogi leśne przez wywożenie gruzu. Korzystając z nich często w związku z koniecznością dojazdu do administrowanych przez nas jezior, musimy dbać o ich stan. Brak uzgodnień z leśnictwami wynika z tego, że nie prowadzą one na tych

terenach gospodarki leśnej. W niektórych przypadkach informujemy ustnie przedstawicieli służb leśnych o fakcie wywieżenia gruzu czy żużla na drogi. Nikt z nas nie przypuszczał, że taka działalność może powodować czyjeś niezadowolenie.

Można powiedzieć — przykład z pogranicza winy i „zasługi”. Tak naprawdę to nie wiadomo, czy słuszne byłoby ukaranie rybaków z Czarliny. Przecież chcieli dobrze!

Przykładów zrozumienia wymagań zasad ochrony przyrody nie potrafił podać żaden ze strażników. Zarówno instytucje państwowe, jak i osoby prywatne dysponujące budynkami zlokalizowanymi na terenie parków krajobrazowych popełniają mniej lub bardziej widoczne wykroczenia. Problemem jest to, że dobre zamaskowanie brudów czy ścieków uniemożliwia ich wykrycie.

Oczywiście, są również osoby rozumiejące, że człowiek jest częścią przyrody i musi liczyć się z jej prawami. Wobec przyrody są pełne pokory i taktu. Szkoda, że z reguły są to tylko ludzie zawodowo lub hobbistycznie związani z przyrodą, którzy giną w masie „niszczycieli”. ■

Fot. Rafał Nowakowski





## ANKIETA

W ubiegłym roku zwróciliśmy się do kilkudziesięciu osób z prośbą, aby zechciały odpowiedzieć na naszą ankietę dotyczącą kondycji mowy kaszubskiej. Poniżej zamieszczamy tekst ankiety i dwie pierwsze wypowiedzi. Apelujemy o nadsyłanie dalszych, bo tylko wielość odpowiedzi pozwoli zorientować się w aktualnym stanie naszej rodzimej mowy. Wypowiedzi o dowolnej objętości prosimy nadsyłać na adres redakcji.

# CZY MÓWI SIĘ PO KASZUBSKU?

Kaszubszczyzna od dziesiątków lat jest przedmiotem naukowych badań. Mimo dość licznych opracowań dotyczących słownictwa kaszubskiego, nie doczekaliśmy się jednak pełnego raportu o aktualnym stanie mowy kaszubskiej, jej kondycji, zasięgu i stopniu utrzymywania się w poszczególnych wsiach i miastach czy na całych terytoriach. Wiemy już, że w najbliższych latach kaszubszczyzna będzie przedmiotem badań socjologicznych. Niezależnie od tego „Pomerania” pragnie już teraz, na bieżąco, publikować wypowiedzi Czytelników o stanie naszej rodnej mowy w różnych miejscowościach i środowiskach. W tych opiniach i osądach chcielibyśmy znaleźć odpowiedzi na następujące pytania:

- W jakim stopniu mowa kaszubska funkcjonuje w gronach rodzinnych, kontaktach międzysąsiedzkich, w miejscach pracy, nauki, w instytucjach i urzędach, placówkach kulturalnych?
- W jakich okolicznościach ludzie najchętniej posługują się mową rodzimą?
- Czy w ostatnich latach daje się zauważyć wzrost czy też spadek zainteresowania kaszubszczyzną?
- W jakich okolicznościach ludzie niechętnie lub w ogóle nie posługują się mową wyniesioną z domu?
- Jaki jest stosunek dzieci i młodzieży do mowy kaszubskiej?
- Czy rodzice lub dziadkowie rozmawiają z dziećmi po kaszubsku?
- Jakie są przyczyny odchodzenia dzieci, młodzieży lub dorosłych od mowy kaszubskiej?
- Co decyduje o powrotach niektórych osób do języka ziemi najbliższej?

W moich rodzinnych stronach — tak zwane Zaborry, Gochy nazywają nas Krubanami — mowa jest mniej kaszubska niż dalej na północy. Powiadają, że polaszemy, że bardziej z polską mówimy, tylko akcent jest kaszubski. Ale ten kaszubski u nas aż tak ubogi znowu nie jest, a na pewno nie był. Nasza Anna Łajming pisze po kaszubsku tak, jak się tu 75 lat temu, w czasach mojej młodości, mówiło. Znały mi jest każdy wyraz, którego używa. Ale młodzież nie zna tych wyrazów i nawet nie wie co znaczą, bo w potocznej mowie ich już się nie używa.

Mowa kaszubska jest najbardziej obecna w gronie rodzinnym i sąsiedzkim. A niech się pokłóć, zeźłoszczą, wtedy tylko kaszubski słychać. Dzieci i młodzież starają się mówić wszędzie po polsku. To wpływ szkoły. Jak powstała Polska i polskie szkoły po 1920 roku, to przestrzegano, żeby dzieci mówiły po polsku, bo robią dużo błędów w pisaniu i mają kłopoty z opanowaniem polskiego. Ale umiłowanie naszej ziemi i starodawnej mowy nie pozwala, żeby zaginęła. Pielęgnuje ją „Pomerania”, chociaż niektóre artykuły pisane po kaszubsku są tak wysoko pisane, że nawet sam ich nie mogę zrozumieć. Uważam, że to przesada.

Na ziemiach położonych na zachód od nas, na Gochach — w Lipnicy, Borzyszkowach, Brzeźnie Szlacheckim — mówią mocno po kaszubsku i tej mowy ładnie się słucha. Przed wojną przyjeżdżał do nas w gościnę p. Augustyn Lew-Kiedrowski z Brzeźna Szlacheckiego. Był wtenczas wójtem gminy Brzeźno. Mówił po kaszubsku tak pięknie, że było rozkoszą go słuchać, a lubił dużo mówić. W 1939 roku wybuchła wojna i Niemcy go zabrali i zamordowali.

**Józef Trzebiatowski**  
Wysoka Zaborska

We wsiach oddalonych od miast kaszubszczyzna jest jeszcze dość żywa. Po kaszubsku rozmawia się w domu, z sąsiadami, w sklepie, na przystankach autobusowych i w zakładach pracy. Najgorzej jest we wsiach położonych blisko wielkich miast — Gdyni i Gdańska. W tych wsiach po kaszubsku rozmawiają tylko ludzie starzy i w średnim wieku; dzieci i młodzież już nie.

Najlepszym przykładem takiej wsi jest Chwaszczyno w gminie Zukowo. Tutaj ludzie posługują się rodzimą mową w domu, w rozmowach z sąsiadami Kaszubami i podczas uroczystości rodzinnych. W ostatnich latach daje się zauważyć dziwne zjawisko. Ludzie z podstawowym i zawodowym — zasadniczym wykształceniem coraz mniej interesują się sprawami kaszubskimi i coraz rzadziej mówią po kaszubsku. Natomiast ludzie z wykształceniem średnim, a zwłaszcza wyższym coraz częściej rozmawiają, czasami nawet wręcz uczą się od początku po kaszubsku. To cieszy, ale i smuci, że do tej pory języka kaszubskiego nie znali.

Ludzie niechętnie mówią po kaszubsku, gdy znajdują się między nie-Kaszubami: w mieście, na ulicy, w autobusie. Najwięcej wstydzą się dzieci oraz młodzież i kobiety, rzadko mężczyźni.

Dzieci i młodzież na ogół niechętnie, czasami wręcz z pogardą patrzą na wszystko, co kaszubskie. To kaszubskie uważają za coś gorszego od tego, co polskie.

Rodzice i dziadkowie bardzo, i to bardzo rzadko rozmawiają z dziećmi po kaszubsku. Dziadkowie najczęściej nie znają poprawnej polszczyzny i tą łamaną polszczyzną rozmawiają z dzieckiem. Obecnie, gdy prawie w każdym domu jest radio i telewizor, lepiej by było, ażeby kaszubskie dzieci uczyły się po-



prawnej polszczyzny z audycji radiowych i telewizyjnych. To, że młodzież odchodzi od mowy ojców, najczęściej jest winą nauczycieli, którzy wprost zakazują w szkole rozmawiać po kaszubsku, nawet na przerwach i boisku. Mnie to przypomina moje doświadczenia, ale ja chodziłem do szkoły podstawowej w czasie okupacji.

Nie bez winy w tej sprawie jest też „Pomerania”. W „Pomeranii” poruszył ten problem tylko Jerzy Samp w artykule „Zanim się staniesz niemy w mowie ojców”. Poza tym „Pomerania” za mało drukuje tekstów kaszubskich. Wystarczy zajrzeć do rocznika z 1986 roku. Pełno tam tekstów literackich polskich, a kaszubskich bardzo mało. Od kilku lat w „Pomeranii” widzi się tylko kaszubskie teksty Stanisława Jankego, Eugeniusza Gołąbka, Andrisów Gusta i Leona Kuchty, innych autorów drukuje się tylko od wielkiego święta. Trzeba pamiętać o tym, że „Pomerania” jest obecnie jedynym pismem na świecie, które drukuje teksty kaszubskie i ci inni autorzy nie mają możliwości drukowania swoich utworów. Autorzy polskich tekstów — tak.

Pierwszej przyczyny większego zainteresowania kaszubszczyzną upatruję w dyskusji, jaka toczyła się w 1981 roku na łamach „Głosu Wybrzeża”. Wydaje mi się, że zbudziła wielu „śpiących”. Ludzie wtedy zrozumieli, że kaszubszczyzna jest jednak coś warta, skoro toczą się o nią spory. Takiej dyskusji trzeba obecnie na łamach „Pomeranii”. Pani redaktor Izabella Trojanowska często przypomina: „Najgorsze jest milczenie” i to jest prawda. Drugiej przyczyny upatruję w życzliwym stosunku Kościoła katolickiego do języka kaszubskiego. Dużo dobrego robią obecnie kaszubskie msze. Także dużo dobrego robią coroczne spotkania pisarzy kaszubskich w Łączyńskiej Hucie, gdzie wygłasza się referaty i toczy dyskusje tylko po kaszubsku.

Alojzy Nagel  
Gdynia

## Jerzy Łysk

\* \* \*

Moją lubotą  
Je grężelk zemi  
Chtěrny w bidelku  
Na drogę da  
Mëmka  
Swicóny łzamě  
Cziej w swiat  
Jô wëszedł  
Grężelk  
Co z pola  
Tatk dodóm  
Przëniósł  
Bě nóm pokôzac  
Jak woniô zymk  
Grężelk  
Co wiedno  
Szepce mie słowa

## STEGNA

Ile było ścieżek w mym życiu? Dużo. Najpierwsza ścieżka wszystkich ścieżek, pramatka drożyn — to ścieżka mego dzieciństwa. Nie ścieżką wówczas się zwała, lecz *stec k a*. Biegła od rodzinnego domu we wszystkie strony świata, a świat ten miał wymiary Kosmosu, i ja tą stec ką chadzałem. Robiłem to z upodobaniem i z pasją, omijając ulice i chodniki, i nie dlatego, że w mym Miasteczku było ich nie za wiele, lecz z tego względu, że na stecce czułem się panem siebie.

## Stecki

i

## stegnny

Steka prowadziła tędy kędy chciała, kapryśnie i nie do przewidzenia, lecz dzięki temu właśnie czułem się na niej niczym Kolumb odkrywający nowe światy. Aż oto, na Piotra i Pawła pamiętnego 1944 roku, po nocnym bombardowaniu, wyruszyłem z matką stec ką wiodącą ku Zachodowi. I nigdy już nie miałem powrócić do swej praojczyzny, do swojej wileńskiej Europy. A jeśli tam dwukrotnie się zjawiałem, to już jako przybysz, jako obcy, jako człowiek, który po odkryciu Nowego Świata nie może powrócić do Starego. Nowe pożarło go...

Ale właśnie stecki młodoczańskie, ponizkie i leonpolskie nauczyły mnie wędrować „na niuch”, nauczyły też wędrowania w samotności, bo cóż można dojrzeć w tłumie? Ścieżki, stecki, tropy i drożyny wiodące tędy i owędy, prowadzące w miejsce niespodziewane, oszałamiające odkrytym, ale też nieraz wywodzące na miejsca pustynne, gdzie udręka, posucha i opuszczenie mają swą ojczyznę...

Tak więc, najpierw zszedłem z wileńskiej stecki, aby wędrować mazowieckimi, śląskimi i karpaccimi ścieżkami i szlakami. I oto w odkrywczym lato 1970 roku, ze swym gdańsko-lwowsko-orłowskim towarzyszem przemierzyłem w poprzek całe Kaszuby: od Orłowa do Czarnej Wody nad Wdą. I wtedy to po raz pierwszy pod stopami poczułem twardy grunt. Była to kaszubska stegna.

Będę więc chciał dalej, dzięki gościnności „Pomeranii”, wędrować przez Kaszubską Krainę. Raz po raz mogą mi się splotać drogi, a i czas może być nie ten i miast na stegnny mogą znaleźć się na bezdrożu. A przecież będę wracał na swoją stegnę...

Gdy tak patrzę ze swego pokoiku na północny zachód, przypomina się mi opowieść mego przyjaciela, kaszubskiego Czarnoksiężnika, na co dzień mężczyzny w średnim wieku o posiwiałej, lwiej grzywie. W zmierzchu, październikowy czas zapuścił się on torfową stegną w Karwieńskie Błota. W pewnej chwili ujrzał rozległe bielawy, a na nich popielatosiwe płachty. Gdy słońce siadło za horyzontem, bielawy ożyły: wielka płachta uniosła się ku niebu, jaśniejąc śnieżną chmurą. Rozległy się dojmujące do szpiku kości, tajemnicze fanfary: „kriur — rir! kriur — rir!” Był to głos spoza Ziemi, głos kosmicznej Tajemnicy, głos Boskiej Potęgi, która na chwilę zechciała posłużyć się słyszalnym dźwiękiem.

Tak żegnały się z Północą żurawie, odlatując ku afrykańskiej przystani. Tylko na czas pewien, bo tu jest ich borealna, jedyna ojczyzna.

Zbigniew Żakiewicz





## STO + JEDEN

Prezentujemy trzy spośród czterech fotografii uhonorowanych Grand Prix i nagrodą specjalną „Pomeranii” w konkursie STO + JEDEN. Autor — Wojciech Kryński jest znanym fotografikiem. Uczestniczył w kilku wystawach zbiorowych, w tym w 13 Biennale FIAP (RFN 1974), 4 Światowej Wystawie Fotografii „The Children of this World” zorganizowanej przez Karla Pawka i wystawie „Głosy krytyczne z Pol-

ski” (Szwecja 1981). Miał też kilka wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, m.in. „O równość społeczną”, „Twórczość Dziecka”, „III Pielgrzymka do Ziemi Ojczystej”. Stale współpracuje z wydawnictwami „Arkady” i „Interpress”. Przygotował książki-albumy: „Toruń — portret miasta”, „Spichrze polskie”, „Złotnictwo polskie”. Obecnie pracuje nad albumem „Katedra Gnieźnieńska”.







Kaszuby, kaszubszczyznę wyobrażam sobie jako statek, wdeptany w morze przez najeźdźców. Statek uparty, wierny morzu i przymorskiej ziemi. Poszedł na dno, ale tak zamknął się w sobie, zatrzęsnał w gorzkiej soli, że nie oddał zgniliznie ani jednej deski. Nie uronił ani jednej staropolskiej zgłoski. Próbowaly go drażnić i nadgryźć obce jego słowiańskiej naturze germanizmy, zaborcze topory tak zwanych faktów dokonanych odrąbywały go od macierzystego dna. Niczym łomy próbowały go podważyć germanofilskie teorie niektórych językoznawców — ale on trzymał się gruntu:

*Ni ma Kaszub bez Polonii,  
a bez Kaszub Polsczi.*

Nieraz drażyła to trwanie dziełona z Polakami rozpacz:

*Leno dōj Kaszëbóm žëc.*

Nieraz, jak w kolędzie Karnowskiego, wybuchał gorzki żal do Polaków, a źródłem siły pozostawał sam Bóg:

*Më doch w Kaszubëji strzeżem  
Polsci granic,  
Chocy z Galileji mają naju za  
nic —  
A tą naju stróżą mnożim chwałę  
Bożą...*

(Galileja to Galicja, Polska).

Kaszubskie trwanie dla Polski — choćby na przekór Polsce, która — bywało (i bywa, niestety, jeszcze teraz) — zachowywała się wobec Kaszub jak wyrodna matka...

Ale jednak wielu próbuje dzisiaj ten statek podźwignąć z dna i deska po desce odtworzyć w specjalnym skansenie. Dwoją się i tróją coraz liczniejsi entuzjaści spod znaku Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (do którego i ja od dziesięciu lat należę) i oto statek — jak o tym donosi raz po raz „zawieszany” kaszubsko-pomorski miesięcznik „Pomerania” — rośnie w oczach, radując dusze światłych turystów i samych działaczy, poważnie inteligentów, którzy coraz sprawniej organizują przeróżne celiady, wydają, w znikomych oczywiście nakładach, kaszubskie książki, ogłaszają literackie i krasomówcze konkursy, nagradzają, popierają, dyskutują.

Już, zdaje się, prawie wydźwignęli cały statek...

Tylko dno nie puszcza. Dno — rdzenny kaszubski lud ze swoim codziennym życiem — nadal głucho i uparcie nie daje się wydźwignąć. Przywarło do głębokiego piachu, jakby już nikomu nie wierząc. Także swojej własnej inteligenckiej górze, co nie po raz pierwszy się poruszyła (i poróżniła... społecznie). Dno statku trzyma się swego odwiecznego gruntu.

Kaszubski lud mało czyta kaszubskiej literatury, nie wypowiada się na „żywotne tematy”, nie studiuje swojej historii i kultury (bo i szkoły o takim profilu — ani jednej), nie rozchwytuje kaszubskich słowników i uzgodnionych

wreszcie z grubsza „zasad kaszubskiej pisowni”. Dno statku zdaje się nic nie wiedzieć o wznoszonym u góry skansenie. Trwa.

Wierzę w kaszubskie dno. Teraz ono, przede wszystkim ono mówi prawdę o wielkim statku „Kaszubęja”, który choć może jako naród nigdy już nie wypłynie, ale też się nie podda i nie da poskładać w dobrośliwy skansen. Między morzem i ziemią trwa w ciszy swego przemijania.

Jest coś z memento mori w kaszubskiej epopei. Coś także przeciw mojej naturze, która wszystko chce zapisać, zachować, za-skansenować. Coś przeciw mojej krzątaninie słów i niby-czynów.

17.01.1985

## 103

A Bydgoszcz, której także przyszło trwać pośród zaborczego żywiołu?

To wyspa o zgniliych brzegach. Te brzegi jak sine żyły wdarły się do środka i zatruwają cały jej organizm. Podczas gdy Kaszubi uchwycili się żywego gruntu orząc glebę i wodę, czerpiąc z pulsującej przestrzeni, bydgoszczanie dopadli swoich politurowanych gratów, pucowali je „na wysoki połysk”, chuchali w wielkie lustra, podkreślali ciężarki swoich mocno „stojących na nogach” zegarów. Ukryci za gęstymi firanami — żeby czasem ktoś nie zobaczył, nie ukradł, nie doniósł — ciułali, gromadzili, przechowywali „na ciężkie czasy”.

W sztormowym wietrze drewniane checce Kaszubów przypadały do ziemi i morza, ale w potrzebie jak wierne lajby szły sobie na pomoc, wiążąc się ze sobą. Było jakieś otwarcie w tym samoobronnym przywieraniu do siebie. Prawda: również te drewniane łodzie drażyła, zwłaszcza w czasie okupacji, podejrzliwość, która jest chorobą zbyt przewlekłej czujności i która jeszcze dzisiaj przyciemnia spojrzenia wielu Kaszubów. Ale to nie była i nie jest ta zmateralizowana i ciasna chytrłość bydgoszczan, odwrócona tyłem do sąsiada, obżerająca się po cichu, poklepująca po brzuchu — bo „tyle mojego, co w siebie wepchnę”. Murowane bunkry-bloki bydgoskich mieszczan, choć spiętrzone jedne na drugich, trwały daleko od siebie, vegetując w zgnilym dryfie. Obmyślane „na zawsze”, na całe życie, dotąd rozpadały się w swoim doraźnym materializmie.

To miasto — pełne przecież tzw. solidnych i pracowitych obywateli — rozpada się nawet dosłownie. Śródmieście i „bydgoska Wenecja” są już jedną smrodliwą zapadliną. Sypią się tynki, gniją mury. Choć ludzie tu nie mniej zamożni niż gdzie indziej. Samochody, coraz więcej prywatnych wozów na kocim bruku śródmieścia. Krzątania, zakupy, zakupy w ciasnocie ponurych ulic. Człowiek wchodzi na człowieka



i odbija się łokciem. Obskurne tramwaje na krzywych szynach krzyczą chwałę tysięcznych egoizmów. Za to w prywatnych mieszkaniach wszystko „na glanc”, na pokaz, mnóstwo gratów „masywnych” — jak mawiali moi bydgoscycy wujkowie opukując dumnie swoje szeroko rozparte meble.

— Ja, to nas przeżyje — dodawali bezmyślnie jak amen do pacierza.

Chyba już na amen znienawidziłem to moje urodzinowe miasto? Przez całe dorosłe życie uciekam od niego na cztery strony kraju. Przenosiny, przeprowadzki, ale z dystansem — żeby nie dotknąć tego ciepłego błotka. Jakby skulony we mnie mieszcuch bał się, że go to „rodzinne” wciągnie i na powrót oswoi, oblepi, dusząc jego w trudzie zdobyte morza i oceany...

19.01.1985

104

Mam nowy termin określający niektóre cechy psychospołeczne

bydgoszczan: nie „bydgoskość”, tylko „bydgoszczaństwo”. Pobrznięwa w tym specyficzne, zrodzone na pograniczu kultur (polskiej, niemieckiej i „antkowo”-galicyjskiej) drobnomieszczaństwo, a także to marzone przez bydgoszczan jaśniepaństwo (mówią: „wiesz, oni to som takie wielkie państwo” i czuje się w tym kompleks niższości wobec bardziej wykształconych lub zamożnych). Wreszcie — to już dla mnie samego — jest w brzmieniu tego neologizmu także zwykłe, samolubne draństwo.

20.01.1985

(cdn.)

Zbigniew Jankowski

## Kazimierz Nowosielski

### RODOWÓD

Wywodzę się... Ach wywodzę się z siebie

No może także z wygnanego brata  
z matki czekającej na zmurszałym progu  
z liścia złożonego na pragnącym oku  
i z daremnego czekania na list  
z lichego skrzypu na jałowym polu  
z tego żem widział jak budzi je rosa  
żem zaznał szczęścia i trwoży mnie ciało  
z tego co będzie  
z tego co się stało

### OBRZYDZENIE

Obrzydzenie którym zaczynam oddychać  
na widok pewnych artykułów  
z powodu tego że niektórzy  
udają że się nic nie stało  
z powodu tego iż niektórzy  
usiłują kupczyć tym co się stało  
ponieważ ci z którymi się witałem  
ukrywali noże w rękawach  
ponieważ o pewnych ludziach  
zaczynam myśleć jak najgorzej  
ponieważ chcą by rzeka nadziei  
wezbrała monstrualnym śmiechem  
ponieważ bezsilnością obwiązują mi szyję  
ponieważ mogą zapomnieć  
na co się ważyłem



## ROZMOWA Z OJCEM

Zapewne trawa dotarła do twoich stóp  
przetkały warstwy czasów i niesłyszalne  
pory roku Co uczyniłeś  
— czyżby wracało we mnie:  
dom nasz kroki matki szept snów  
w koleinach drogi — coś co trudno mi pojąć  
wszystko marność zabrała  
i pola Obłoki toczą koło Chłopiec  
goni zmierzch patykiem po płocie  
by zniknąć za mną — na zawsze  
gdzie brama drży mocną trzaśniętą dłonią  
za tłącym się twoim odbiciem

## OBCY

Bywają dni w których trwam  
niczym niklowana klamka na czatach  
w pustym pokoju stoję przy oknie  
Czerwony dach cień przedjesienny  
klonu — potwierdzają mnie  
Chciałbym nacisnąć klamkę  
by wejść i powiedzieć: jestem  
znów jestem matko stole podłogo  
Poznaję was  
Znajomym kubkiem chcę nabrać wody zaprzeszłej  
a wtedy ktoś obcy wstaje  
zdziwiony moim przybyciem — Niestety  
— powiada — taki tu nigdy  
nie mieszkał

## JESTEM

Choćby w jednym „jestem”  
wszystko odnowione: krów porykiwanie  
zagarniane w echo  
ukłony wierzb pod zmierzchem  
przydrożne pismo rozchodnika  
samochód mocniejszy od nerwów kierowcy  
gdy stoi za mym oknem prycha  
a nie znika  
A także ktoś kto rano trzepaniem dywanu  
zbudził motyle znad kwiatnych rabatów  
I ten kto pisze swój codzienny wiersz  
a nie wie czy podoła  
choć jego milczeniu

Kazimierz Nowosielski



# Seweryna

(dokończenie)



Tego dnia wieczorem Tania co chwila wyglądała przez okno. Wyczekiwała z niecierpliwością brata, który pracował na poczcie. Roznosił telegramy i często wracał do domu późno, ale dziś Tania była o niego wyjątkowo niespokojna. Wreszcie usłyszała, że ktoś przed wejściem do domu obłukuje obuwie ze śniegu, otwiera bramę i jeszcze przytupnąwszy dwa razy wchodzi po schodach na piętro.

— No, nareszcie — mruknęła, choć kroki wydały się jej obce.

Nie był to brat, ale Janek, mąż Seweryny. Zawiedziona zapytała oschle:

— Co się stało?

— Jak to co się stało? Nic się nie stało. Kazałaś mi do siebie zaglądać, to przyszedłem.

Tania obróciła się na pięcie i westchnęła niecierpliwie.

— Czekam na Ferdynanda. Niepokoję się o niego.

— Przecież on nie jest dzieckiem...

— Nie jest dzieckiem, ale jestem dziś zdenerwowana. Przyjdź innym razem.

Janek stał przez chwilę, niemile zdziwiony i zawiedziony.

— Chciałem ci tyle powiedzieć...

— Znam twoją śpiewkę o miłości. Przyjdzie czas, to pogadamy. Co jeszcze?

Janek nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, ale przypomniał sobie, że słyszał od sąsiada o aresztowaniu jednego folksdojczy, zdrajcy z Radomia, więc uczeplił się tego tematu.

— To już słyszałam — przerwała. — I proszę, idź już, niedobrze się czuję.

Janek posłusznie wyszedł. Co jej się stało? — myślał. Do domu wracać nie chciał, poszedł więc do biura. Było zamknięte, okna ciemne. Stał chwilę w mroźnym wietrze i padającym śniegu, potem zawrócił. Nie wierzył Tani. Mogła oczekiwać kogoś innego. Skręcił w ulicę Chojnicką, gdzie daleko, prawie pod lasem mieszkała Tania.

Tymczasem wrócił do domu Ferdynand, nieco podchmielony. Szarpnął klamką i Tania przyskoczyła do drzwi, by je otworzyć.

— Co z tobą? — zasyczała ze złością. — Ja się niepokoję, a ty, cholero jedna, na pewno znowu się uulałeś!

Ferdynand otrząsnął się ze śniegu i bez słowa wszedł do mieszkania. Dopiero gdy usiedli przy stole, powiedział:

— Jest się czym niepokoić. Doręczałem dziś telegram imieninowy. Zawsze przy takiej okazji coś nam, doręczycielom, kapnie. Ale w tamtym domu nic nie dostałem, a w dodatku przyglądano mi się dziwnie podejrzliwie. Pani domu nietulejszym akcentem zapytała, skąd pochodzę. Wszyscy wytrzeszczali

na mnie oczy, a nawet zdawało mi się, że ktoś szepnął: „zsubrawiec” czy coś w tym rodzaju. Chyba trzeba będzie się stąd wynosić.

— Ach, jesteś przewrażliwiony! Mogło ci się здаwać. Wprawdzie ja też myślałam o wyjeździe. Czas mi wyjść za mąż, a skąd tu wziąć kandydata, skoro Niemcy wszystkich młodych mężczyzn wytłukli. No i zarabiać lepiej też bym chciała. Jedna z moich koleżanek była przez pewien czas u swojej siostry we Wrocławiu. Opowiadała, że tam czekają na ludzi do pracy, a tu trudno ją znaleźć. Tam są wolne mieszkania, tu ich brak. To wielkie miasto. Tam możesz być bezpieczniejszy.

— To dobra myśl. Mężczyzn jednak wszędzie jest mało. Gdybyś wyszła za tego Janka, moglibyście otrzymać przydział na większe mieszkanie. Wiem, że on poszedłby za tobą choć w ogień. Podobno mieszka z jakąś kobietą, ale ślubu nie mają. Zapytam go, jakie ma wobec ciebie zamiary.

Tania tylko westchnęła. O wiele bardziej podobał się jej kierownik działu kultury w ich urzędzie; niestety był żonaty. Długo jeszcze snuli myśli o kolejnym urzędzeniu się w innym mieście, dopóki Ferdynand nie ziewnął i obejrzał się na drzwi swego pokoju.

Janek tymczasem stał na ulicy skurczony z zimna w coraz większej zawiei śnieżnej i zaglądał w nie zasłonięte okna Tani. Rozpoznał w kręcącym się po mieszkaniu mężczyźnie jej brata, uspokojony wrócił do domu.

W pozornym spokoju minęło parę miesięcy. Aż któregoś marcowego popołudnia Seweryna wracając z dzieckiem do domu już z daleka zauważyła puste miejsce na drzwiach. Tabliczka z nazwiskiem Janka zniknęła. W domu nie było też jego rzeczy. Szafa była opróżniona. Tylko stare jego buty i pantofle stały jak zawsze pod ławką. Seweryna zdrętwiała. Co się stało? Dokąd mógł się wyprowadzić? — zapytała siebie przerażona. Dziecko wołało pić i trzeba było szykować dla niego pożywienie. Drżącymi rękoma przygotowała posiłek, ale sama nic jeść nie mogła. Po raz pierwszy zaczęła podejrzewać, że Janka zainteresowała inna kobieta. To byłoby straszne. Bardzo pragnęła go zobaczyć.

Kiedy położyła dziecko do snu i zapadł już mrok, zapukano do drzwi. Była to gospodyni, pani Kosińska. Seweryna złapała za miotłę udając, że sprząta.

— To dla Maryni — pani Kosińska podała Sewerynie kawałek placka, a oczy jej z ciekawością rozglądały się po pokoju.

— Bóg zapłać. Ona ju spi, ale dóm ji, jak odecknie — odrzekła Seweryna i dalej sprzątała posadzkę, choć ledwo trzymała się na nogach.

Gospodyna postąpiła chwilę bez słowa i wyszła.

Seweryna natychmiast przerwała pracę. Zmęczona, po raz pierwszy w życiu o tej porze położyła się na leżance i oddała smutnym rozmyślaniom. Nie miała żadnej przyjaznej duszy, której mogłaby się zwierzyć ze swoich trudności. Do pani Kosińskiej nie nabrała jeszcze zaufania. Nie miała ojca ani matki, żadnej bliskiej rodziny, tylko męża. Niechby już co chce robił, byleby był z nią razem. Nagle usłyszała otwieranie drzwi i znajome kroki. Natychmiast zerwała się z leżanki, a on wszedł do pokoju jakby nigdy nic, z czapką w ręku. Seweryna podbiegła, gotowa, jak zawsze, służyć mu pomocą, ale on okrycia zdjąć nie chciał. Wtedy skoczyła do kuchenki, by przyrządzić mu kolację. Zatrzymał ją mówiąc:

— Seweryno, zostaw to. Proszę cię, bądź dobra i wysłuchaj mnie. Wysłuchaj mnie, Seweryno...

Podeszła więc i patrzyła na niego z wielkim niepokojem, a on mówił dalej:

— Seweryno... Ja wyjeżdżam do Wrocławia już jutro, i nie wrócę... Nigdy już nie wrócę. Ale ty mi wybaczysz, jeśli zrozumiesz...

Przez chwilę milczała, bo nic nie rozumiała. Rozchyliła tylko jeszcze bardziej usta i popatrzyła mu w oczy, ale on je odwrócił. Zdawało jej się, że był jakiś inny, nawet głos jego był obcy. Wreszcie drżącym szeptem zapytała:

— To tē mie chcesz ostawić?

— Tak, Seweryno.



Znowu zaniemówiła. Po chwili jednak nabrała oddechu i zdławionym głosem wykrztusiła:

— Tę przysięgł Bogu, że mnie nie ostawisz już do śmierci...

— Wiem, ale w życiu nie wszystko jest takie proste i nieraz niełatwo wykonać to, co się przyrzekło lub przysięgało. Widzisz... Zakochałem się w innej kobiecie, i to na śmierć i życie, i ty musisz o tym wiedzieć.

Seweryna, przerażona, znieruchomiała. Drżały jej tylko ręce. Patrzyła w jego zdrowe oblicze i znowu myślała, czy jest to ta sama twarz, która tak ją przerażała i wzruszała, gdy na parę godzin przed wyzwoleniem ujrzała go po raz pierwszy w ciemnej, oświetlonej zapalną świeczką.

— Wiem, że wiele ci zawdzięczam, droga Seweryno — mówił dalej Janek — może nawet i życie, ale mnie się też coś z tego życia należy. Chcę być szczęśliwy jak inni. Bo widzisz, Seweryno, ta miłość do ciebie to była pomyłka.

Pomyłka?... Spłoszone myśli Seweryny przywoływały wspomnienia: ich miłości, ich początkowego szczęśliwego współżycia, ich borykania się z powojenną biedą, ich wspólnych radości. Chciała mu to wszystko przypomnieć, ale nie umiała znaleźć słów, więc cała odrętwiała zapytała tylko nieswoim głosem:

— To tę miłość nie lubił?

— Ta miłość była inna. Nie rozumiesz tego?

Rozplakała się nagle i głośno:

— A Marinka? Nie je coś żół je ostawić?

— Ciii... — psknął Janek i podbiegł do drzwi, a otwierając je szybko, spłoszył podsłuchującą tam osobę. Wrócił do Seweryny i odrzekł ciszej:

— Naturalnie, że żal. I to bardzo wielki. Ale prawdziwa miłość jest zła, zdręcza i odbiera spokój, a może i rozum. — Potrząsnął głową jakby z niezadowolaniem i dodał zapatrzony gdzieś w kąt pokoju: — Bo jak ten amor tym swoim łukiem to serce przebiję, nie ma odwrotu.

A ona słuchała, znowu nic nie rozumiejąc. Dłonią tylko ocierała łzy.

— Ale ty mi wybaczysz, Seweryno? — upewniał się Janek.

Wstrząsnął nią ponowny płacz. Jej ramiona drgały, łzy kapły na fartuch i podłogę. Przerywanym głosem wyszeptwała:

— Nicht cieb nie będę tak lubił jak jō. Ale jō cē dobrze żęcę... — dodała z trudem.

Janek stał przez kilka sekund milcząc. Było mu przykro, chciał już skończyć rozmowę, ale nie wiedział jak. Dziecko spało. Tylko cichy szloch Seweryny przerywał ciszę. Janek objął ją i zapytał raz jeszcze prawie prosząc:

— Wybaczysz mi, Seweryno? Znam cię. Ty mi wybaczysz... Czy słyszysz mnie? — pytał, potrząsając nią.

Seweryna rozszlochała się jeszcze bardziej. Przytuliła się do niego, jednocześnie przytakując głową, że wybacza. Dodała tylko:

— Jō będę na cę czekała...

Janek szybko pocałował ją w czoło i podszedł do uspiętego dziecka. Przez chwilę patrzył na córeczkę, po czym jakby zadowolony, że najgorsze ma już poza sobą, śpiesznie ruszył do drzwi. Wychodząc obejrzał się na pokój, jakby sprawdzał, czy czegoś nie zapomniał.

Zostawszy sama, Seweryna przestała płakać. W życiu zniosła wiele, zniesie i to. Trzeba tylko ukryć swój smutek przed ludźmi i, jak zawsze, pracować na chleb. Gdy sprząając kuchenkę uprzytomniła sobie, że jej ukochany mąż żyje teraz z inną kobietą, rozżaliła się znowu. Płakała też, kiedy położyła się do łóżka. Choć zmęczona generalnym sprząaniem pomieszczeń mleczarni po remoncie, zasnąć nie mogła. Przypomniła sobie swój najszczęśliwszy dzień w życiu, ich ślub w kościele, kiedy przysięgali sobie wierność... I to, że Janek upuścił wtedy swoją obrączkę, którą miał położyć przed ołtarzem na tacy. Wysmyknęła mu się z ręki, potoczyła po posadzce na środek kościoła i skrzyła prosto w stronę wyjścia tak, że świadek ledwo zdążył zatrzymać ją nogą. To był niedobry znak... A przecież podarował jej w tym dniu

łańcuszek z medalikiem Matki Boskiej i byli tacy szczęśliwi. Zabierał ją do kina i na długie spacer. Cieszył się, kiedy urodziła mu córeczkę. Ale po pewnym czasie stał się jakiś inny, zamyślony, odzywał się rzadko, unikał jej wzroku i odburkiwał. Do cywilnego ślubu też się nie kwapił, wymawiał się brakiem czasu. Wychodził wieczorami, a ona nie śmiała zapytać, dokąd i po co. Nie rozmawiał z nią jak kiedyś. Przysnęła już znużona smutnymi rozważaniami, kiedy nagle krzyknęła we śnie, serce zabiło jak młotem i znowu była trzeźwa. Wreszcie zasnęła na dobre.

Na drugi dzień, ledwo Seweryna wróciła z dzieckiem do domu, do drzwi zapukała pani Kosińska.

— Seweryno, ugotowałam dziś więcej zupy, starczy dla was, nie musisz gotować. Tu, proszę — powiedziała, stawiając garnek na kuchence i zaraz dodała z westchnieniem: — Wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam o wszystkim, jeszcze zanim znikła jego tabliczka na drzwiach. Ludzie gadali. Kościelnicy to jak wieś, wie wszystko. Jeśli kichniesz na Osiedlu, z drugiego końca miasta odkrzykną ci „na zdrowie!”

Seweryna, chcąc ukryć zapuchniętą od płaczu twarz, pochyliła się nad bucikami córeczki. Zduszone głosem odrzekła:

— Bóg wama zapłac za dobre serce, ale jō sobie dōm radę.

— Tak to bywa — znowu westchnęła Kosińska — jak się człowiek zadowoli tylko ślubem kościelnym, i to jeszcze z bosym Antkiem, niedowiarkiem. Teraz on ma prawo ożenić się po raz drugi. A ty znasz chociaż tę Tanię? Przystojna brunetka, wymalowana, chodzi na bardzo wysokich obcasach. Piękna kobieta. Też ze Wschodu.

Seweryna wstrzymując płacz, zaczęła się krzątać po kuchni.

— Widzisz, Seweryno kochana — dalej mówiła Kosińska — wy, Kaszubki, jesteście swoim mężom zbyt wierne, aż do przesady. Mój mąż też jest Kaszubą. Jak wróci z tej kolei do domu i z fajką w gębie usiadzie, to on, pierun, siedzi jak przygwożdżony i nawet rozpalonym prętem nie wykurzysz go z domu. A jaki niezaradny! A jakiego pietra miał w czasie wojny! Ja mu mówię: Skibnijże coś tam Niemcom, a on na mnie wrzeszczał. U nas, w Poznańskim mężowie są żywsi, cwansi. Mam dopiero czterdzieści dziewięć lat i chciałabym teraz, po wojnie, trochę się zabawić. Nie byłam z nim jeszcze na żadnych tańcach. A jeśli chodzi o twojego Janka, to był z niego „feiner Max” i nie masz go co żalować. On nie pasował do ciebie. To jest inteligent, a ty prosta dziewczyna, uboga sierota. Nie możesz mieć do niego pretensji. I aby nie czekać na niego. — Tu westchnęła głęboko i po chwili mówiła dalej: — Widzisz, Seweryno... Ja też nie jestem szczęśliwa. Nie mamy dzieci i na stare lata będziemy straszliwie osamotnieni... — Głos jej się zalał i rozplakała się rzewnie.

Seweryna rzuciła się jej na szyję. Obie teraz płakały, przytulone do siebie, i przyniosło im to ulgę.

— No, to jedzcie, póki zupa ciepła, a ja już sobie pójdę — powiedziała Kosińska skrzeczącym głosem. Otarła tylko nos i wyszła.

W mleczarni, gdzie pracowała Seweryna, już wiedziano o jej niepowodzeniu. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, usłyszała nawet parę chichotów, ale przeważało współczucie. Kierownik, pan Machel, postarał się, by zwiększono jej deputat śmietany i masła, a twarogu dostawała ile chciała. Nie mogła więc narzekać na głód, który w zniszczonym po wojnie kraju panował jeszcze po miastach.

Wciąż nie umiała otrząsnąć się ze smutku. Nie cieszyła się piękną tego roku wiosną. W jedno niedzielne popołudnie wzięła dziecko na plecy i wybrała się w stronę lasu, tą samą drogą pełną dzikich kwiatów, którą niegdyś spacerowała z Jankiem, do miejsc, gdzie w owej szopie schronili się przed burzą i deszczem. Tam przystanęła i okrzyła budyneczek. Na piaszczystej stęgnie zauważała ślady świeżych stóp, butów dużych i bucików małych... Leżał tam też rozdeptany, zwiedły kwiatek, który komuś upadł. Usiadła pod szopką i myślała o młodych ludziach, którzy naj-



pierw spacerują, a potem pobierają się. Ach, gdyby Janek mógł w tej chwili tu być i zobaczyć, jak jego córeczka biega po murawie i zrywa żółte mleczce. Może ruszyłyby go sumienie? Czy on myśli o nich, jak ona o nim? Długo musiała tak rozmyślać, bo już słońce zaszło, a zmęczone dziecko tuliło się do niej. A właśnie ta pora dnia też ma swój urok. Siedziałyby tak bez końca, aż nagle z lasu dobiegł przeraźliwy zwierzęcy ryk. Zerwała się na nogi i poczuła się nieswojo. Czyżby ludzie dla zaspokojenia głodu stawiali sidła na sarny? — pomyślała. Ryki się powtarzały, zwierzę na pewno się szarpało. Seweryna porwała dziecko na plecy i pospieszyła do domu.

Kiedy otworzyła drzwi do swego pokoju, w mroku zobaczyła jakąś postać. Prędko przekreśliła kontakt. Zdumiona ujrzała Melchiora, kolegę z pracy. Obracając czapkę w rękę tłumaczył się nieskładnie: że dziś, przy niedzieli nie wiedział, co ze sobą robić, dłuży mu się szkaradnie i przyszedł ją odwiedzić...

Seweryna zdjęła buty i włożyła bambosze.

— Ale po co? Mózg jaką sprawę? — zapytała.

Melchior przez chwilę gniótł czapkę.

— Przyszedłem cię odwiedzić — powtórzył. — Jak człowiek żyje w samotności i nie ma do kogo ust otworzyć, chodzi tu i tam jak głupi. Chciałbym z kimś porozmawiać. Człowiek tęskni i nie wie za czym...

Seweryna sparzyła kawę i wyszukała kubeczki. Z szafki wyjęła chleb, masło i twaróg. Kładąc to na stole, powiedziała:

— Mogłeś przedy przindz, za widu, a nie tak późno.

— Toć byłem. Siedzę tu już od piątej.

Rozmowa nie kleiła się. Sewerynę to denerwowało. Karmiąc dziecko łyżeczką zapytała:

— A tak richtich po co tē przēszēdzi?

Melchior był zakłopotany i nic nie odrzekł. Jadł w milczeniu. Wreszcie, aby coś powiedzieć, powtórzył słowa często wypowiedane po wojnie:

— No i Hitlera nie złapali.

Seweryna spoglądała na niego zdziwiona. W pracy tyle gada, a tu jest mrukiem albo mówi byle co. Więc opowiedziała mu o tym niesamowitym ryku w lesie, co ją tak bardzo przestraszył. Na to Melchior tylko przytaknął, bo miał swoje myśli. Zaczął mówić o swojej ciężkiej i mało płatnej pracy w mleczarni, tym wiecznym noszeniu wielkich baniek z mlekiem prawie od świtu. Chciałby z niej zrezygnować i przenieść się na Zachód, do Bytowa, gdzie łatwiej o pracę dużo lepszą. Mógłby zostać na przykład listonoszem, który chodzi od domu do domu i nie nadźwiga się. Rozgadał się nagle o znajomych kolegach, którzy już tam się urządzili i otrzymali piękne mieszkania z umeblowaniem. O tym i on marzy, aby założyć rodzinę jak inni... Już blisko był wyznania Sewerynie, że durzy się w niej od dawna, że gdyby tylko zechciała go wysłuchać..., ale zamknął. Bo cóż mógł jej zaofiarować? — myślał. — Ani mieszkania, ani pieniędzy.

Patrzył na Sewerynę uśmiechającą się do szczeniaka, czającej w łóżeczku małej Maryni i wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zawsze, i jeszcze bardziej pragnął ją mieć za żonę. Zaczął się więc użalać nad nią, że tak codziennie biega z dzieckiem z Nowego Osiedla do dalekiej mleczarni aż koło dworca. Tak przecież wiecznie trwać nie może... Lecz Seweryna słuchała go w roztargnieniu. Była jakaś zamyślona i nagle wstała. Zrozumiał, że wypada się pożegnać. Z nadzieją przyjął pożegnalny uśmiech kobiety, kiedy odprowadzała go aż do bramy.

Wróciwszy do pokoju, Seweryna szeroko otworzyła okno. Była ciemna noc. Na Nowym Osiedlu panowała cisza. Tylko w sąsiednim domu ktoś trzasnął bramą i zaraz potem zaskowytał tam szczeniaka, który może tęsknił do ludzi. A Seweryna myślała o Janku. Ogarnęła ją wielka tęsknota.

Po pewnym czasie Seweryna zauważyła, że Melchiora nie ma w pracy. Na jego miejscu kręcił się jakiś młody dryblas. Była z tego nawet zadowolona, bo zbytnio jej nadskakiwał, co ją kępowało. Jednak dwa miesiace później, w którąś niedzielę, kiedy zamierzała wyjść z dzieckiem na spacer, Melchior niespodziewanie zjawił się u niej uśmiechnięty i wy-

strojony. Pocałował ją w rękę, a dziecku podał torebkę cukierków. Seweryna osłupiała. A on zadowolony przysiadł na ławeczce i powiedział:

— Osiągnąłem to, o czym tyle czasu marzyłem, Seweryno. Pracuję w Bytowie na kolei i już mogę zając, tam gdzie mieszkam, całe mieszkanie, jeśli wykażę, że się żenię.

Seweryna patrzyła na niego zaniepokojona i tylko jeszcze bardziej rozchyliła usta.

— Szkoda, że wcześniej tego nie zrobiłem — mówił dalej zadowolony. — Pomyśl sobie, Seweryno, żylibyśmy już razem i nie musiałabyś tak ciężko pracować. Cały mój zarobek ci oddam, a mając wolny bilet będziesz mogła objeżdżać całą Polskę. Dzień i noc o tobie marzę, Seweryno. Tak ciebie nikt nie kochał jak ja... No, mówże coś, Seweryno! Pomyśl, ty nie masz nikogo i ja nie mam nikogo...

Seweryna patrzyła w jego czarne, dobrośliwe oczy z zakłopotaniem. Pomyślała, jakby to miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie, że jego nowy krawat jest niedopasowany kolorem do szarego, niedzielnego ubrania. Patrzyła na niego i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wreszcie rzekła:

— Melchiorze, jō wiēm, że tē jes dobri chłop, ale jō sę z tobą nie ożenię. Jō móm chłopu i jego jō sę za nic w swiecie nie wēręknę. I z Koscérznę jō sę tēż nie ruszę. Tu jō jego poznōła, tu jō ostane pōczi żęję i tu jō chcę bęc pochowōnō.

Melchior słuchał, jakby nic nie rozumiał. Zapytał zdziwiony:

— Ależ, Seweryno, co ty mówisz? On ciebie rzucił, a ty mu jesteś taka wierna? To przecież był drań!

— To je mój szlubny chłop i ojc moji Marinci. Jemu jō przed Bodziem przēsęgła, że mu będę wierna. Przece jō jem żeniāłō.

Mężczyzna zdębiał. Po raz pierwszy to słyszał. Dopiero po chwili zapytał z niedowierzaniem:

— Ty masz ślub kościelny, a ja o tym nie wiedziałem?

Patrzył na Sewerynę i drgnął nerwowo, kiedy dziecko stuknęło zabawką. Ze ściśniętym gardłem wyrzekł:

— Ja to wszystko robiłem dla ciebie, dzień i noc myślałem o tobie, a ty jesteś zameżna!

A że Seweryna milczała, dopypywał się:

— A pisze on? A jak nie wróci? A może nie żyje?

Seweryna, która twardo wierzyła, że Janek wróci, pełnym niepokoju głosem zapytała:

— A czemu bę on ni miōł przindz nazōd? Czemu bę on miōł nie żęc?

Melchior wyczuł z jej drżącego głosu, jak bardzo kocha swego niewiernego męża.

— Seweryno... — szepnął rozgoryczony.

— Nie wiēm, gdzie jō móm szneptuch — powiedziała tylko na próżno szukając chustki po kieszeniach. Otarła oczy fartuchem.

— Ty płaczesz o niego? — nie mógł opanować zdziwienia.

Seweryna przytaknęła.

Oboje milczeli przez chwilę. Melchior wciąż medytował rozżalony. Wreszcie wstał i nieswoim głosem wyrzekł:

— No, to żęgnaj, Seweryno. Bądź zdrowa. Życzę ci tego, czego pragniesz...

Skierował się do drzwi. Żwawo podbiegła, by mu je otworzyć.

Mężczyzna wyszedł od niej zdruzgotany, sam nie wiedział jak i kiedy znalazł się na ulicy Dworcowej. I on jej jeszcze życzył, aby tamten wrócił... Otari ukradkiem napływające do oczu łzy. Zrozumiał Sewerynę i więcej się u niej nie pokazał.

Minęło prawie trzydzieści lat. Jan Martynelis przebywał na leczeniu w sanatorium przeciwgruźliczym w Prabutach niedaleko Elbląga. Leżakował na werandzie, a za oknami padał jesienny deszcz. Tu miał czas na rozmyślanie o minionej młodości, o swym nieudanym życiu, o swojej wielkiej miłości do Tanę, o współżyciu z nią we Wrocławiu, dokąd poleciał za nią jak ćma w ogień i osmalił skrzydła. Teraz jest blisko Kościerzyny... Blisko tej pierwszej, nieocenio-



nej istoty, najszlachetniejszej z kobiet, jakie znał. Ale już nie cofnąć się nie da... Jego życie we Wrocławiu toczyło się na wozie i pod wozem. Był dyrektorem w pewnym przedsiębiorstwie i, choć miał tylko dwie klasy gimnazjum w Grodnie, podał, że ma maturę, bo tak sobie życzyła Tania. Po weryfikacji kadr nie mógł tego udowodnić. Doksztalcać się nie chciał, bo skompromitowany kłamstwem, siedziałby z podwładnymi w jednej ławce. Objął więc podrzędne stanowisko w bardzo odległej dzielnicy miasta. Tymczasem Ferdynand został przez kogoś rozpoznany. Odbyła się rozprawa sądowa, na której udowodniono, że podczas wojny przystąpił do pewnej grupy ukraińskiej i zdradzał hitlerowcom najlepszych patriotów polskich. Odsiadywał wieloletnią karę, a Janek, dawny więzień Stutthofu, woził mu do więzienia paczki. Gdy Ferdynand wrócił, Janek był już schorowany i wtedy zaczęła się dla niego w domu prawdziwa gehenna. W sanatorium nieco odpoczął, ale do reszty przygnębił go otrzymany dziś list od dawno już znie-nawidzonej Tani. Pisała:

„Pierścionek się znalazł. A już myślałam, żeś mi go zabrał. Nie wiem tylko, do którego szewca zaniosłeś moje szpilki do reperacji. Dużo rozmawiałam o tobie z Ferdynandem i doszliśmy do wniosku, że najlepiej byłoby, gdybyś nie wracał do nas. Szczerze mówiąc, nie chcę żyć z gruzlikiem. Możesz wrócić do tej dziewczuchy, którą tak często wychwalałeś i porównywałeś ze mną... A swoją drogą mnie porównywać ze sprzątaczką?”

Janek zgniótł list w dłoni i rozejrzał się po werandzie. Leżący obok chorzy wesoło rozmawiali, opowiadali sobie o swoich rodzinach i planach na przyszłość, gdy wyzdrowieją. Janek z przerażeniem myślał o swoim osamotnieniu. Nerwowym ruchem pogładził ostrzyżoną brodę i sięgnął po książkę, ale prędko ją odłożył, bo litery skakały mu przed oczami. Pomału wstał z leżaka i skierował się do wyjścia z werandy. Chorzy popatrzyli za nim i któryś szepnął:

— Ten w sobie coś dusi.

— To musi być bardzo nieszczęśliwy człowiek — dorzucił drugi. — I w dodatku choruje na serce. Poznałem to po lekach, jakie przyjmuje.

Pani Kosińska wróciła z targu do domu i powąchała masło, które tam kupiła. Było o wiele tańsze niż w sklepie, za to mogło być nieświeże. Rozsznurowała buty, włożyła bambosze, a potem zmęczona usiadła i westchnęła. Dzisiejszej nocy przysnił się jej mąż, który już dawno nie żył, i ten sen ją przesładował. Wyrzucała sobie, że krótko przed jego śmiercią niepotrzebnie zrobiła mu awanturę, i to w środku nocy, kiedy w mieście zawyla syrena Straży Pożarnej. Wysłała go w gaciach i bosego z parteru aż do strychowego okienka, skąd miał zobaczyć, gdzie się pali. A że długo nie wracał, zdenerwowała się i ostro go zwymyślała. Teraz z żalem rozważała tę swoją niegodziwość. Żeby się pocieszyć, zrobiła sobie gorącej herbaty i już podnosiła filiżankę do ust, kiedy usłyszała otwieranie drzwi wejściowych i niepewne obce kroki w przedpokoju. Wyjrzała z ciekawością. Przed drzwiami naprzeciwko stał nieco przygarbiony, prawie лыs człowiek z brodą, miętosząc w ręce czapkę. Zobaczywszy Kosińską, ochryplym głosem zapytał o Sewerynę.

— A co pan za jeden? Proszę, niech pan wejdzie do mnie, bo ciągnie chłód — powiedziała przyglądając się obcemu z zaciekawieniem. — Tam już nikt nie mieszka — dodała.

Człowiek wszedł do ogrzanego pokoju i usiadł.

— Czy pan jest jej krewnym? — dopytywała się Kosińska.

Odrzekł z wahaniem dopiero po chwili:

— Jestem Jan Martynelis, jej mąż.

Kosińska aż rozwarła usta.

— To pan?! — krzyknęła wzburzona. — Co się z panem działo? Dopiero teraz pan się zjawił?

Przybysz, oglądając się trwożliwie, odpowiedział pytaniem:

— A gdzie jest Seweryna?

— Seweryna? Przecież ona nie żyje! Zmarła już parę lat temu!

Janek pobladł, a Kosińska z westchnieniem mówiła dalej:

— Tak, pamiętam... To była dziewczyna o wielkim sercu. Jestem stara, samotna wdowa i Seweryna była dla mnie córką, była dla mnie wszystkim. Mówiła mi „mamo”. Żyliam nią i jej córeczką. Razem przeżywałyśmy maturę Maryni, razem ubrałyśmy ją do ślubu. Ma dobrego męża i dwoje dzieci. Czy pan słyszy?

Janek, osłupiały, tępo patrzył w twarz Kosińskiej, która wciąż mówiła:

— Tak... Żeby rzucić taką ładną kobietę! Nawet mój mąż się w niej podkochiwał. Miała wielbicieli, proponowano jej małżeństwo, ale ona je odrzuciła, bo kochała Janka. Wiem o wszystkim. Już sam ten huragan z deszczem w dzień waszego ślubu mi się nie podobał. To oznaczało smutek i lzy — dodała, patrząc w poszarzałą twarz Janka, który struchlały zaniemówił.

Tak trwały kilka minut. Za późno — myślał Janek — za późno... Gdybym mógł ją przebłagać... Tak już chyba w życiu jest, że to, co najlepsze, człowiek zdepcze, a potem okupuje to wielką żalostí i cierpieniem. Z westchnieniem zapytał:

— A na co zmarła tak wcześniej?

— Nie wiem. Może z samotności, może z tęsknoty za panem. Płakała też, że ojciec nie widział idącej do ślubu Maryni. Prosiła, aby do trumny złożyć jej na szyję ten łańcuszek, który otrzymała w dzień ślubu od męża. A czekała na pana do ostatniej chwili życia. Ja to wiem... Słyszałam, jak krótko przed śmiercią prosiła Marynię, aby przysparnęła ojca, gdyby wrócił...

Janek schylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Trwało tak długą chwilę. A Kosińska poruszona sprawą, kiwając głową, rzekła:

— A to żem się doczekała dnia...

Nagle zerwała się z miejsca:

— Pójdę i zadzwonię do szkoły, w której Marynia jest nauczycielką.

— Nie, nie! — zawołał Janek. — Wolę iść wpierw do Seweryny... Niech mi pani pozwoli jeszcze tylko chwilę odetchnąć, abym mógł pozbierać myśli, zanim tam pójdę... na ten cmentarz.

Kosińska przyjrzała się jego pobladłej twarzy i resztkom siwiejących włosów i powiedziała łagodnie:

— Grób jej znajdzie pan w pobliżu tej starej lipy, po prawej stronie.

Janek wreszcie się uniósł, a Kosińska odprowadziła go na próg domu i zapytała:

— A zauważył pan, jak się rozbudowało nasze Osiedle? Wszędzie asfalt...

Janek nawet się nie obejrzał. Szedł chwiejnym krokiem, jak nieprzytomny, w stronę cmentarza. W powietrzu rzadko polatywały duże płatki śniegu, które na ziemi natychmiast topniały.

Bez trudu znalazł grób z napisem „Seweryna Hapka”. A więc tu leży ta dziewczyna, która niegdyś, w tumultach wojny, jego, prawie umierającego, pielęgnowała z takim poświęceniem i nie zostawiła go samego. Jedyna istota, która go kochała. Teraz zapadła w wieczny sen i nigdy jej nie zobaczy, ani nie usłyszy od niej słowa przebaczenia. Przykląkł i pochylił się nad grobem, a zalzawione jego oczy zatrzymały się na gałązce białej róży o ostrych kolcach, którą położyła tam Marynia. Modlił się cicho, głośniejszy tylko wyjąkał: — Seweryno...

Było to jego ostatnie słowo. Zanim Kosińska z Marynią zjawiły się na cmentarzu, by go zabrać, on już nie żył. ■

„Pomeranie”

można jeszcze zaprenumerować

w redakcji

lub biurze Zrzeszenia.

Prenumerata roczna 1045 zł.



# NAWRÓCENIE (2)

Eugeniusz Gołqbik

Wórt bë może bëło sę zastanowic, jak bë wëdzrza polskò kùltura bez dopliwu swięzi krëwi. Më wiémë, że taczé eksperymentë z budacëją „chińszëgo muru” we wëstrzòdku Europë nie są możebné. Ale chcë-mëże pofantazërowac kask. Próbujmë so wëobrazëc polskà kùlturë bez Chopina, Matejczy, Wieniawszëgo, Rubinsteina, bez Skamandrytów, bez niejednëch popularnëch aktorów ëtd. Jidze pròwdac rozwijac kùlturë na rodnym grùnë, możebny je „korespondencyjny” przepiwi deji ponad grãncama, ale dopliw nowëch lëdzy biwò colemalò pòzëteczny. Wëzmë choc dlò przëkładu Lindëgo, co pochòdzył z rodu szwëdzko-mieccziëgo. Czëjbë nié jëgo Słowòrz, chtò wié jakbë wëdzrził „Pan Tadeusz” Mickiewicza, i nié le on, ale téz całò lëtura polskò.

Tak samo nié wszëtcë sę może zastanówielë kùlta lëtura mò do zawdzczeniò autoróm žëdow-szëgo pochòdzeniò (np. Lechoń, Tuwim, Brzechwa, Schulz, czë autòr niedòwno wëdòny powiescë pn. „Jezus z Nazaretu” R. Brandstaetter). Bez nich më bë jednak bëłë përnë ubogsi dëchowo, muszimë to prëznac.

Gwësnò rozmajité bëjë drodzi Žëdów do polaszëniò sę. Ni muszalò to bëc wiedno zarò „pòlenië za sobà mostów”. Czëstò mijalë pokoleniò, niglë jaczis syn Blumsztajnow postanowił prëchczëc sę na Kwiatkowszëgo... Czas wëgojil niejednë renë. Biwalë to postanowienia dramaticznë abò, cziedë jindze, lagòdnë zatraciwanië swëgo žëdowstwa na rzecz polaszëznë. Zdòrzałë sę gwësnò nawrócenià na chrzëscjaństwo, jaczië wëpliwalë z głëboczëgo przëkonaniò ë téz, wikszim dżëlë, bëło to le przëjimniëcë polszi mowë a ostatnië przë žëdowsczim wëznaniò wiarë. Moglò to bëc téz czàs, u niejednëgo człowëka wëzbëcë sę zwiàzków z gettë, wëkonónë z ulgà, że sę je w kuńcu „normalnym człowëkë” (wiémë o tim nicos że swëgo kaszëbszëgo „getta”).

I nié le polskà kùlturë Žëdzë wzbogacëlë. To samo bë szlò malezc we wszëtczich krajach Europë. Chtos rzekl, że wënkanië i usmiercenië Žëdów bëło pierwszim wiòldzim błëdë Hitlera i pomòglò mu potemu stracëc wojnë (wënkóny z Miemców Žëdzë pomòglë Amërikònom i Ruskóm zbudowac atomowà bómbe, jaczi Hitlerowi nie zdàżëlë wënalezc jëgo arijszi uczalë). Przë ti leżnoscë dobrze je wiedzëc, że do powstaniò tak rësnëgo państwa, jak miecczië Prësë, prëczëniò sę wëmieszanië krëwi wiele lëdów, w tim niemalò žëdowsczi i... kaszëbsczi. Piszë o tim Bernt Engelmann, pròwdac komunysta, ale rzetelny Prësòk, jacziëgo bogatì pochòdzënk może bëc przëkladë, jak zapëzglónë mogà bëc rodowë koligacjë i jak bogatë je znaczenië zamklë w krótczim słowë nòród: „Jako potomk tych i wielu innëch Prusaków różnëgo pochòdzenià, religii i stanu (obok prëzydentów Akademii, rabinów, włascicieli ziemskich oraz wàtpliwëch hrabiów normandzkich oraz pruskich, byli wśród nich takzë prości szewcy, piekarzë, bednarzë, stolarzë, chłopì z gór Zillertal i biedni, przedczësnë umierajacy z wyczerpania tkaczë oraz złapani przez werbowników muszkieterzy) nie mogë i nie chcë czuc sę nikim innym, jak tylko Prusakim. Mnie wychowanego w tradycji Humbolta (i Bebla), wcale nie drażnilò to, że w mojej przepëlnionëj, liczacëj 52 dzieci klasie (...) niemalò połowa uczniów nosila nazwiska rosyjskie, polskie, ormiańskie i inne...”.<sup>1</sup> Czëkawë je téz no, co B. Engelmann piszë o Hitlerze (ko dlò wiele z nas nazizm bëł brzadë prësziëgo

militarizmu): „Nie tylko sam Adolf Hitler pochòdžil z drobnomieszczaństwa monarchii habsburskiej. Takzë jëgo dzika, żądna mòrdu, daleko poza wszelkie granice rozsàdku wykraczajàca nienawiść do Žydw, owa idëe fixe jëgo nauki o zbawieniu, kòtorej zostalò podporzàdkowane wszystko inne, nie miała korzeni niemieckich, a już na pewno nie pruskich. Był to tęp, żądny pogromów antysemityzm (...). I stamtąd, z kancelarii podrzëdnych urzëdników niemieckojëzycznych, pochòdzi téz obłëdna teoria o przëwadze nordycko-germańskëgo nadczłowëka nad niższà ludzkością słowiańską i wszelkà pozostałą”.

W prëdwojnòwì Polscë kol 1931 r. bëło 8,5 miliona lëdzy „wyznania mojësëzowëgo” (kol 25 procent wszëtczich mieszkanców). Ale Žëdów (ujimónëch w statisticzì jako „nòrodowosc žëdowskò”) bëło kole 3,5 miliona. To znaczì, że bëło kole piëc milionów Polòchów žëdowszëgo pochòdzeniò. Trudno je sę wëpòwiòdac, jak dalek bëłë oni spòlazałi. Dżëlë bëłë to lëdze z pogrãnczëgo dwuch, abò wicy kùlturów.

Trudné lata trzëdzestë prëczëniłë sę do zaostreniò biòtczi ekònomicznë i polityczny. Utrzymanie prëdniectwa polsziëgo nòrodu w dopiërkù le odrodzonym państwie zmuszivalò rząd do dbatòtë przede wszëtczim o swojich, tj. Polòchów. Wiémë, że okòrm Polòchów (65 proc.) i Žëdów, žëlë w midzëwojnòwì Polscë jinszë mniejszëznë nòrodnë (np. Ukraińcowie — jaż 16 proc.). Tej sprawièlëwë dżëlenië państwowëgo (dżys rzeczemë: nòrodowëgo) kawalka chleba szlachowalò za kwadraturà koła.

Znónò od dosc przikri stronë téz na Pomorzim endecëjò uznalà nacjonalizm polszi za zjawiszczë pòzëtecznë. Nen nacjonalizm miòł téz słužëc jako barì pròcëm jinszim nacjonalizmóm (ukraińszëmu, žëdowszëmu, mieccziëmu). Przëklòd dówëlë nòrodnò socjaliscë w Miemcach, dze ju jistnalë lagrë dlò politicznëch pròcëmników i gdzë bójkot žëdowsczich krómów bëł le preludium nadchòdajacy katastrofë i kuńca nëgo egzòticznëgo swiata.

Nacjonalistyczny, a nawet tam sam szowinistyczny program endecëji miòł niemòli pobiër w niejednëch kołach Polòchów. Nie mdzë on nas tak dżëwowòl, žëlë nie zabàdzemë o tim, że Polskò otoczónò bëła państwama, jaczië co rusz prëbòdzivalë o timczasowoscë europejszich grãnców.

Trudny czàs nastòł dlò Žëdów w Polscë trzëdzestëch lat. Bëłë prëpòdczi samosàdów i napòdaniò endecëzich bojówk na krómë i mieszkania žëdowszë. Jak piszë Jerzy Tomaszewszci: „Do rozpëtania propagandy antyžëdowskiej sklanialy takzë dorażnë wzglëdy politycznë, gdzë umiarkowane i prawicowë ugrupowania žëdowskie w Polscë wspòlpracowalë z obòzem sanacyjnym. Narodowi Demòkraci sformulowalë wówczàs kategorièczny postulat usuniëcia Žydw poza obrëb polskiej spòlëcznosci, bojkotu gospòdarczego, towarzyskiego i kùlturalnëgo, zmuszenià ich do emigracji. Postulaty te byly całkowicie nierealne, jeśli nawet pominëmy etycznà stronë zagadnienià. Zmuszenië do emigracji 3,5 miliona (według szacunków z prëdëdnieà drugiej wojny światowëj) obywateli nie miało szans powòdzenià. Izolowanie gospòdarczë setek tysięcy kupców oraz rzemieślników od reszty wspòlòbywateli bylò utopià. Radykalny program antysemicki, kòtóry prowadzil do pogromów, doskonalë nadawal sę natomiasz do budzenià namietnosci prymitywnëch środowisk i umacniania zwartości ruchu nacjonalistycznëgo”<sup>2</sup>.

To, co w programie polszech endeków wëszlò le malo co poza sferë postulatów, miało bëc wprowadzonë w žëcë z prësà „dokładnosçà” ju niedlugo. Jesz ròz miało sę okòzac, że fantazjò nie potrafi wëprzënc za praktikà. Wiòldzima kraczajama zbliżòł sę czàs, cziej wëstrzëdnòeuropejskò „Zemia Obiecònò”, jakò nigdë nie bëła dlò nikogo rajë, miała sę zamienic w pieklò. Z wòlë Ancëkrësta na polszi zemi zaczelë wnetk dëmic kominë krematorëjów, a busznò ze swojì wësoczi kùlturë Europa mia stac sę jednym wiòldzim „przëdolim jëku” — gehennà miliónów Žëdów. (cdn.)

<sup>1</sup> Bernt Engelmann, Prusy, kraj nieograniczonych możliwości, Poznań 1984.

<sup>2</sup> Jerzy Tomaszewski, Ojczyzna nie tylko Polaków, Warszawa 1985.



## Kaszubska kołysanka usypiająca Włochów

Bogumiła Cirocka

Ta myśl nasunęła mi się, gdy usłyszałam, że włoskie wydawnictwo „Ricordi” opublikowało dwa nagrodzone w 1985 roku na konkursie kompozytorów w Castelfidardo (słynnym ośrodku budownictwa akordeonów) utwory Krzysztofa Olczaka.

Ten młody muzyk, kompozytor i pedagog wygrał konkurs zdobywając pierwszą nagrodę za „Fantasmagorie” i drugą za „Berceuse”, utwory na akordeon solo.

Gdzie tu kaszubska kołysanka, mógłby ktoś zapytać. To właśnie „Berceuse” — pod tak mało kaszubskim tytułem kryje się nasz „Na spik”, czyli ostatni tańiec weselny, sygnał dla gości, że czas już pójść spać.

Zacznijmy jednak od początku. W 1979 roku łódzianin Krzysztof Olczak, po ukończeniu studiów w Konserwatorium Warszawskim, przyjechał do Gdańska i rozpoczął pracę w Akademii Muzycznej, gdzie otworzył klasę akordeonu. Jednocześnie zaczął studia kompozycji pod kierunkiem Eugeniusza Głowskiego. Ponieważ informacje biograficzne niczego mi nie wyjaśniły, przeciwnie zaciemniły sprawę — łódzianin i „Na spik”? — o to, jak doszło do powstania kołysanki, zapytałam samego autora. Opowiedział o organizowanych właśnie Gdańskich Spotkaniach Młodych Kompozytorów i trudnościach młodych twórców, o gdańskim środowisku muzycznym, które uważa za bardzo prężne, o 150-letniej historii akordeonu i pierwszych koncertowych modelach, budowanych dopiero w latach pięćdziesiątych. Było to tak interesujące, że o mało nie dałam się zwieść kompozytorowi, który starał się mówić o wszystkim, byle nie o sobie. Na przykład na moje pytanie o swoje osiągnięcia bąknął tylko coś o brązowym medalu w Nowej Zelandii i uznał natychmiast, że nie może mnie to interesować.

Gdy zaś spytałam o jego związki z folklorem (chcę dojść do nagrodzonego utworu), od razu podkreślił, że swoje zainteresowanie kulturą ziemi kaszubskiej i kociewskiej zawdzięcza Jerzemu Stachurskiemu, który „zaraził” go ogromnym entuzjazmem i ukołaniem pomorszczyzny.

Właśnie dzięki niemu zapoznałam się z zapisami muzyki i pieśni ludowych z Kaszub, których bogate zbiory zgromadzono w Wojewódzkim Ośrodku Kultury. Wyniki? Do tekstu Stachurskiego „Pozymk”

napisał utwór na flet prosty, mezzosopran, głos recytujący i akordeon, wykonany po raz pierwszy na Wieczorze Kompozytorów Polskich w Państwowej Operze i Filharmonii Bałtyckiej w 1983 roku. Na pierwszej sesji „Kociewie w muzyce” przedstawił, specjalnie na tę okazję przygotowany, „Szpegowask in memoriam”, również z tekstem Stachurskiego.

Kolejnym dziełem zainspirowanym folklorem kaszubskim jest „Rzapielnik czyli szkicownik z Pomorza” — cykl 6 miniatur na akordeon, wielokrotnie wykonywany na konkursach akordeonowych jako utwór obowiązkowy. Każda z miniatur jest opracowaniem autentycznego tańca czy piosenki kaszubskiej, której incipit i pochodzenie zaznaczono nad zapisem nutowym. Cykl jest wykonywany na koncertach (głównie dla dzieci) w kraju i za granicą, wykorzystywany w audycjach szkolnych.

Szósty i ostatni utwór zatytułowany jest „Na spik”, czyli melodia mająca ukoić, skłonić do zaśnięcia. Pierwotnie chodziło o weselników zmęczonych całonocną hulanką, kołysanka Olczaka ma charakter bardziej uniwersalny. Dlaczego ta kompozycja jest tak chętnie grywana dla dzieci i, jak się okazuje, także przez dzieci? Dlaczego właśnie ona odniosła międzynarodowy sukces? Olczak mówiąc o pracy pedagogicznej z najmłodszymi pośrednio odpowiedział na oba pytania.

Zauważył mianowicie, że istnieje interesująca prawidłowość: większość dzieci przychodząc do ognisk muzycznych i szkół stopnia podstawowego chce (albo jest to pragnienie rodziców) rozpocząć naukę gry na instrumentacie obok akordeonu. Być może jest to bezpośrednio związane z faktem, że przez pierwsze 100 lat swego istnienia akordeon, stworzony dla folkloru miejskiego, nie był instrumentem artystycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu, a służył przede wszystkim kulturze masowej. Zaś motywy ludowe w kompozycjach dla uczniów osławiających się dopiero z akordeonem ułatwiają dziecku percepcję, umożliwiają stopniowe poznawanie nowego języka muzycznego przez włączenie „zgrzytów” do zakodowanych gdzieś w duszy (nawet jeśli same utwory nie są znane) melodii, a także pozwalają wprowadzać utrudnienia manualne. Okazuje się, że nawiązywanie do utrwalonych struktur, do ukształtowanego przez wieki poczucia harmonii i tzw. melodyjności (w znaczeniu potocznym) zapewnia powodzenie w nauce gry na instrumentacie, pozwala stopniowo oswajając z osiągnięciami muzyki współczesnej i tym samym przygotowywać do samodzielnego eksperymentowania. A poza tym przynosi konkretne i wymierne sukcesy.

Szkoda, że wydajemy tak niewiele literatury muzycznej z nutami i tekstami utworów pochodzących z folkloru kaszubskiego lub pisanych przez współczesnych kompozytorów, a wykorzystujących tak mile dla kaszubskiego ucha melodie, dzięki którym nasze dzieci mogłyby doskonalić swoje umiejętności wykonawcze, a przede wszystkim nie stracić więzi z przeszłością. ■

## W następnych numerach:

EDMUND PUZDROWSKI i JERZY SAMP o Majkowskim; TADEUSZ BOLDUAN o Lorentzu; HENRYK GALUS i JOLANTA KULPIŃSKA o Sierpniu '80 we wspomnieniach; EDMUND SZCZESIAK o Tucholi po jubileuszu; BOGUMIŁA CIROCKA o gospodarstwie biodynamicznym; ANTONI KONKEL o księdzu kaszubskich rybaków; odcinek powieści GÜNTERA GRASSA „Psie lata” (ostatni)



powiernik (-ica) — ts., por. pełnomocnik  
 powierzyć — zwierzyć, poddać („P. coś z pełnym zaufaniem” — „Poddac coś z całą dowiernością”)  
 powiew — wiew, powiew  
 powinowacić się — przējacić się, (krewnic się)  
 powinowactwo — przējactwo, (krewnictwo)  
 powodować — przēczeniwać się do czego (spowodować — przęczenie się do czego), (p. śmierć — sprowadzać śmierć)  
 powodzenie — pobić (cieszyć się powodzeniem — mieć pobić)  
 powołać — powołać  
 powoływać się — powoliwać się  
 powszechnie — na ogle, colemoło, wszędzie  
 powszechny — ogłowolédźci, powszechny, (wszędny — u ks. Gruczy)  
 powściągliwość — stržēmownota, ostróżność, subtelność (= delikatność)  
 powtórny — ts.  
 powziąć — powzyc („Powzjęłę uchwałę...”)  
 powzięcie — powzjęć  
 pozabiblijny — ts.  
 pozbawiony czego — wēzbēti z czego  
 pozostały — zbiēzny, poostałi  
 pozyskać — udostac kogo, zdobēć coś  
 pożądać — požędac, chełpic się, trōpic  
 pożądlivość — pokusnota, žądza, chełpnota  
 pożegnać się — požęgnac się, odwitać się, oddżękowac się  
 pożyteczny — požęteczny, požętny  
 pożywiać się — ob. posilać się  
 przaprzyczyna — przapržęcžena (o Bogu)  
 prawdomówny — prōwdomowny  
 prawowity — prawi, prōwdžewi  
 prażony — prażny („Prażny bōb”)  
 pretekst — oraż (-rodzaju żeńskiego), skłōdka, skłōdz, zaļa („Zadac sobie oraż” — wymyślić przyczynę)  
 prostaczek — prosti człowiek (zwęczajny, nieuczali, niepozęrnny człowiek)  
 protest — opržęcžka  
 próbka — ts.  
 próżnować — pustožęć  
 przebiegły — chitri, przemēslny, „wēsžli”, opatrzny (= zapobiegliwy), ostrōżny  
 przebłagalnia — przebłagalniō  
 przebłagalny — ts.  
 przeciwnik — procēmnik  
 przeciwstawienie — procēmstawienie, ustawienie naprocēm, postawienie procēm  
 przedmiot sporu, dyskusji — rzecz spiērnō, cēl rozmowē  
 przedsmak — ob. próbka  
 przedstawiciel — przedstōwca

opanowanie — zmir, ubētk, spokōj (być opanowanym — mieć zmir, a. mieć ubētk, bęc spokōjny).  
 opinia — zdanie, udba o czym (zdanie w 2 znac. = pol. usposobienie)  
 opozycja — procēmne stanowiszczce (w znac. sprzeciw — opržęcžka)  
 orędownik — zastawnik, zastōwca, przęcžnińca, postržędnik, brońisz (= pol. adwokat)  
 orientacja — rozeznanie  
 orzeczenie — orzeczenie (też w znac. elementu zdania)  
 osiągnąć — doprzińć do czego, udostac  
 oskarżyciel — obskaržęcēl  
 osobisty — osobisti  
 osobliwość — osoblęwota, ob. okazja  
 osobowość — osobowosc, apartnota, osoba  
 ostrzeżenia — ostrzedži  
 oszczerca — potwarca, obmownik (-ica), klapot, klapētnik (-ica)  
 oszczerstwo — obmowa, obmowstwo, potwōrz, klapē, ob. oczernić  
 oszczędności — obszczędžęzna  
 oszczędzać kogo — bęc łagōdny dli kogo, žalowac kogo, obszczędžac kogo  
 ośrodek, centrum — ostržōdk („Klōsžtorē biwalē wiōldžima ostržōdkama kulturē”)  
 otchłań — Krōjna Umarlēch, ob. czelēsc (o. w znac. przepaść — przepadlēsžęce)  
 otoczony — obeszi, obtoczony  
 otucha — dufność, chęc (dodać o. — dodac dēcha, dodac chęcę, zdžyržęć się = odważyć się), ob. ufność, ob. ufać  
 ożenek — žēń, ożenk, žēńba

## Ó

ówczesny — notejszi  
 ówczesnie — notej

## P

pan młody — nowožęńc, nauożęni  
 panować nad sobą — utržęmuwac w szturze swoją wolę, tržęmac się, bęc spokōjny, mieć zmir (nie panować nad sobą — ni mieć zmiru, a. miru, a. ubētku), ni mieć nerwów, bęc bez nerwów  
 paralelny — ts., równoległy  
 pastwa — žēr (= pol. przynęta) („wēdac na žēr...”), ob. łup



patriarchowie — patrjarchowie  
 pedał — podnoženě (u roweru: depta), por. dźwignia  
 peien, peiny — peien, a. pōien, (po bēlacku: pōien)  
 peinia — peiniō, a. pōiniō (w innym znaczu. też: bokadosc = pol. obfitość)  
 penić służbę — odbiwac służbę, służęc  
 pełnomocnik — powiernik (pełnomocnicy — powiernicę)  
 perkusja — trądel, bęble  
 pesymista — jiscoch, a. jiszczoch  
 pewien, jakiś — nen taczi, jeden, gwēsny, jaczis  
 pęd rośliny — ob. gałązka  
 piastun — piastur  
 pieszny — piechtny  
 piętnować — ganic, potępiwac  
 pijaństwo — rozpićk  
 pijatyka — pijōtwa  
 plan — udba, zamēsłēnk (= pol. zamysł)  
 plon — zbiór (też: plón?)  
 płodny — rozrodny  
 plód poroniony — niedorodk  
 pobłażać — ob. dyscyplina  
 pobudka — odecknienie, budzenie, ob. bodziec (szlachetna p. — rzetelnō udba, chwalebno udba)  
 pocisk — raca, strzēl (= pol. strzała)  
 począć — począc, poczic, zacząć, zaczić („Cóż mam p.” — „Cēż jō so zacząć?”)  
 podawać się za kogo innego — podawac sę, podsziwac sę  
 podburzać — jurzēc, buñtowac  
 podburzyciel — podskōcnik, jurzēcēl  
 podjarzemny, juczny — oklēcny  
 podkreślać coś — 1. wskōzowac na co, akcentowac; 2. podsztichac  
 podkreślić — 1. w mowie: zaznaczęc, zaakcentowac; 2. podsztichnāć, zaznaczęc  
 podmiot — ts.  
 podpalacz — podskwara, podpōlajca  
 podpiomyk — pācz, brēloch, bāga  
 podróż — rēza  
 podstęp — ts. (p. słowny — podchwōt), ochēba, sydio, zdrada, ob. zasadzka  
 podszywać się — ob. podawac sę  
 podudzie — podudk, jikro  
 podwładny — poddōny, podleżny (podwładni — podleżny)  
 podział w znaczu. niezgoda, odewstałosc, powadzenie  
 podziw — zadzēwowanie („Ogarnął ich p.” — „Popedlę w zadzēwowanie”.)  
 podziwiać — podzywiac, dzēwowac sę („Podziwiam go...” — „Ni-mogę sę nazdrzec jak on...”)

pograżony w mroku — objēti smrokę, utacony w cemnicę  
 pogrzeb — pogrzēb, pochowa  
 pojedynczy — pojedynczny  
 pojmać — schwōcēc, (o koniu: nasadzić uzdę — pojąc go, po-jimnāć), ob. aresztować  
 pokarm — strawa, jōda, jestku  
 pokładać ufność — ob. ufać  
 pokos — pokoska (tzn. pas zboża ścięty za jednym zamachem)  
 pokój — mir (też: zmir, ubētk, spokój, pokój, zgoda)  
 pokrętko — pokrętnik  
 pokrzywdzić — okrzywdzēc, a. ukrzywdzēc  
 polecać — polecac, kōzac, przēkōzowac  
 polecić — dac polēt, zlecēc (np. „Zlecyl go Bogu”), kazac, a. kōzac, polecęc  
 pole do popisu — pole do dziejaniō, pole do robotē, gōn do obrōbianiō  
 politowanie — pożałowanie  
 położenie, sytuacja, stan — położēnk, stōn, pora, połozenie  
 pomóc — ts., pomogli  
 pomyślnie — zdarno, dobrze, („Wiedzie mu się p.” — „Jemy jidze swiat ręką”)  
 ponawiać — wznōwiac  
 poniżenie okazywane komuś — upich, zgarda  
 popełnić grzechy — dopuscęc sę grzēchōw, zgrzeszēc, wiele na-grzeszēc  
 popędy — nēczi  
 popisywać się — przeslecac sę  
 poprzedzić — poprzedzēc, dac wprzōdk  
 poręczyciel — ręczelnik  
 port — okrętowiszczē, ob. przystań  
 posag — sposōg, posōg, łōza, por. spadek  
 posadzić — posędzēc (posadzać — posadzywac)  
 posiąść — dostac co, dostēpic czego, obsadnāć co, objimnāć (np. rządē, stanowiszczē)  
 posilać się — strawowac, jesc (jōdac), żēwic sę, mōltēchowac  
 posiłek — mōltēch, pokrzēsnik (spożywac p. — mōltēchowac)  
 poskromić — obudzēc, pojąc (pojąc konia)  
 posłannictwo — posłanizna, wierzta  
 posługa — poslēgo (np. „p. kapłańskō”)  
 posłuszeństwo — uslēsznosc, poslēsznosc  
 posłuszny — uslēszny  
 posłużyć się czym — przēpomoc so czym  
 pospiesznie — pospiēwno, chutko, chutinko, z pospiechē, chiżē  
 pospolity — zwēczajny (codzienny — codniowi)  
 postawa — ts., nastawienie  
 potknąć się — podētknāć sę  
 potoczny — nōczēsny potikōny, ob. pospolity  
 potomek — następnik, posobnik (w znaczu. dziedzic), syn, dziecko  
 powaga — powōga, statkowosc, ob. przyzwoitość



# Wjeżdżanie do miasta

Andrisów Gust

Po wjeździe do miasta trzeba było się wjechać do miasta i zrobić większe kupisz, choba żebć dęcht z dętkami nie pasowało. Jężdżo sę tej do miasta, bo krómów GS-u we wsach nie bęło. We większich wsach bęłë karczmórze, u jaczich mógł kupic rozmajitë towórë, ale wibiór w miesce bęł wi-  
kshi. Chto miół do miasta dalek (15—20 km), dló nie-  
go to ju bęła całó rëza, tej muszół sę kask przëszë-  
kowac. Trzeba wiedzec, że jachało sę fórmanką, ko  
autobusë wnczas nie szłë, a banë nië wszëdze bęłë  
i nië kóždëmu pasowalë. Żelë bęła sęchó jesëń, a  
gbur sę wëbiéról w dalszą rëzë, muszół sprawdzëc  
kòła kòle woza, czë téż wëtrzimią të drogë, żebë  
czasë rëfë nie spódałë. Lepi zawczasu je zamoczëc  
gdze w błotku do witra i tej ose posmarowac smarą  
(ogeszimrą), a skrëć i drëszëmel téż, żebë wóz nie  
piszczól. Drëdziégò dnia, wczas reno wóz sę zesta-  
wiło, na wóz kastë i kum do futrowanió, a na wiërk  
miech sana przëkrëti deka. Z tego powsta ława do  
sedzenió, docë wigódnó. Konie są ju zaprzëgli, në tej  
„na jimië Bosczië”, w drogë. Jachało sę colemaló kro-  
kem, bo kón narobiałi nie lubił biegac, a cziej  
go sę ponëknęło, biëgl cëżko i co sztót próbowól spo-  
malëc. Nigle sę wóz dotërlëkól do te miasta, mi-  
nëłë dwie, czasë i wicy godzën.

W miesce wnczas kóždí gbur, mniësi czë wikszi  
bëi rôd przëjimóny. Karczmórze mielë szpecjalné za-  
jazdë dló gburzczich fórmank. Tam bęłë wióldzië pod-  
worza, wëfastrowónë, z podjazdami, dze dló koni  
bëłë ustawionë kumë drewnionë abo i cementowë.  
Tam mógł konie urzeszëc i, cziej chcól, fu-  
trowac. Chto chcól, mógł choc konie wëprzic i wpro-  
wadzëc w chlëw ë tam futrowac. Bëła wszëlejakó  
wigoda, a nic nie kosza. Gospodórz tego zajazdu le  
së spitól, co chto chce kupic z towórw magazyno-  
wëch, sobie to zanótowól i kóžól załótwiac jinë spr-  
awë, a on sę postaró, żebë no wszëtkò bęło załadowó-  
né. Gbur mógł jic gdze chcól, a cziej przëszëdl nazód,  
żądóny towór ju ležól na wożu. Gbur le zaplacył

i nie brëkowól sę jiscëc, że tam co feló abo żebë go  
chto ochëbaczył. Tak cos nie dało. Taczich zajazdów  
w miesce bęło wicy, i kóždí sę staról o swojich kli-  
jentów. A tich mógł utrzymac le rzetelną obsługa.

Dzys prócownicë GS-u sę przëzërają jak gbur na  
puklu wënószó miechë z magazynu, choc bodó GS  
człónkóm nólëzi. Wszëtcë gburowi pomógają, a do  
robotë on le jednak nólëpi sę nadówó...

Taczim gburkóm nieróz bęło jaż dzywno, że nen  
bogati kupc je taczí usłužny dló biédnégo gburka.  
Ko na wsë z biédóka ni mają niżódnégò profitu, to  
go téż nie achtną. Në ale nen kupc žëje z tego, co  
uhandlëje, a kupców w miesce je wiele. Są Miemcë,  
Żëdzë, Polószë i Kaszëbi, co mają krómë. U niejed-  
nëch, a osoblëwie u Żëdów moze jész uhandlowac. Ji-  
ma moze pobëdowac połowë tego, co on fédrëje, a on  
së nie rozgorzi, le dali swojë chwólí. Komu bë wnc-  
czas mogło do głowë przíñc, że nastóną taczí czasë,  
co lëdze mdą w régach stojëlë przed krómem a  
przedówócz jima jész tej sej napëskuje. Wnczas  
jak sę do miasta jachało, tej to nówóznieszë to bęłë  
dëtczi. Bo żebë w miesce jaczégò towóru mogło za-  
fëlec, to nie bęło do pomësleniô, i to złë jidze o to-  
wórwë budowlané, jak te do codniowégò użiwku, abo  
nórzedza, statczí ëtd.

Wëdało sę wszëtczicë dëtczi i dopiërë tej jachało  
së pod dodóm. Nawetk kón poczuwól, że tam, na  
wozu czegos przëbëło. Bëło pôrë centnarów węgla  
na te swięta, miech solë dló bëdta i lëdzy, tuta abo  
dwie cementu do drobny uprawë budinku, miech  
otrëbów dló tęczników, bo sóm szrół bël dló nich  
za cëżczy i tracëlë aptit. Bëłë téż jinszë drobiózdzi,  
jaczis statczí dló kuchni... Në ale nie sygło dëtków na  
to nówóznieszë — latarnie. Stóró latarnia lëcho swię-  
cy i na wietrze wiedno gasnie, a ta nowó je czësto  
jinaczi zbudowónó, ta nie zgasnie, chocbë nówikszi  
wiater dmuchól. Na tim cylindrze je szëtopiërz wë-  
cësnieti. Teró bë sę lepi swięcëló przë okriwaním  
mitów. Ale niechle na drëdzi rok... I tak minál dzën  
na kupiszach w miesce.

Fórmanka zjéždžó ju z szasëjë na nasze pólné dro-  
dzi. Pokádka jidze jész kask z górczi, wszëtcë sedzą,  
ale wnet przíñdze czas zlecë z woza, żebë koniku  
ulzëc, bo na wożu je moze jaczich dzesë centnarów,  
a to je wiele, na jednégo konia, tą pióskową drogą.  
Cziej napadó, to dzën, dwa kolowaža stoją i wóz nie  
jidze tak drëgo. Ale jak obeschnie, tej piósk sę ze-  
sëpuje i kòła sę zarzínają w nym piósku jaż po  
spice, i jeden kón mó z naladowónym wożë robotë.  
To téż on co sztërk postówó i so odpocziwó. ■

Pisownię kaszubską zweryfikował  
EUGENIUSZ GOŁĄBK

## ZAMIAST EPITAFIUM

Ustawiono nam klepsydrę. Myślałam — ziarka pia-  
suszku só maluchne, będzie darowaló dlugo, nim sę  
przesypią. Nieraz siedziëlismy w cichaczu, pytales:  
co u Kaszubów... Przeczytałam Ci wiersz poety z  
Mierzeszyna, właśnie „Przeistoczenie” i zaklętą w nim  
proszë czyjaś — naszą „... to przeistoczë moją duszë  
w drobinë kurzu, usiadë w stódole na belce...” Mil-  
czales. Przy Twoim i moim rodzinnym domu pozo-  
stały niesyte stódoły. A tu ziarno do ziarnka... Prze-  
sypywały sę radosne chwile. Pamiętam, jak słowo  
mi przyniosłë i podalë, jak podaje sę muszelkę,  
mówilë: zapisz — kociewskie!

Z Synami Dom zbudowales, teraz pustką ogrom-  
nieje i jészczë te kociewskie wierzeje... Ptak uwił w  
miejscu wybranym gniazdo przed nami. Trzeba było  
czekać aż młode wyfruną z gniazda, by sę spëniło  
ojcowe przesłanie: nie niszczy sę gniazdo ptasich. Za-  
pamiętają to Dzieci, choć Bóg nie był dla nas tak

cierpliwy. Ukaral nas czy wyróżnił? Moze chce bu-  
dować niebieskie kościoły, a Ty znalazë sę na tym.  
Uwierzyłë: „w domu Ojca mego jest mieszkán wie-  
le...” I niebieskie wybrales mieszkanie. Na błëkit za-  
mieniłë nasze niespëlnienia — znowu malwy przy  
płocie i srebrne wesele...

Rozszalała sę klepsydra trwogę przesypując. Kto  
jej nie dopilnowal? Do cudownégò źródła chcieli  
biec Synowie, nie zdążyli. W rękach Córkí przerwał  
së październikowy różaniec... A w mojej pamięci  
ciąglë przesypują sę Twoje gesty i słowa. Po te swoj-  
skie z nadzieją wyciągam ręce.

Maria

\*

Tych kilkanaście zdań napisała pani Maria Pająkowska  
po śmierci swego męża Bogdana — Oredownika, jak Ona  
sama, spraw kociewskich i kaszubskich. Ci z nas, którzy  
byli u państwa Pająkowskich w Swieciu, wspominają ser-  
deczną atmosferę Ich Domu, otwartóść na wartości kociew-  
sko-kaszubskiej małej Ojczyzny, gotowóść ich wspaniania  
i pómnażania. Niech ta świadomóść naszej pamięci towa-  
rzyszy Pani Marii.

Redakcja



## DOCHODZENIE DO PRAWDY

Tematem II Colloquium Gdańskiego, które odbyło się 17–18.10.87 w gościnnych progach Biskupiego Seminarium Duchownego w Gdańsku-Oliwie, były „Warunki rozwoju Kościoła Katolickiego w Gdańsku i na Pomorzu w XIX i XX wieku”.

Spotkanie zagałę ordynariusz diecezji gdańskiej ks. bp dr Tadeusz Gocłowski. Witając przybyłych na Colloquium przedstawicieli kościołów szczecińsko-kamieńskiego, koszalińsko-kołobrzeskiego, olsztyńskiego i gdańskiego, naukowców, twórców i działaczy, oraz dziękując Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu za współpracę podkreślił, że tak szeroki udział różnych środowisk stwarza realną płaszczyznę dochodzenia do prawdy w podjętym, niełatwym, temacie.

Pierwszy referat pt. „Kościół ewangelicko-augsburski a germanizacja ziemi lęborsko-bytowskiej w XIX wieku” wygłosił dr Zygmunt Szultka ze Słupska. Przedstawione przez referenta tezy i wnioski zostały poparte bogato i szczegółowo zaprezentowanymi materiałami i przykładami.

Krótki przegląd sytuacji ludności polskiej — kaszubskiej — i Kościoła ewangelicko-augsburskiego na ziemi bytowskiej i lęborskiej poczynając od XVI wieku zamknął dr Szultka stwierdzeniem, że jeszcze ok. 1800 roku we wszystkich parafiach tych ziem (z wyjątkiem dwóch) nabożeństwa odbywały się w języku polskim. Dopiero zakończony 1 czerwca 1804 roku proces inkorporacji ziemi bytowsko-lęborskiej do państwa pruskiego, a zwłaszcza lata 1809–1811 przyniosły nasilenie procesów germanizacyjnych i szybkie obumieranie mowy kaszubskiej spowodowane urzędowymi zarządzeniami zabraniającymi posługiwania się językiem polskim w kościołach i szkołach. Jako czynniki sprzyjające germanizacji wymieniono w referacie: naturalne warunki glebowo-klimatyczne i strukturę gospodarczą ziem włączonych w pruski organizm państwowy, uwłaszczanie ludności wiejskiej, ruchy migracyjne, postęp i przemiany w rozwoju gospodarstwa w przeciwstawieniu do słabości gospodarczej ludności kaszubskiej, wprowadzane zmiany ustrojowe, prawne i organizacyjne pociągające za sobą zmiany w strukturze ludności wiejskiej, programową politykę germanizacyjną państwa pruskiego, wspieraną przez gorliwość aparatu biurokratycznego, obowiązującą służbę wojskową i radykalne zarządzenia dotyczące szkolnictwa, zwłaszcza elementarnego.

Bardzo poważną rolę w procesie germanizacyjnym odegrał Kościół ewangelicko-augsburski, który — jako podporządkowany władzom państwowym — gorliwie wprowadzał w życie ich wytyczne. Na pastorów preferowani byli kandydaci, którzy albo, znając język polski, byli jego zagorzałymi przeciwnikami, albo nie znali go wcale lub tak słabo, że nie mogli wygłaszać kazań i słuchać spowiedzi po polsku. Z własnej inicjatywy wnikali też w prywatne życie parafian obejmując moralnym terrorem rodziny mówiące w domu rodzinnym językiem kaszubskim. Z kleru ewangelickiego powoływano inspektorów szkolnych pilnie czuwających nad usuwaniem ze szkół polskich czytaniek i pieśni, zmuszaniem dzieci do mówienia po niemiecku nawet na przerwach i w zabawach i zajęciach poza szkołą. Znałe są przejawy buntów ludności kaszubskiej przeciw tym radykalnym zarządzeniom i w obronie świętego dla Kaszubów języka ojczystego (np. znany „tumul” w Smoldzinie czy napęci rozgniewanych matek na nauczycieli). Niemniej jednak germanizacja czyniła wielkie postępy. Jak stwierdził dr Szultka, już w trzecim pokoleniu od czasu likwidacji konfirmacji w języku kaszubskim — język ten zachowali tylko ludzie starsi. Lepiej pod tym względem przedstawiała się ziemia bytowska, gdzie było więcej katolików, a wspólnie z nimi mie-

szkający ewangelicy zachowali język rodzimy, choć często okaleczony i szczątkowy. Upowszechniło się przeświadczenie, że wszystko co katolickie to polskie, a co ewangelickie to niemieckie.

To ostatnie stwierdzenie zakwestionowano w dyskusji, podając przykłady z dziejów Słowińców, a także Niemców-katolików na Warmii i zachowujących polskość protestanckich Mazurów. Mówił o tym m.in. doc. Janusz Jasiński z Olsztyna, który w obszernym „koreferacie” poddał pod dyskusję pytanie, czy rzeczywiście Kościół ewangelicki ponosi największą odpowiedzialność za postępy germanizacji na ziemiach zagarniętych przez państwo pruskie. Wiadomo, że już od czasów Lutra kościelne organizacje protestanckie podporządkowane były władzy świeckiej, musiały więc realizować polityczne programy tej władzy. W Kościele katolickim można również znaleźć przykłady przyjmowania bez oporów zarządzeń władz. Do tego wątku nawiązywali także inni dyskutanci, padło nawet pytanie, czy nie słuszne byłoby wysłuchanie opinii o historycznej roli Kościoła ewangelicko-augsburskiego na Pomorzu jego dzisiejszych przedstawicieli.

Kolejny referat pt. „Stosunki narodowościowe i wyznaniowe na Warmii i Mazurach przed i po 1945 roku” był rezultatem współpracy naukowej dr. Andrzeja Saksona z Poznania i dr. Leszka Belzyta z Torunia. Wygłoszony przez tego ostatniego zabrzmiał miejscami bardzo dramatycznie.

Kształtowanie się grup etnicznych na dawnych ziemiach Prusów rozpoczęło się w XIV wieku. Na Warmii osiedlała się ludność polska z terenów Kociewia, ziemi chełmińskiej i Kujaw, na Mazurach z Mazowsza. W tym mają swoje źródło odrębności językowo-kulturowe. Dalszym kształtującym je czynnikiem była przynależność państwowa. Po pokoju toruńskim 1466 roku Warmię przyłączono do Polski i taki stan przetrwał do I rozbioru, Mazury natomiast pozostały w państwie krzyżackim, wchodząc później w skład Prus Książęcych, a następnie stanowiąc część królestwa pruskiego. W czasach reformacji uległy protestantyzmowi, podczas gdy Warmia pozostała katolicka. Wszystkie te warunki spowodowały, że świadomość polskiej przynależności narodowej była na Warmii większa niż na ziemiach zamieszkałych przez ludność mazurską. W okresie międzywojennym germanizacja Prus Wschodnich poczyniła wielkie postępy, gdyż, jak stwierdził referent, „totalne państwo faszystowskie zastosowało totalne metody”. W 1939 roku około 500 tysięcy mieszkańców tych ziem mówiło po polsku, ale posiadających polską świadomość narodową szacuje się na 35–45 tysięcy.

Przeprowadzony w warunkach terroru niemieckiego plebiscyt z 1920 roku zakończył się klęską strony polskiej. Nastąpiło całkowite zniemczenie szkolnictwa i kościoła, co popierała tamtejsza kuria biskupia (złożona w 1920 roku w Watykanie skarga na biskupa nie przyniosła żadnych rezultatów).

Brak oparcia w oficjalnym kościele spowodowało, że na Mazurach zaczęły powstawać swoiste ruchy religijne, utworzyło się około 30 różnych sekt, w tym stosunkowo liczny ruch gromadkarski posługujący się w swoich obrządkach językiem polskim. Podjęto też próbę stworzenia mazurskiego kościoła narodowego. W czasie wojny przywódcy tych ruchów zginęli w obozach koncentracyjnych, około 80 tysięcy ludności wywieziono w głąb Rosji.

W 1945 roku władze polskie popełniły wobec Mazurów zasadniczy błąd: zamiast uznać ich za Polaków i podjąć starania o przywrócenie im poczucia świadomości etnicznej i narodowej, przeprowadziły masowe wysiedlenie ich — jako Niemców — za Odrę,



osadzając na opuszczonych gospodarstwach polską ludność napływową. Była to ludność katolicka, administracja apostołska w Olsztynie, wyznaczona przez kardynała Hlonda, organizowała dla niej sieć duszpasterską, co działało się nieraz w krzywdę dla ludności protestanckiej (np. spory o świątynie). Spolszczenie kościoła katolickiego przyniosło pozytywne skutki dla Warmii: ludność warmińska w nieznacznym stopniu emigrowała za Odrę (zjawisko to nasiliło się na tym terenie w latach siedemdziesiątych w ramach tzw. akcji łączenia rodzin), natomiast duże fale emigracji mazurskiej powtarzały się kolejno w latach pięćdziesiątych (po tzw. weryfikacji przeprowadzonej w 1949 roku przez Mieczysława Moczarę i w latach 1956—1959) oraz w latach siedemdziesiątych. Obecnie rdzennych Mazurów jest na ziemi polskiej nie więcej jak 10 tysięcy, są rozproszeni po wsiach i zarówno oni, jak i Warmiacy nie tworzą zwartych grup etnicznych świadomych swej tożsamości. Skutki popełnionych błędów są widoczne jeszcze dzisiaj.

Uzupełniając referat dr. Belzyta doc. Jasiński podkreślił, że jedną z przyczyn przyspieszonej germanizacji Mazurów w okresie międzywojennym był fakt, że polityka hitlerowska dowartościowała ludność mazurską, że — pod warunkiem popierania narodowego socjalizmu — Mazurzy mogli poczuć się pełnowartościowymi obywatelami III Rzeszy. Natomiast po 1945 roku poczuli się prześladowani i obrażani w swej ludzkiej godności przez lansowaną ateizację, narzucanie przynależności do spółdzielni produkcyjnych, oskarżanie o kulactwo, ograniczanie nabożeństw w zrozumiałym dla nich języku niemieckim, zawłaszczanie zborów i inne akty bezprawia i prześladowań. Również na Warmii repolonizacja kościoła katolickiego przebiegała zbyt ostro i miała swoje ujemne skutki.

W dalszej dyskusji poruszono problemy, które powinny znaleźć się w polu dociekań historyków. Tadeusz Lipski upomniał się o dogłębną ocenę osoby biskupa gdańskiego (od 1938 roku) Karola Marii Spletta jednoznacznie oskarżonego o realizowanie — kosztem ludności polskiej — ideologii narodowosocjalistycznej. Z przytaczanych w dyskusji innych przykładów można wyciągnąć wniosek, że wielu duchownych, na różnych szczeblach hierarchii, zmieniło swój wiernopoddany stosunek do państwa niemieckiego, gdy zobaczyło faszyzm w działaniu. Do tematu tego powrócił w drugim dniu Colloquium ks. prof. Marian Borzyszkowski z Olsztyna, podkreślając, że traktowanie jakiegokolwiek duchownego tylko jako polityka jest niedopuszczalne.

Józef Borzyszkowski zwrócił uwagę, że istnieją duże podobieństwa między sytuacją Warmii i Mazur a tych obszarów Pomorza, które w czasach II Rzeczypospolitej nie należały do Polski; jako przykład powołał parafie Ugoszcz i Niezabyszewo. Jako odrębny temat badań wymienił problem Kosznejdrów.

Podsumowując obrady bp Gocłowski stwierdził, że wygłoszone referaty i głosy w dyskusji są cennym wkładem w poznawanie i łączenie się w prawdzie z innymi narodami, czego musi się uczyć cywilizowana Europa.

Koncert organowy prof. Leona Batora w Katedrze Oliwskiej zakończył pierwszy pracowity dzień II Colloquium.

Dzień drugi rozpoczął prof. dr Jerzy Stankiewicz niezmiernie ciekawym wykładem o „Dziejach odbudowy kościołów gdańskich po II wojnie światowej”. Trudno byłoby przytoczyć wszystkie z pietyzmem

przypomniane szczegóły i decyzje dotyczące rekonstrukcji cennych zabytków, zwłaszcza że nie możemy w „Pomeranii” reprodukcować przeźroczy, które dokumentowały każdą zawartą w wykładzie informację. Porównując obraz zniszczeń dokonanych w 1945 roku ze stanem po odbudowie można sobie uprzytomnić ogrom wykonanych prac. Z gdańskich kościołów nie odbudowano tylko kościoła Św. Jana, którego ruiny zagrażają bezpieczeństwu publicznemu.

Komunikat nt. „Funkcje ideowe inskrypcji na murze kaplicy Matki Bożej Matemblewskiej” przedstawił mgr Edward Kizik. Analizując treść tych inskrypcji, wykonanych różną techniką, w różnych latach i językach, udowodnił, że są one w przeważającej większości wyrazem kultu dla Patronki kaplicy.

Pod nieobecność kolejnego referenta, ks. doc. dr. hab. Lecha Bończy-Bystrzyckiego z Koszalina, tezy jego referatu pt. „Problemy odbudowy świątyń i organizacji sieci parafialnej na Pomorzu Środkowym i Zachodnim po 1945 roku” odczytał mgr Tadeusz Sadkowski. Z tez tych wynika, że po 1945 roku Kościół katolicki na tych terenach przejął sieć istniejących tam kościołów protestanckich, zachowując na ogół dawny układ parafialny i filialny, jeśli stan obiektów nie wymagał innego rozwiązania. Tworzenie nowych parafii utrudniał, i nadal utrudnia, brak dostatecznej liczby księży i środków finansowych. Jako przykłady odbudowy referent opisał trzy kościoły: w Kołobrzegu, Szczecinie i Chojnie na Pojezierzu Myśliborskim. Od siebie mgr Sadkowski dodał kilka uwag o kościołach drewnianych na Pomorzu. Pochodzą one głównie z XVIII wieku i znajdują się w niezadowolającym stanie technicznym. Brakuje funduszy na odbudowę i odpowiednich materiałów: drewno i cegłę zastępują płyty paździerzowe i cement.

W końcowej dyskusji wysunięto kilka — nieformalnych — wniosków. Min. upominano się o ściągnięcie rozproszonych w różnych miejscach fragmentów wyposażenia stanowiących własność gdańskich kościołów. Postulowano wznowienie książek o Słowińcach Tadeusza Bolduana i Lecha Bądkowskiego. Czesław Skonka zaproponował, aby następne Colloquium zajęło się tematem „Kościół katolicki Pomorza na rzecz niepodległości Polski”. Z zadowoleniem przyjęto informację, że materiały z kolejnych Colloquiów będą publikowane w „Studiach Gdańskich” Gdańskiego Towarzystwa Teologicznego.

Po południu w niedzielę uczestnicy spotkania wzięli udział w uroczystym zakończeniu Gdańskiego Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Katedrze Oliwskiej. Wykład publiczny pt. „Historia stylów w budownictwie sakralnym Gdańska na przykładzie Katedry Oliwskiej”, ilustrowany przeźrocami, wygłosił mgr Aleksander Piwek. Mszę św. odprawił ks. bp dr hab. Zygmunt Pawłowicz, który w homilii przypomniał nauki Ojca Świętego o roli kultury w życiu narodu i o łączności z Kościołem i Eucharystią jako nieodzownym warunkiem trwania w swej tożsamości i rozwijania się narodu i jego kultury.

Na zakończenie prezes Oddziału Gdańskiego ZK-P dr Jerzy Samp podziękował Kurii Biskupiej Gdańskiej, Biskupiemu Seminarium Duchownemu i wszystkim, którzy przez swój wkład naukowy i organizacyjny przyczynili się do stworzenia trwałej wartości, jaką stał się dorobek II Colloquium Gdańskiego. ■

Opracowała  
**Maria Kowalewska**

Nową szatę graficzną „Pomeranii” zaprojektowała Krystyna Wojcieszekiewicz przy współpracy Elżbiety Zglej



# Z PRASY

Koszalińskie „Pobrzeże” zaczęło w numerze 7/87 drukować pracę rektora WSP w Słupsku prof. dra hab. Hieronima Rybickiego pt. „Kaszubi”. Oto tytuły kolejnych odcinków (rozdziałów): „Powolni, letci, piąkni”, „Ku Polsce”, „Walka o przetrwanie” i „Zwycięski powrót”. ■ Urszula Mączka w słupskich „Zbliżeniach”, nr 40/87, opublikowała artykuł pt. „Z historii Pomorza. Słowiańskie tradycje”, dotyczący znanej enklawy słowiańskiej-kaszubskiej w okolicach jeziora Jamno. Szkoda, że chochlik drukarski przemienił w tym tekście Łabę na Lebę. ■ Ta sama autorka drukowała w tychże „Zbliżeniach”, w numerach 35–37/87, w cyklu „Z kart historii Pomorza” trzydziestowy artykuł pt. „Polska oświata na Ziemi Bytowskiej”. To dobrze, że te zagadnienia są stale obecne w prasie. Szkoła była i jest nadal głównym polem działań, przy pomocy których można zachowywać, rozwijać lub niszczyć poczucie tożsamości etnicznej. ■ Saga rodzinna jest ponętą formą publicystyki regionalnej. Formę tę z powodzeniem uprawia m.in. Józef Borzyszkowski. Forma ta nieobca jest także Bogusławowi Holubowi. W „Wybrzeżu”, nr 42/87, zastosował ją do opowiedzenia losów i wymienienia dokonania Marii (z Grochowskich) Szramki, która w gromadzeniu dokumentów dotyczących jej przodków dotarła do XVII wieku, a sądzi, że uda się jej znaleźć jeszcze wcześniejsze wiadomości o Tokarskich, Grombcewskich, Szopińskich itd. Robi to, bo chce wiedzieć co jest za jedną, bo szuka swoich praźródła, bo to pomaga jej w trwaniu. „Każdy — powiedziała Holubowi — coś powinien przekazać swoim dzieciom. Ja powiem, że są tu, gdzie ich ród. A reszty domyślą się same”. ■ „Kulturę”

nr 44/87 otwiera artykuł Zbigniewa Branacha pt. „Krwawa jesień na Pomorzu. Czas najwyższy skończyć z mitomanią warszawską”. Branach rzetelnie przedstawił tragiczną jesień Kaszub 1939 roku, oparł się na danych z archiwum Instytutu Zachodniego w Poznaniu, na aktach procesu Alberta Forstera, na publikacji Barbary Bojarskiej pt. „Piaśnica”, podał, że pewne wiadomości zaczerpnął ze strony 243 dzieła T. Cypriana i J. Sawickiego „Nieznana Norymberga. 12 procesów norymberskich”, Warszawa 1965, ale „zapomniał” zaznaczyć, że kilka zdań wziętych prawie dosłownie z felietonu Tadeusza Bolduana pt. „Mitomania”. Oto te zdania rzekomo Branacha: „Nie jest prawdą jakoby 106 zakładników rozstrzelanych 27 XII 1939 r. w Wawrze zapoczątkowało masowe egzekucje dokonywane przez hitlerowców na ziemiach polskich. Prawda tymczasem jest taka, że przed zbrodnią w Wawrze hitlerowcy zamordowali na Pomorzu kilkanaście tysięcy Polaków. Co więcej — wówczas — w końcu grudnia — kończyły się już najliczniejsze masowe egzekucje w lasach piaśnickich i szpegawskich oraz pod Toruniem, w Bydgoszczy, Rypinie, innych miastach i wsiach pomorskich i kujawskich (...). Czyżby z punktu widzenia stołecznego, Pomorze nie leżało w Polsce, a Pomorzanie nie byli Polakami?” Prawie dokładnie te same słowa są we wspomnianym felietonie Bolduana w „Pomeranii”, nr 10/83 na stronie 32. Przy okazji pewnie sprostowanie. Z tego, co napisał Branach, można wnosić, że dziekan wejherowski, ksiądz prałat Edmund Roszczyński został rozstrzelany w Lesie Piaśnickim. Nie jest to prawda. W parku podworskim w Cewicach na Ziemi Łebskiej jest na glazie sprowadzonym z Żarnowca tablica z takim napisem: „Tu w obronie polskości został rozstrzelany przez hitlerowców w listopadzie 1939 Syn Ziemi Kaszubskiej Sp. Ks. Prałat Edmund Roszczyński dziekan wejherowski w wieku 51 lat, kapłaństwa 26 lat. Cewice 9.11.1986”. ■ „Głos Wybrzeża” zaczął drukować w numerze 231/87

## KASZUBSZCZYZNA — BOGACTWO CZY

7 października ub. roku na Uniwersytecie Gdańskim rozpoczęto wykłady z cyklu pt. „Patriotyzm i regionalizm”. W październiku odbyły się 4 wykłady (o inauguracyjnym wykładzie pisaliśmy w numerze grudniowym).

14 października odczyty wygłosiła Regina Pawłowska i Genowefa Surma. Swoją wykład „Dialekt — bogactwo czy przeszkoda” rozpoczęła R. Pawłowska od wyjaśnienia sensu pojęcia „patriotyzm”. Następnie rozpatrywała sprawę stosunku świadomości językowej do patriotyzmu, uściśliła znaczenie terminu „język”, by, zwróciwszy uwagę na jego nieustanny rozwój, przejść do kwestii zawartej w temacie. Mówiąc o pojęciach „dialekt” i „język ogólny” wskazała na równie wielką wartość obu systemów z punktu widzenia językoznawczego. Ukazała bogactwo duchowe, jakie niesie z sobą znajomość wielu języków, z czego wyciągnęła wniosek, że powinno się doprowadzać do dwujęzyczności dziecka: rozwijać umiejętności posługiwania się językiem literackim przy jednoczesnym dbaniu o dialekt, który dostarcza konkretnej wiedzy o świecie, pozwala pokonać przestrzeń historyczną, pomaga w nauce ortografii i dykcji, pomnaża bogactwo frazeologiczne, tworząc podstawę języka obrazowego.

Ostateczna konkluzja: nauczycielowi pracującemu z uczniami mówiącymi dialektem niezbędna jest doskonała znajomość obu języków, by mógł je nieustannie porównywać, co niewątpliwie wzbogaca świadomość językową dzieci.

Na pytanie zawarte w tytule referatu odpowiedziała, że dialekt tylko wtedy może być przeszkodą, gdy nauczyciel jest nieumiejętny. Genowefa Surma w wypowiedzi pt. „Wiedza o dialektach w szkole średniej” zajęła się sprawą dialektu od strony ściśle metodycznej. Po omówieniu odpowiednich haseł zawartych w programie nauczania i wskazaniu głównych celów zapoznawania ucznia z bogactwem różnych odmian polszczyzny, jakimi są ukazanie wartości kultur regionalnych i rozbudzenie poczucia związku z tradycją językową, zaproponowała kilka tematów lekcji (po dokładniejsze wskazówki dotyczące ich realizacji odsyłając do swojego arty-

kulu zamieszczonego w „Poradniku Językowym” nr 3, 1986). Szczególnie podkreśliła możliwość wyzwolenia w uczniu pałki badawczej przez zadanie odpowiedniej pracy domowej, która zapewniłaby bezpośredni kontakt z dialektem, np. próby zapisu autentycznej, żywej mowy „podsluchanej” w terenie, wybór tekstu ze „Słownika gwar kaszubskich” ks. Sychty i zaprezentowanie go na lekcji. Swoją wypowiedź zakończyła słowami B. Sychty o konieczności „piastowania” mowy rodzinnej.

W tydzień później mieliśmy możliwość wysłuchania dwóch szczególnie interesujących wykładów: Jerzego Tredera pt. „Języka polskiego nauka w dialekcie” i Jerzego Sampa pt. „Przykłady analizy tekstów »rodnej mowy« podczas lekcji języka polskiego”.

J. Treder rozpoczął wykład od podkreślenia znaczącej roli regionów we wzbogacaniu kultury ogólnonarodowej i nazwał dialekt „skarbnicą ożywych soków dla polszczyzny”. Główną zaś myślą wykładu była konieczność odwoływania się do dialektu przy różnych sprzyjających temu okazjach, nie tylko w czasie kilku lekcji, które na dialektologię przeznaczają program.

Wiele też miejsca poświęcił lekcjom dotyczącym historii języka polskiego, na których należałoby podkreślać jego zróżnicowanie w początkowym okresie tworzenia się z dialektów i nieobecność kaszubszczyzny i dialektów śląskich w tym procesie od XVII wieku. Przybliżając te zjawiska można oprzeć się na współczesnych próbach tworzenia kaszubszczyzny literackiej.

Zwrócił również uwagę na wciąż nie spełniony cel zasadniczy programów nauczania, jakim powinno być zapoznanie młodzieży z całym bogactwem literatury. Uczeń powinien mieć możliwość „korzystania z ogólnodostępnych źródeł”, czyli czytania tworzonej od co najmniej stu lat literatury kaszubskiej. Nie byłoby jednak rzeczą właściwą czytanie przekładów, trzeba więc wcielić w życie postulat doc. Brezy, by młodzież szkolna mogła pojąć umiejętność czytania autentycznych tekstów, na początku choćby przy



serial pt. „Kaszubskie losy” pisząc we wstępie do niego, że są one „na ogół nie znane, przemilczane i gorzkie, skażone niedopowiedzeniem, omotane ornamentálną interpretacją. Jeśli nawet uczciwą, to przecież niepełną, jakby popełnioną ukradkiem. Po prostu: kaszubskie losy”. Autorzy, Marek Formela i Mirosław Piepka, podkreślający, że sami są Kaszubami, przedstawili raczej znane, ale warte przypomnienia postacie i wydarzenia związane z ruchem oporu na Kaszubach. ■ W kwartalniku „Fotografia”, nr 1/87, ukazał się artykuł Jana Marii Jackowskiego pt. „Maksymilian Jankowski 1904—1974”. Jest to omówienie twórczości tego wybitnego gdańskiego fotografa, ilustrowane kilku znakomitymi jego fotografiami, wśród których jest m.in. „Łeba II” pokazująca fragment słynnych wydm ruchomych według stanu w 1966 roku. ■ Janusz Kowalski opublikował w organie Towarzystwa Urbanistów Polskich „Miasto”, nr 4/87, artykuł pt. „Planowanie zagospodarowania parku krajobrazowego” ilustrowany przykładowymi z PK „Dolina Słupi”. Krzysztof Tęcza dał w Ilustrowanym Magazynie Turystycznym „Światowid”, nr 10/87, opis rowerowej trasy turystycznej przez Nadmorski Park Krajobrazowy. Razem z opisami pióra Jerzego Szukałskiego w numerze 5/87 miesięcznika „Poznaj swój kraj”, zatytułowanymi „Z wizytą na Kaszubach”, oraz z artykułem-lamentem Antoniego Zwolińskiego nad tym, że nie powołano do tychczas Chojnickiego Parku Krajobrazowego („Jantarowe Szlaki”, nr 3/86), mamy w tych publikacjach przegląd walorów wszystkich kaszubskich parków krajobrazowych. ■ Uzupełnieniem kaszubskiego numeru 5/87 „Poznaj swój kraj” są artykuły w numerze 7/87 pt. „Nad morzem” i w numerze 11/87 pt. „Nekropolie”, gdzie Stefan Świerczewski dał rzetelny opis Lasu Piasnickiego. ■ W „Wybrzeżu”, nr 44/87, Józef Narkowicz alarmuje w sprawie stanu rzek łososiowych, tj. Regi, Parsęty, Wieprzy i Grabowej, Słupi, Łupawy oraz Pasieki, a Mirosław Piepka szeroko opisał okoliczności zna-

lezenia (prawdopodobnie drobnego) pokładu (raczej oczka niż złoża) ropy naftowej w pobliżu Żarnowca. ■ O budowie elektrowni jądrowej w Żarnowcu pisze się wiele. Odnotujmy dwie pozycje: Jerzego Dąbrowy „Reportaż z Żarnowca. Na budowie pierwszej atomowej” („Pobrzeże”, nr 10/87) i Macieja Kledzika „Er-rata. Zapalić stos (atomowy) czy budować tamy?” („Przekrój”, nr 2211). Kledzik, pisząc o Żarnowcu, wskazał, że zamiast elektrowni atomowej, której czas eksploatacji będzie tylko 20—30-letni, należałoby zagospodarować Wisłę, Odrę i ich dopływy, bo do elektrowni „wodnej nie potrzeba niczego dowozić, niczego z niej usuwać i nie zanieczyszcza ani ziemi, ani wody, ani powietrza”. ■ Jan Machynia opublikował w „Rzeczywistości”, nr 43/87, tekst dotyczący pobytu studentów-członków ZSMP na Ziemi Łębarskiej. Badali oni, i zamierzają to robić przez następne 2—4 lata, „m.in. stan środowiska naturalnego, stopień zanieczyszczeń, wskazując jednocześnie [ich] źródła”, a równocześnie krążyli „po targach, jarmarkach i festynach rejestrując miejscowy folklor i gwara kaszubską”. ■ Jak to często z powieściami bywa, ich autorzy niektóre rozdziały opracowują wielokrotnie, zmieniają, uzupełniają, przerabiają, zanim którąś ich wersję dadzą do druku. Ostatnio Wiesława Kordaczuk udostępniła czytelnikom „Wieżi”, nr 5/87, nieznaną zakończenie „Urody życia” Stefana Żeromskiego. Jest w tym tekście, wydobyty z uszkodzonego rękopisu, i takie zdanie: „Kształt tego [kaszubskiego] języka wykołysał się we mgłach, deszczach, burzach i śniegach srogiego morza”.

Janusz Kowalski

## Z PRASY

## PRZESZKODA ?

pomocy słownika, co przygotowałyby ją do aktywności kulturalnej i ewentualnej twórczości w dialekcie.

J. Treder podsumował swoją wypowiedź stwierdzeniem, że regionalizacja, choć realna, nie jest łatwa, a powinno się ją zacząć od szkół wyższych, by hasło „podniesienia tego co ludowe do rangi ogólnonarodowego” zostało zrealizowane.

J. Samp zauważył, że wybór tekstu i metody zależy od środowiska, z jakiego wywodzą się uczniowie. We wsi rdzennie kaszubskiej proponował pracować z całym utworem kaszubskim, w Trójmieście wybrać fragment. Zaproponował, by w środowisku typowo kaszubskim zamiast np. baśni, podania czy legendy z wypisów omawiać odpowiedni wariant kaszubski (ze zbioru np. Józefa Ceynowy czy Franciszka Sędzickiego). Następnie zanalizował kilka konkretnych utworów literackich i na koniec zauważył, że możliwości regionalizacji nauczania jest naprawdę wiele i tylko od nauczyciela zależy, w jakim stopniu z nich skorzystać.

Szkoda, że w spotkaniu uczestniczyło tak niewiele osób, bowiem referencje zaproponowali cenne, konkretne propozycje realizowania programu regionalizacji w szkołach.

Ostatnie październikowe spotkanie wypełniły referaty: Wiktorii Kozłowskiej „Realizacja sceniczna »Remusa« według powieści A. Majkowskiego” i Ireneusza Milka „Realia pomorskie w »Wietrze od morza« S. Żeromskiego”.

W. Kozłowska zacytowała we wstępie fragment „Remusa” w tłumaczeniu L. Bądkowskiego, przypomniała biografię Majkowskiego (nie ustrzegła się przy tym od popełnienia kilku błędów, m.in. nazwała Majkowskiego drugim po Ceynowie wielkim twórcą i propagatorem kaszubszczyzny, pomijając Derdowskiego, a za datę założenia Towarzystwa Młodekaszubów uznała rok 1913) oraz opowiedziała treść powieści. Następnie omówiła sztukę Edwarda Mazurkiewicza „Remus — rycerz kaszubski” opartą na motywach tekstu powieści, utworów J. Ceynowy, H. Derdowskiego, B. Faca, T. Miculskiego, A. Mickiewicza, podkreślając udane powiązanie kilku planów. Zakończyła wypowiedź stwier-

dzeniem, że sztuka i powieść doskonale nadają się do wykorzystania w szkole.

I. Milek potraktował temat w sposób wybiórczy, by, jak zaznaczył, ujawnić regionalny charakter „Wiatru od morza”. Omówił poszczególne, autonomiczne w pewnym sensie epizody, określił rolę Smetka, wyliczył niektóre realia z zakresu kultury materialnej, nazw roślin, ukształtowania terenu, języka.

Propozycje metodyczne dotyczyły wykorzystania opowieści jako pomocy przy lekturze innych utworów, np. rapsodu o św. Wojciechu, gdy się omawia „Legende o św. Aleksym”, rozdział o Koperniku jako doskonały przykład ilustrujący wszechstronność człowieka renesansu, a opis teorii heliocentrycznej referent uznał za wartościowy także na lekcji geografii. Na koniec skonkludował, że „Wiatr od morza” jest jako lektura zbyt mało wykorzystywany w szkołach Trójmiasta.

Temat pierwszego wystąpienia sprowokował zebranych do ożywionej dyskusji. Na pytanie, jak sprawy językowe wpłynęły na realizację widowiska, skoro oparto się na przekładzie L. Bądkowskiego, który nie oddaje w pełni piękności oryginału i specyfiki języka, odpowiedział autor sztuki: tłumaczenie było konieczne, aby utwór mógł dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców.

H. Dwilewicz przypomniała spór, który toczył się po wydaniu przekładu „Remusa”. Wątpliwości niektórych pracowników UG wzbudziła sama sensowność przekładu z dialektu na język ogólny i sprawa jakości pracy tłumacza. Do słów H. Dwilewicz nawiązał J. Treder, który przypominając, że powieść jest napisana literacką kaszubszczyzną (nie dialektem, ponieważ takim językiem przed Majkowskim nikt się nie posługiwał), zdziwił się, że można było uznać przekład za coś niewłaściwego. Przecież wątpliwości nie budziłoby tłumaczenie z polszczyzny XIII i XIV-wiecznej, która nie była jeszcze w pełni językiem literackim.

Prowadzący spotkania doc. L. Wierzbowski zamknął dyskusję stwierdzeniem, że obecnie argumenty wysunięte przeciw Bądkowskiemu w ogóle nie wytrzymałyby krytyki, ponieważ dzisiaj mamy chyba nieco mniej zaściankowe poglądy na pojęcia język i naród. Przywołał przykład Wąlonów i Szwajcarów, którzy mówią po francusku, a nie uważają się za Francuzów oraz Bretończyków, którzy mimo własnej mowy czują się w pełni Francuzami. (B.C.)



# „GEDANIA” SKOŃCZYŁA JUŻ 65 LAT

Bogumiła Cirocka

Ruch sportowy był tylko częścią działalności stowarzyszeń polonijnych skupiających polską mniejszość w Wolnym Mieście Gdańsku, ale jego rola była niezwykle istotna. W sytuacji silnego rozwoju ruchu narodowosocjalistycznego, który podsycił wrogie nastroje wobec Polaków wśród ludności niemieckiej, próbował ograniczać aktywność organizacji polonijnych, „sportowiec polski — jak przypomina rocznicowa publikacja klubu „Gedania” — na boisku w Gdańsku miał dwóch przeciwników: Niemca-sportowca i Niemca-zaborcę, z którym można było wygrać tylko na boisku”.

Pierwszą sportową organizacją, która wzięła znaczący udział w walce o polskość Gdańska, był — założony w 1922 r. przez piłkarzy wywodzących się z Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” — Klub Sportowy „Gedania” (aby uzyskać zgodę na rejestrację w Bałtyckim Związku Sportowych Klubów Niemieckich, musiał przyjąć oficjalną nazwę „Sport Club Gedania”, nie drażniącą niemieckiego ucha słowiańskim brzmieniem). Pierwszym prezesem 31-osobowego zespołu został Austriak Konrad Rudolf, kapitanem drużyny piłkarskiej Jakub Bawelski. Wszystko zaczęło się od piłki, ale już w 1923 r. powstała sekcja szachowa, potem kolejno: lekkoatletyczna, strzelecka, motorowa, piłki ręcznej, hokejowa, bokserska. W sumie w 1939 r. było 16 sekcji, w których uprawiano sport 1200 osób, głównie pracowników DOKP, Banku i Poczty Polskiej, robotników i uczniów.

Do ważnych wydarzeń z tych lat trzeba zaliczyć udział „Gedanii” w Igrzyskach Polaków z Zagranicy, które odbyły się w 1934 r. w Warszawie, gdzie gdańska ekipa zajęła drugie miejsce, oraz obchody 15-lecia działalności klubu w 1937 r., które stały się okazją do zmanifestowania polskości Gdańska. W imprezie jubileuszowej, zorganizowanej mimo oporu władz niemieckich, wzięło udział 15 tysięcy Polaków, którzy przeszli w uroczystym pochodzie przez Gdańsk, by móc obejrzeć zawody uświetnione udziałem takich m.in. sław lekkoatletycznych, jak Walasiewiczówna, Lokajski i Gierutto.

Wrogość nacjonalistycznej części społeczeństwa niemieckiego dała się we znaki sportowcom już w 1923 r., gdy podczas meczu obrzucono piłkarzy kamieniami. Mimo to cztery lata później drużyna piłki nożnej uzyskała awans do Ligi Gdańskiej, zdobywając wicemistrzostwo w klasie A. W odpowiedzi na to Niemcy działacze zmniejszyli liczbę uczestników Ligi z 8 do 6, ale wbrew ich machinacjom „jedenastka” klubu „Gedania” miała w 1930 r. prawo startu w Lidze Związkowej, co umożliwiło rywalizację także z zespołami z Prus Wschodnich. Liczne sukcesy sportowe (i polityczne — kolejne zwycięstwa stawały się okazją do patriotycznych wystąpień) spowodowały, że w następnym roku nie dopuszczono „Gedanii” do rozgrywek w Lidze Okręgowej, ograniczając jej udział do zreorganizowanej Ligi Gdańskiej.

Z podobnymi trudnościami spotykały się także inne sekcje, skreślane z list lub nie dopuszczane do niemieckich związków, co nie pozwalało na udział w klasyfikowanych zawodach. Szykany narastały szczególnie od 1933 r.: odmawiano wynajmu sal, wykluczano zawodników z rozgrywek za używanie języka polskiego, pod byle pretekstem wymierzano mandaty członkom sekcji motorowej, a nawet aresztowano Gedanistów przed ważnymi spotkaniami, by po ich ukończeniu uwolnić od wymyślonego zarzutu.

Na podkreślenie zasługują osiągnięcia lekkoatletów, którzy bardzo często zajmowali wysokie pozy-

cje na zawodach o Mistrzostwo Wolnego Miasta Gdańska, także sekcji strzeleckiej — mistrza klasy A w 1929 r. Drużyny: tenisowa (ze słynną Wiewiórkowską), motorowa, hokejowa wielokrotnie były mistrzami Gdańska. Pięściarze byli tak groźnymi rywalami, że w obawie przed ewentualnymi sukcesami niemieckie władze sportowe odmówiły im prawa udziału w rozgrywkach (walczący w barwach „Gedanii” Jan Bianga był 6-krotnym mistrzem Pomorza).

W roku 1938 antypolska kampania nasiliła się, zaczęto prześladować sportowców i działaczy. Na początku 1939 r. „Gedania” została całkowicie wykreślona z rejestru niemieckich związków sportowych, a brunatni bojówkarze zdemolowali lokal klubowy. 1 września większość Gedanistów znalazła się w Victoria Schule, potem w obozach koncentracyjnych. Pamięć 75 ofiar hitleryzmu, bojowników o polskość Gdańska, pomordowanych w czasie wojny uczczono tablicą pamiątkową, umieszczoną w 1972 r. przy bramie prowadzącej na teren, który po wojnie znowu wrócił do „Gedanii” (przy ulicy Kościuszki we Wrzeszczu).

Od września 1946 r. „Gedania” połączona z Kolejowym Klubem Sportowym „Bałtyk” występuje pod nową nazwą — Kolejowy Klub Sportowy „Gedania”. Drużyna piłkarska była pierwszym powojennym mistrzem Wybrzeża, potem grała w lidze okręgowej, w sezonie 1950—51 w drugiej lidze, by w rok później w wyniku reorganizacji (których, jak cały klub, przeżyła wiele) spaść do ligi międzywojewódzkiej, w której gra do dziś.

Wiecej szczęścia mieli pięściarze, odnoszący znaczące sukcesy, m.in. tytuł drużynowego mistrza Polski w 1949 r. W barwach klubu walczył Zbigniew Chychła — czterokrotny mistrz Polski, złoty medalista olimpijski z Helsinek i mistrz Europy w 1951 i 1953 r., mistrzowie kraju z lat 50. i 60.: Kudłasiak, Musiał, Milewski oraz Brunon Bendig, zdobywca brązowego medalu na olimpiadzie w 1960 r.

Siatkarki (po fuzji z „Gromem”) zdobywały tytuły mistrzowskie w latach 1951—54, a od końca lat 50. grają raz w pierwszej, raz w drugiej lidze.

Ostatnio największe sukcesy ma na swoim koncie sekcja wioślarska. Na kolejnych olimpiadach zawsze jest przynajmniej jeden Gedanista. Rewelacyjną formę osiągnęły Małgorzata Dłużewska-Wieliczko i Czesława Kościńska-Szczepińska, które wywalczyły brązowy medal na mistrzostwach Europy w 1979 r., srebrny na igrzyskach w Moskwie i także w 1982 r. na mistrzostwach świata w Lucernie.

Przypomnienie bogatej, 65-letniej historii KKS „Gedania”, znaczenia klubu-jubilat w dziejach nadmorskiego grodu, szczególnie w okresie międzywojennym, jest jednocześnie dobrym punktem wyjścia dla przedstawienia sylwetki człowieka związanego ze sportowcami w białoczerwonych koszulkach od 1935 r.

Pan Franciszek Mach jest jednym z niewielu już ludzi pamiętających Gdańsk z tamtych trudnych nie tylko dla sportu, ale przede wszystkim dla polskości, lat. Jest też człowiekiem, który na własnej skórze odczuł, jak niebezpieczne było podkreślanie swojej narodowości w Wolnym Mieście. Jako młody chłopiec, uczeń Szkoły Polskiej w Oliwie, potem Szkoły Handlowej, brał udział w ćwiczeniach Organizacji Bojowej Tajnego Związku Strzeleckiego, na Świącie Morza w Gdyni szedł w pierwszym szeregu, nie więc dziwnego, że śpiewanie pieśni „Gdański nasz hufiec do boju gotowy” (a głos musiał mieć donośny jako członek chóru „Lutnia”) w czasie, gdy niedaleko katedry odbywały się ćwiczenia młodych faszystów, nie wyszło mu na dobre. Szczególnie, że znalazł się przeciw niemu także zarzut cięższego kalibru — kolportowania polskich gazet w pomieszczeniach DOKP, gdzie pracował. W konsekwencji cztery miesiące spędził w więzieniu.

Przejdźmy jednak do tego, co przez dziesiątki lat swojego czynnego życia zrobił dla sportu. Trzeba zacząć od początku, od lat 30., gdy sam był piłkarzem i pingpongistą (swoją miłość do piłki przekazał starszemu synowi, który grając w drużynie „Gedanii” był królem strzelców). Potem był przede wszystkim bar-



dzo czynnym działaczem — tzn. jest nim do chwili obecnej.

Pan Mach, wspominając pierwsze powojenne lata, stwierdził, że tamten najgorszy okres był właściwie najlepszym dla klubu, wtedy bowiem osiągnęto największe sukcesy, wtedy też było najwięcej ludzi, którzy nie żalowali swego czasu i bezinteresownie próbowali przyczynić się do rozwoju sportu. Wspólnie z nimi organizował zawody, woził sprzęt z jednego końca miasta na drugi, gdzie znajdowała się wypoczynkowa im sala. Nocami zajmował się przemianą zwykłej sali na plac walki dla bokserów — robił wszystko, od układania desek, numerowania krzeseł po wypisywanie i sprzedaż biletów, nie mając z tego żadnych wymiernych korzyści, poza satysfakcją. W latach 40. i 50. kontynuowano dobre, przedwojenne tradycje organizowania spotkań klubowych, które przed wojną były okazją do obchodzenia rocznic narodowych i śpiewania patriotycznych pieśni. Panu Machowi bardzo pomagała w tym żona, zajmująca się razem z innymi kobietami stroną kulinarną.

Co robi dzisiaj Franciszek Mach? Od 37 lat jest co roku wybierany członkiem Zarządu, nadal pomaga w organizowaniu imprez, jest obecny na wszystkich zawodach. A przede wszystkim jest twórcą ciekawych, różnobarwnych, starannie wykonanych plakatów, zazwyczaj urozmaicanych jakimś dowcipnym

elementem graficznym lub żartobliwym tekstem. Jest żywą kroniką klubu, jest z nim związany od tylu lat, a pamięta każdą twarz i każde nazwisko, przeżył razem z „Gedanią” jej najlepsze dni i te mniej pomyślne, dlatego najpierw do niego zwróciłam się z pytaniem, co myśli o przyszłości klubu. Z nie opuszczającym go nigdy (jak mówią jego znajomi) uśmiechem odpowiedział: „Na pewno będzie coraz lepiej”.

Ten optymizm potwierdził też dyrektor Mieczysław Smoroń, który szczególnie mocno podkreślał zainteresowanie sponsora, Północnej DOKP, sprawami klubu, czego dowodem wykonywany właśnie i finansowany przez kolej remont boiska, rozbudowa przystani, planowana przebudowa hali i budynku administracji. Swoje jasne spojrzenie w przyszłość uzasadniał także i tym, że w tej chwili stawiają głównie na młodość, na nadzieję klubu, 14-letniego szachistę Łukasza Kwiatkowskiego i siatkarki, które w tym sezonie powinny wejść do pierwszej ligi.

Podobnie różowe okulary nosi Mirosław Begger, opiekun sekcji zapasniczej, który z wielkim entuzjazmem mówił o 15-letnim Arturze Rusińskim i innych zapasnikach, mających, jego zdaniem, duże szanse, by przywrócić klubowi należną mu rangę.

Wierzę, że jeśli w „Gedani” jest więcej takich entuzjastów, jak Franciszek Mach, który całe swoje życie poświęca dla sportu, wszystko jest możliwe. ■

#### DRAŻNIŁY MNIE DIALEKTYWIZOWANE ROZMOWY

Sprawa kaszubska była mi w zasadzie zupełnie obca. Mimo że mieszkam na typowo kaszubskiej wsi, byłam jakby poza nią. Nie utrzymywałam kontaktów z ludźmi z mojej miejscowości, w moim domu rodzinnym nie mówiło się po kaszubsku, a Kaszubką byłam w zasadzie tylko z nazwy. Co więcej, drażniły mnie dialektywizowane rozmowy w tzw. pseudopolszczyźnie, zwroty w rodzaju „Ja był jechany”, które na moich terenach są używane potocznie.

Do tego dochodził jeszcze negatywny stosunek koleżanek i kolegów z liceum do sprawy kaszubskiej. Ponieważ większość z nich nie pochodziła stąd, segregacja była bardzo prosta — ktoś, kto mówi po kaszubsku lub chlubi się swym pochodzeniem „stąd”, to „wiesniak”, człowiek o ciasnych horyzontach myślowych itd. Może to, co napisałam, zabrzmiało niewiarygodnie, ale tak to w istocie wyglądało.

Kiedy otrzymałam zawiadomienie o obozie adaptacyjnym organizowanym w Wieżycy przez Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz klub studencki „Pomorania”, zdecydowałam się bardzo szybko. Atrakcyjna okolica, możliwość poznania nowych ludzi — to było ważne. Muszę się przyznać, że najmniej atrakcyjna wydawała mi się perspektywa... kaszubszczyzny!

Początkowo podchodziłam do wszystkiego z rezerwą: wykłady dwa razy dziennie, organizatorzy chcieli, abysmy mówili po kaszubsku — czy to nie przesada?

Przekonałam się znacznie później, powoli, coraz bardziej wnikając w

panującą atmosferę, że nie. Stopniowo tematyka kaszubska i sama idea ZK-P stawała mi się coraz bliższa. Pomijając chwile bardzo mile spędzone w chęczy „pomoranców” podczas wyprawy do Łączyńskiej Huty, przełomem był dla mnie wykład językoznawcy doc. Edwarda Brezy, dotyczący pochodzenia nazwisk kaszubskich. Okazało się, że obie moje babcie mają typowe kaszubskie nazwiska. Oczywiście, że mając tak kaszubskich przodków nie można być obojętnym na to wszystko, co dotyczy Kaszub.

Dużo dały mi również liczne rozmowy z panem Stanisławem Pestką, chociaż dotyczyły nie tylko spraw regionu, ale często spraw ogólnoludzkich.

## LISTY

Spotkania ze Stanisławem Janke, red. Edmundem Szczesiakiem, panią Izabellą Trojanowską spowodowały, że ostatecznie zdecydowałam się, aby zrobić „coś” dla Kaszub. Obecnie staram się konsekwentnie realizować moje zamierzenia. Pierwszym stopniem na mojej „kaszubskiej drodze” jest klub studencki „Pomorania”.

Właśnie koleżanki i koledzy z „Pomorania” okazali mi dużą pomoc w zrozumieniu „sprawy kaszubskiej”.

Sądzę, że oboz adaptacyjny ZK-P był wspaniałą przygodą z kaszubszczyzną, która z pewnością nie zakończy się wraz z obozem.

Barbara Nowak

#### PODZĘKA

Wszczętim, co mie złozełē žeczbe direkt abo pocztā i mie okōzełē tak wiele serca i wseczēgego z leżnoscē moji 80-latny roczēznē, z całēgo serca dżekuje.

Apartno dżekuje poczestnēmu i lubnēmu Ksēdu Prałatowi Francowi Grēcze z Copot, od przeszło pindzesāt lat lubnēmu mojemu sercu Drēchowi, za odprawieniē Msze Swięti w moji intencēji na Wigodze (4.10.1987), za drēsne žeczbe i okōzōne serce; przewielebnēmu Ksēdu Biskupowi dr Andrzejowi Śliwińskiemu za przēswnē mie błogosławieniēstwo, serdeczne pozdrowe i žeczbe; doc. dr hab. Jōzefowi Borżęskowscziemu, prēdnikowi Kaszēbsko-Pomorscziego Zrzeszeniō za ogłowē uczestnieniē mie w mojih dokōzach, wespōl z bētnikama na „Zēndzeniē kaszēbsczih pisōrzōw”, 3 i 4 rujana w Łāczyński Hēce i mojemu sēnōwcowi Edmundowi Kamińskiemu za zorganizowaniē, wespōl z nōleznikama, tak widzali i dlo mie pamiētny swiętnicē dnia 24 rujana w aulē „Zespołu Szkōl Elektrycznych”.

Okoma te, jesz rōz baro dżekuje „Harmoniji” i szkołowim dzecom Wejrowa i dirigentom za snoze wēkonōne piesnie, deklamatorom za piēkno wēgłoszonē wiērtē, „Chmielanōm” za widzali pokōzk kaszēbsczih tuńcōw i chorank, wastny mgr Trudze Treder za ogłowi zapowiōdaniē i prowadzeniē, a wszēcim Drēsčkōm ē Drēchōm za serdeczne słowa i niezrechowōne krutē kwiatōw, jaczima jesta mie žeczno obdarzēla.

Dżekuje wszēczim za wszēcno.

Jan Trepczik



## POMYSŁOWY ODDZIAŁ ŻUKOWSKI

Nieraz już pisaliśmy o kłopotach z kolportażem „Pomeranii” poprzez „Ruch”. Do kiosków w terenie dowożona jest z dużym opóźnieniem albo wcale. Wiele oddziałów Zrzeszenia sprzedaje „Pomeranię” na swoim terenie, przoduje w tym Oddział Żukowski. Od ponad pół roku rozprowadza za pośrednictwem GS w Żukowie 100 egzemplarzy naszego miesięcznika. Teraz otrzymaliśmy od prezesa Kazimierza Bańczyka dalszą ofertę: „Za pośrednictwem GS »Samopomoc Chłopska« w Żukowie sprzedajemy miesięcznie 100 egzemplarzy »Pomeranii«. Obecnie chcemy rozszerzyć kolportaż we wszystkich sklepach spożywczych GS Żukowo. Dlatego zamawiamy od przyszłego miesiąca (października) 200 egzemplarzy naszego pisma”. A ponieważ przesyłka pocztą trwa kilka dni, zdecydowali, że sami będą odbierali „Pomeranię” z biura redakcji.

Chwalimy Żukowo, a innych namawiamy do takiej formy współpracy. (Red.)

## CZERSKA KAPELA „BAZUNA” W LESZNE

We wrześniu ub. r. odbył się w Lesznie XXVI Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich (SIMP), w którym wzięli udział członkowie Oddziału Gdańskiego ZK-P: kol. Sobieszczyk jako delegat Oddziału Wojewódzkiego SIMP w Gdańsku i ja, jako przewodniczący Zarządu Głównego Sekcji Spawalnictwa.

W ramach części artystycznej na dziedzińcu zamkowym w Rydzynie koło Leszna odbyła się uroczysta wieczornica. W pierwszej części wystąpiła Capella Zamkowa z prawykonaniem Haendlowskich „Sztucznych ogni”, dość

bogato iluminowanych rzeczywistymi ogniami sztucznymi, i — ku mojemu wielkiemu zdziwieniu — w drugiej części programu zapowiedziano przy jednym z trzech ognisk, które zapłonęły w parku zamkowym, występy czerskiej kapeli „Bazuna”. Poszedłem zobaczyć.

Kilkunastoosobowy zespół prowadził dyrektor Ośrodka Kultury w Czersku. Muzyka, śpiew (którego po kaszubsku uczył publiczność) i gadki przeplatały się wzajemnie, tworząc ciekawy i żywy program. Prowokując do współudziału widzów „zmusił” mnie do wejścia na deskę, gdzieśmy się po wzajemnym przedstawieniu ucałowali po bratersku. Po tym „występie” podeszło do mnie kilka osób (w tym dyrektor Zamku SIMP w Rydzynie, ten który zaprosił kapelę) wyrażając ciepłe słowa pod adresem Kaszubów, Kaszub i ich folkloru.

Za sprawą „Bazuny” poczułem się pierwszym Kaszubą wśród delegatów.

Roman Kensik

## HAFTY Z TUCHOLI W WARSZAWIE

W październiku ub.r. na specjalnej wystawie w Muzeum Etnograficznym w Warszawie został zaprezentowany do robek laureatów Nagrody Artystycznej Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego w dziedzinie twórczości ludowej. Wśród laureatów za rok 1986 były trzy hafciarki z Tucholi: Róża Betyna-Dobek, Regina Betyna-Hoffman i Aleksandra Betyna-Danek. Ich też prace znalazły się na wystawie, obok obrazów na szkło Barbary Walczak-Banieckiej-Dziedzic z Zakopanego i rzeźb Tadeusza Kacalaka z Kutna.

Na uroczystym otwarciu rozbrzmiewała muzyka góralska — podczas występu Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca z Żywca, również laureata nagrody Wyspiańskiego — było żywieckie

piwo i ciastka tucholskie. Podziwiano piękne hafty kaszubskie w tonacji złotej i niebieskiej na bluzkach, obrusach, serwetkach i makatach, będące dziełem córek znakomitej hafciarki ludowej Stanisławy Betyny. Zamiłowanie do haftu i niepospolite umiejętności przechodzą z pokolenia na pokolenie. Ten rodzinny zespół hafciarek należy do młodego Oddziału Tucholskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Na otwarcie wystawy do Warszawy udał się zespół hafciarek ze Stanisławą Betyną i twórczynią tucholskiej szkoły haftu kaszubskiego Heleną Grabkowską oraz wielu miłośników bursztynowych kolorów, z prezesem Oddziału Tucholskiego ZK-P Franciszkiem Wegnerem.

Podczas pobytu w Warszawie uczestnicy wycieczki złożyli wiązanki kwiatów i zapalili znicze na grobie ks. Jerzego Popiełuszki. (Weg.)

## O TOWARZYSTWACH REGIONALNYCH NA PRZYKŁADZIE K-PTK

Na sesji wyjazdowej w województwie bydgoskim obradował 10 i 11 października 1987 r. Zespół Regionalnych Towarzystw Kultury, istniejący w łonie Narodowej Rady Kultury. W pierwszym dniu uczestnicy, podzieleni na grupy, odwiedzili Inowrocław, Znin, Chojnice i Tucholę, chcąc poznać działalność oddziałów i towarzystw sfederowanych w Kujawsko-Pomorskim Towarzystwie Kulturalnym.

W Chojnicach działalność Chojnickiego Towarzystwa Kulturalnego przedstawiła prezes Grażyna Winiecka, w Tucholi Borowiackie Towarzystwo Kultury prezentował prezes Józef Sporny, lecz dyskusja wykroczyła poza ramy lokalnych inicjatyw. Z niepokojem mówiono o nikłym uczestnictwie w ru-

## JUBILEUSZ JANA TREPCZYKA

Doniosłe i wzruszające chwile towarzyszyły uroczystości 80-lecia urodzin poety i kompozytora kaszubskiego Jana Trepczyka. Społeczność zrzeszona w Wejherowie zgótowała dostojnemu Jubilatowi i jego umiłowanej kaszubszczyźnie wielkie święto. Przybyłych na tę uroczystość — Męstra Jana wraz z małżonką Leokadią, mieszkanców Wejherowa oraz gości z różnych stron Kaszub i rozlicznych zakątków Pomorza przywitał prezes Oddziału Wejherowskiego ZK-P Edmund Kamiński. Część koncertową imprezy, na którą złożyły się pieśni i wiersze Jubilata, prowadziła Gertruda Treder. Jej zwięzłe i pełne polotu zapowiedzi znakomicie łączyły poszczególne części programu. Koncert rozpoczął się występem Chóru Męskiego „Harmonia”, a następnie zaprezentowały się chóry ze szkół nr 4, 8 i 11, trio męskie w składzie: Radosław Kamiński, Maciej Miecznikowski i Tadeusz Ritz oraz milusińscy z przedszkoli nr 2 i 5, którzy poza uroczym śpiewem recytowali również wiersze. Ponadto poezję Męstra Jana recytowali Witosława Frankowska i Piotr Melcer. W drugiej części koncertu wystąpił Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Chmieleń”. Wielopokoleniowa reprezentacja wykonawców w pełni ukazała artystyzm i idee zawarte w twórczości autora „Odecknieniów”.

W czasie uroczystości odczytano specjalny adres Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wraz z okolicznościowym wierszem Jana Zbrzyca oraz list biskupa Andrzeja Słowińskiego, sufragana chełmińskiego, w którym pisze m.in.: „Pańskie wspańskie wiersze i pieśni kaszubskie zawsze będą świad-

czyć o pięknie i bogactwie kaszubszczyzny. Szczególnie cieszą nas Pańskie koledy kaszubskie, tak dobitnie wzbogacające Kościół Chełmiński i zarazem polski swoją morską, niepowtarzalną melodią słów i dźwięków. (...) Z wdzięcznością wraz z ogółem braci Kaszubów wspominamy Pański udział w uroczystości koronacji Matki Bożej Sianowskiej — Królowej Kaszub i złożony jej tam dar — pieśń »Kaszëbskô Królëwô«, którą dziś słyhać w coraz to nowych zakątkach naszej ziemi, której to mógł także posłuchać Nasz Ukochany Ojciec Święty Jan Paweł II na świątecznym spotkaniu w Gdyni”. Jubilat wysłuchał dziesiątek gorących życzeń i otrzymał tyleż bukietów od instytucji i stowarzyszeń, oddziałów ZK-P i osób prywatnych. Nie zapomniano o pani Leokadii, wiernej towarzysze życia Męstra Jana. Dziękując za tę świętnicę organizatorom i wszystkim obecnym, Jubilat wyraził również swoje życzenie, by „koźdi Kaszëba i koźdô Kaszëbka bëłë sobą, wiérno przëstojiwëlë koźdi kaszëbszi sprawie, trzimelë sę swoji mowë, zebë bëłë buszny, że są córkama ë sënama kaszëbszi zemi”.

Po oficjalnej części imprezy zaproszeni goście spotkali się z Mistrzem Janem na „słodkiej” wieczerzy.

Uroczystości towarzyszyło hasło „Jak słuchać wid pëszny”, słowa z wiersza Jana Trepczyka „Kaszëbskô mowa”. Taki tytuł nosi też bibliofilski rarytas upamiętniający rocznicę poety, wydany w nakładzie 300 ręcznie numerowanych egzemplarzy przez Oddział Wejherowski ZK-P w opracowaniu Edmunda Kamińskiego. W tomiku pomieszczono notę biograficzną i zdjęcie Jana Trepczyka oraz trzy wiersze. Warto odnotować też, że całą imprezę, na zlecenie Oddziału Wejherowskiego, zarejestrował na taśmie wideo Andrzej Fronczyk z Rumi. (s.j.)



chu kulturalnym różnych grup zawodowych inteligencji, m.in. nauczycieli, prawników, którzy tradycyjnie przewodzą w tej sferze życia społecznego. Pytano o twórcze ambicje towarzystw na polu piśmiennictwa, sztuki, nauki. Podnoszono zwłaszcza kwestię czerpania z kulturowego dziedzictwa regionu, które zasługują na dowartościowanie i rozwój. Wypowiedział się na ten temat również przewodniczący NRK, prof. Bogdan Suchodolski. Powiedział m.in.:

— Wybór trasy na południowe Kaszuby wynika z moich osobistych zainteresowań i sympatii. Dawno już, w latach dwudziestych, poznałem północ Kaszub, okolicę Pucka, którą nadal odwiedzam. Poznałem Derdowskiego, wprawdzie nie osobiście, lecz poprzez jego epopeję „O panu Czorlińskim”, rybaka, który wybrał się do Pucka po śleci. Poznałem Majkowskiego, Budzysza [Karnowskiego]. Zafascynował mnie język kaszubski, tak konsekwentnie się rozwijający, a przez język również powstająca w nim literatura. Chciałem przeto poznać również południe, ludzi tu żyjących i ich kulturę.

Prof. Suchodolski wskazał, że aby zażyczyć wyzwanie przyszłości, towarzystwa kulturalne nie mogą zawęzić swej działalności do opieki nad zespołami pieśni i tańca, kultywowania tradycji i otaczania opieką twórców ludowych. Winny współtworzyć ruch intelektualny, naukowy, naukowo-techniczny, propagować nowy humanizm, który nie może być obojętny na współczesne zagrożenia cywilizacyjne, ekologiczne, moralne.

W kontekście tych uwag uczestnicy z zainteresowaniem przyjęli informację o ZK-P, którego praca nad pomnożeniem wartości intelektualnych wysuwa się na plan pierwszy. Mówiono o dorobku Zrzeszenia w dyskusji i kulturalnych rozmowach w Chojnicach, Tucholi i Bydgoszczy, zaś członek NRK, prezes oddziału słupskiego Zbigniew Talewski złożył prof. B. Suchodolskiemu podziękowanie za wielokrotnie wyrażaną publicznie troskę o los języka kaszubskiego i nieskrępowany rozwój kultury Kaszub.

W Chojnicach goście z różnych regionów kraju obejrżeli wystawę malarstwa Teodory Gulgowskiej, zwiedzili Muzeum Historyczno-Etnograficzne wraz z galerią współczesnej sztuki polskiej i wy-

sluchali koncertu kapeli „Bazuny” z Czerska, w Tucholi krótki, lecz bardzo ładny występ dał dziecięcy zespół „Młodzi Borowiacy” oraz zaprezentowano wystawę prac malujących nauczycieli.

Drugiego dnia odbyły się w Bydgoszczy plenarne obrady Zespołu Regionalnych Towarzystw Kultury, w znacznej części poświęcone federacyjnemu modelowi ruchu kulturalnego na przykładzie K-PTK. Nie zabrakło jednak ogólniejszych uwag i refleksji o uwarunkowaniach działalności i sytuacji regionalnych towarzystw. (ko)

### I PRZEGLĄD KAPEL LUDOWYCH IM. ANTONIEGO SUTOWSKIEGO

Zmarły tragicznie w 1987 r. Antoni Sutowski był przez 30 lat związany z amatorskim ruchem artystycznym naszego regionu. Ten animator kultury, kompozytor wyróżniał przede wszystkim folklor. W ponad 200 Jego kompozycjach dla amatorskich zespołów artystycznych są między innymi piosenki oddające doskonale klimat folkloru kaszubskiego, jak np. „Kulczy u mojej Julczy”, skomponowane dla zespołu „Kaszuby” z Kartuz, śpiewane dziś przez wiele zespołów. Kompozycje A. Sutowskiego ukazały się w kilku wydawnictwach, m.in. „Od morza jestem”, „Bursztynowy dzban”, „Daleczność”. Jest też autorem muzyki do kilkunastu widowisk folklorystycznych, plenerowych i scenicznych, jak np. coraz bardziej się upowszechniające: „Truskawkobranie”, „Skarszewskie Sobótki”, „Jarmark Wdzydzki” czy „Wyżwoliń Kosiarza”.

Głęboka wiedza, doskonale wyczuć wartości muzycznych, szacunek dla folkloru sprawiły, że A. Sutowski cieszył się ogromnym autorytetem. Wiele z tych wartości przekazał kaszubskim zespołom folklorystycznym. Teraz swoim autorytetem obdarzył Przegląd Kapel Ludowych, który GOK w Żukowie — organizator przeglądu — nazwał Jego imieniem.

\*

I Przegląd Kapel Ludowych im. Antoniego Sutowskiego odbył się 11 października 1987 r. I miejscem nagrodzonego zespołu „Modraki” z Kartuz — jak to określiło jury — kulturę

wykonania oraz najbardziej oryginalny — kaszubski skład. Wyróżniono: kapelę i zespół „Koleczkowanie” za najlepsze wykonanie utworu A. Sutowskiego „Kulczy u mojej Julczy” oraz młodego instrumentalistę z kapeli „Tuchlińskie Skrzaty” — Witolda Boška.

W jury konkursu zasiadali znakomici znawcy muzyki i folkloru kaszubskiego: Paweł Szefka, Marian Zacharewicz (przewodniczący), Kazimierz Guzowski i Marian Rosiński.

Była to impreza doskonale przygotowana, ciesząca się ogromnym powodzeniem (dla wielu chętnych zabrakło miejsca w sali GOK), ale zlekceważona przez 12 kapel z 17 zaproszonych na przegląd dwa miesiące wcześniej. Piśsze o tym godnym ubolewania fakcie z nadzieją, że na II Przegląd zjadą wszystkie zaproszone kapale.

W czasie imprezy czynne było stoisko wydawnictw ZK-P i WOK, można też było kupić opracowanie Pawła Szefki „Narzędzia i instrumenty muzyczne z Kaszub” z dedykacją autora.

Kazimierz Bańczyk

### ZARZĄD GŁÓWNY OBRADOWAŁ W WEJHEROWIE

Członkowie Zarządu Głównego na swe kolejne zebranie plenarne (24 października) przybyli do Wejherowa. Poprzednie plenum ZG — przypomnijmy — odbyło się również poza Gdańskiem, w Bytowie. Stan badań socjologicznych nad społecznością kaszubską był zasadniczym tematem pierwszych części wejherowskiego plenum. Badania prowadzi zespół z komisji socjologicznej Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Członkowie zespołu Henryk Galus, Marek Latoszek, Janusz Iskierski i Brunon Synak mówili o dotychczasowym przebiegu i metodach badań oraz podzieliли się wstępnymi informacjami m.in. o stanie ilościowym rdzennych mieszkańców Kaszub, ich świadomości etnicznej i funkcjonowaniu mowy kaszubskiej. Już dziś na podstawie tych informacji można powiedzieć, że duży odsetek ankietowanych deklaruje swą przynależność do społeczności kaszubskiej (np. w Puckiem zdecydowanie 54 proc.), lecz znacznie mniej identyfikuje się z dziedzictwem kulturowym tej ziemi. Nikła jest też znajomość działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, piśmiennictwa i innych przejawów kultury kaszubskiej. Socjologowie podkreślali, że ankietowani, szczególnie ze starszego pokolenia, z nieufnością podchodzą do prowadzonych badań. Wlekkę otwartość wobec ankietatorów wykazują dzieci i młodzież. Ostateczne wyniki badań zostaną przedstawione w specjalnym raporcie sygnowanym przez Polską Akademię Nauk, w czasopiśmie naukowym i nieraz trafiają z pewnością na łamy „Pomeranii”. Materiał ten pozwoli Zrzeszeniu, które pilnie śledzi poczynania socjologów, na określenie nowych kierunków działań na rzecz wszechstronnego rozwoju społeczno-kulturalnego Kaszub i Pomorza.

W drugiej części plenum, organizacyjnej, członkowie ZG na wniosek Wojciecha Kiedrowskiego, redaktora naczelnego „Pomeranii”, powierzyli jednogłośnie Edmundowi Szczesiakowi funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Jednocześnie red. Szczesiak — w związku z rocznym urlopem red. Kiedrowskiego — przejął na ten czas obowiązki szefa naszej redakcji. Zarząd Główny ustanowił również nagrodę publicystyczną im. Bernarda Chrzanowskiego, upoważniając do przyznawania jej (co trzy lata) redakcję „Komunikatów Prezydium ZG”. Fundusz nagrody stanowi darowizna wnuczki B. Chrzanowskiego, Anny Dąbkiewiczowej. Plenum zapoznało się także z informacją skarbnika Jerzego Kiedrowskiego o sytuacji finansowej Zarządu Głównego. Mimo wzmrożonej w ostatnim czasie działalności gospodarczej i oszczędności środków finansowych, stan funduszy Zrzeszenia napawa niepokojem. Największe wydatki wiązały się z utrzymaniem „Pomeranii” i budową Domu Kaszubskiego. Aktywna działalność naszej organizacji również w wielu innych sferach wymaga dużych nakładów finansowych. Mimo wielu zabiegów wciąż nie otrzymujemy dotacji z Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury, podczas

## III DNI KULTURY KASZUBSKO-POMORSKIEJ

### ... W CHOJNICACH

W Chojnicach III Dni Kultury Pomorskiej odbyły się od 22 do 25 października. Głównym pierwszym dnia był dr Jerzy Samp, który spotkał się z członkami koła regionalnego w LO im. Filomatów Chojnickich, mówiąc o potrzebie poznawania i rozwoju rodzimej kultury. Wieczorem tego dnia odbyła się wieczornica poświęcona Aleksandrowi Majkowskiemu; Jerzy Samp wygłosił odczyt o twórcy Towarzystwa Młodokaszubów, a młodzież z Bursy Szkolnictwa Zawodowego recytowała fragmenty poezji i prozy autora „Remusa”. Dużą frekwencją cieszyło się także spotkanie z Franciszkiem Pabichem, badaczem dzieł papiernictwa w Polsce i miłośnikiem historii Chojnic; dla słuchaczy była to jednocześnie okazja uzyskania autografu na nowej książce F. Pabicha pt. „Mały leksykon chojnicki”, wydanej nakładem Muzeum Historyczno-Etnograficznego w Chojnicach.

W sobotę 24 października Koło Hafiarskie im. Albina Makowskiego, działające przy Spółdzielni Mieszkaniowej, urządziło w spółdzielczej świetlicy piękną wystawę swych prac, a nado członkinie udzielały porad praktycznych haftującym paniom. Deszcz zakłócił natomiast wycieczkę szlakiem chojnickich zabytków z przewodnikiem PTTK.

W ostatnim dniu w klubie Oddziału Miejskiego Stowarzyszenia PAX została otwarta pokonkursowa wystawa rzeźby amatorskiej i ludowej o tematyce sakralnej. Konkurs zorganizowany był po raz pierwszy, toteż pion okazał się dość skromny, aczkolwiek ciekawy. I nagrodę otrzymał Józef Chelmowski z Brus, II nie przyznano, a nagrody III uzyskali Ryszard Krzosa, Stefan Myszyński i Henryk Żychski — wszyscy z Chojnic, ponadto wyróżniony został 15-letni Sławomir Zaranek z Czerska. Cykl imprez zakończył niedzielny koncert Słupskiego Zespołu Madrygalistów „Magistri cantantes”, w ładnej auli SP nr 5 rozbrzmiewały pieśni świeckie i religijne polskich i obcych kompozytorów — od średniowiecza do baroku. Wykonawców nagrodzono gorącym aplauzem.

Imprezom towarzyszyły wystawy. W witrynie przy ul. Kościuszki oddział ZK-P zaprezentował twórczość Aleksandra Majkowskiego; w kawiarni „Kaszubskiej” czynna była wystawa malarstwa Teodory Gulgowskiej (urządzona staraniem muzeum w Chojnicach i KPE we Wdzydzach Kiszewskich); w czeltni muzeum można było zwiedzić wystawę malarstwa i rysunku Zofii i Ryszarda Nałęcz-Jaweckich, a w Bramie Człuchowskiej osobną wystawę malarstwa Zofii Nałęcz-Jaweckich. Dni Kultury Pomorskiej zwróciły uwagę wielu mieszkańców Chojnic (informowały o nich afisze w mieście), przyciągnęły znaczną liczbę słuchaczy i widzów. Zostały też zauważone przez TV, która podała krótką informację w przedpołudniowym dzienniku 25 października. (ko)

### ... W GDYNI

W dniu 27 października w sali Filii nr I Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdyni-Oblużu spotkali się członkowie i sympatycy Oddziału Gdyniejskiego ZK-P



gdy wiadomo, że inne organizacje i stowarzyszenia, wykazujące niejednokrotnie małą aktywność, pobierają z tego funduszu milionowe sumy. Skarbnik ZG zwrócił się z apelem do oddziałów o zdobywanie potrzebnych środków, zarówno poprzez własne inicjatywy gospodarcze, jak i poszerzenie kręgu przyjaciół i współpracowników, gotowych wesprzeć Zrzeszenie. To ważne i pilne zadanie powinna podjąć cała społeczność zrzeszona.

Zebrań przewodniczyli Brunon Synak i Andrzej Arendt. (s.j.)

## W INTENCJI OFIAR PIASNYCY

Dnia 25 października w kościele Chrystusa Króla w Gdyni-Małym Kacku odprawiona została msza kaszubska w intencji ofiar Piasnicy. Okolicznościową homilię wygłosił po kaszubsku ks. Edmund Skierka. Również po kaszubsku odczytano ewangelię (ks. E. Skierka), lekcję (kol. Henryk Hewelt) i modlitwy wiernych (opracował i przeczytał Roman Klebba) za wszystkie ofiary ostatniej wojny (między Uralem i Atlantykami). W czasie mszy H. Hewelt recytował wiersze: Jana Zbrzyccy „Rzmę Płosznicę” oraz swój własny „Nie płacz”. Wiernym towarzyszył chór męski „Dzwon Kaszubski” z Gdyni. (A.K.)

## ZALEŻY KTO INFORMUJE

26 października na pierwszej stronie „Głosu Wybrzeża” ukazała się notatka głosząca, że dzień wcześniej odbyła się w Piasnicy manifestacja poświęcona pamięci pomordowanych, w której udział wzięli rodziny ofiar, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, kombatanaci, mieszkańcy ziemi kaszubskiej i delegacje całego Wybrzeża gdańskiego. O przebiegu manifestacji mówili jedynie słowa, że „przed pomnikiem Ofiar Faszyzmu i na miejscu kaźni złożono wieniec i kwiaty”. Podobnie informował tego samego dnia „Dziennik Bałtycki” dodając, że „podczas uroczystości odprawiona została msza koncelebrowana pod przewodnictwem ks. biskupa ordynariusza Diecezji Chełmińskiej, Mariana Przykuckiego”. Ci natomiast, którzy byli 25 października w Piasnicy, mówią, że uczestniczyli we mszy św. odprawionej w intencji pomordowanych, która odbywała się co roku o tej porze, a towarzyszą jej zaduma nad Miejscem, program słowno-muzyczny i składanie kwiatów. O tym jednak nie można dowiedzieć się z gdańskich dzienników. (s.j.)

## W TORUŃSKIM KLUBIE HISTORYCZNYM

Dnia 27 października odbyło się kolejne zebranie Klubu Historycznego. Tym razem gościem klubu był Henryk Szymanowicz, „Marek”, zastępca dowódcy zgrupowania partyzanckiego Pomorskiego Okręgu AK „Świerki”, znany czytelnikom „Pomeranii” (nr 3-5/1987) jako autor wspomnień o wojennych i powojennych losach kpt. Alojzego Bruskiego, „Graba”. W swym wystąpieniu poddał krytycznej analizie spotykane w niektórych publikacjach sposoby przedstawiania działalności i dorobku Armii Krajowej na Pomorzu. Ze szczególną surowością osądził opublikowane w książce Bronisława Kapłana „Z tysiąca i jednej walki” (Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, 1981) wspomnienia Jana Szalewskiego. Nad wspomnieniami tymi unosi się bowiem jakby ciągle żywy duch lat stalinowskich. Oceniając działalność radzieckich grup desantowych zrzuconych w drugiej połowie 1944 roku na teren Pomorza H. Szymanowicz stwierdził, że żadna z nich nie zrealizowałaby nawet minimalnej części powierzonych sobie misji, bez pomocy polskich oddziałów partyzanckich, a w szczególności oddziałów AK. Za grubo przesadzone uznał opinie lansowane przez niektórych dowódców tych grup, jakoby dopiero fakt ich pojawienia się w Borach Tucholskich zmobilizował pomorskich partyzantów do podjęcia poważniejszych działań przeciwko Niemcom. Następnie barwnie przedstawił koleje swego okupacyjnego życia.

na wieczorze kaszubskim, który rozpoczął się występem duetu Ani i Eli z zespołu p. Renaty Gleinert. Następnie wiceprezes Oddziału Gdynińskiego Aleksander Klemp przypomniał z okazji zbliżającego się 50-lecia śmierci A. Majkowskiego życie i działalność twórcy ruchu młodokaszubskiego. Mówił nie tylko o twórczości literackiej A. Majkowskiego, założeniach ideowych ruchu, lecz również o związkach poety z Gdynią; upomniał się o nazwanie jego imieniem jednej z gdynskich ulic.

Po prelekcji zebrani obejrżeli okolicznościową wystawę prac i pamiątek po A. Majkowskim przygotowaną wspólnie przez Oddział Zrzeszenia i bibliotekarzy Filii nr I. Na wystawie zgromadzono unikatowe egzemplarze pierwszych prac poety oraz zdjęcia i inne pamiątki osobiste ze zbiorów specjalnych Biblioteki Gdańskiej PAN.

Następnie swój bogaty dorobek zaprezentowały koleżanki z klubu hafciarskiego „Rozeta” działającego przy gdynińskim oddziale ZK-P. Hafciarki pokazały ponad 30 obrusów, serwet, chust i innych wyrobów. Klub hafciarski (około 10 pań) działa przy naszym oddziale już od roku. Publicznie zaprezentował się po raz pierwszy na ubiegłorocznej gdynińskiej „Cepeliadzie”.

Gawędziarz, rzeźbiarz i poeta kaszubski Henryk Hewelt z Gdyni dowcipnie (po kaszubsku) opowiadał zebranym o swolch artystycznych pasjach. Uczestnicy spotkania mogli też obejrzeć małą wystawę jego rzeźb.

Na zakończenie wieczoru prezes oddziału Aleksander Trzebiatowski mówił o ostatnich osiągnięciach gdynińskich zrzeszeńców, a dziewczęta z zespołu R. Gleinert zaśpiewały jeszcze kilka kaszubskich piosenek. (A.K.)

## ... W JASIENIU

Oddział Jasieński uczestniczył przede wszystkim w imprezach organizowanych przez inne oddziały Zrzeszenia, u siebie – zorganizował wieczór kaszubski w dniu 17 października. W sali pana Stanisława Jereczka przygotowano pod kierunkiem Teresy i Mieczysława Czapiewskich wystawę obrazów olejnych, szkiców, ilustracji książkowych, akwarel, grafiki i rysunków satyrycznych Stefana Fikusa. Natomiast panie Teresa Reclaf z Rokitek, Elżbieta Szewczak i Kazimiera Greszota z Jasienia pokazały swoje hafty. Obie wystawy uzupełniały książki i teczki haftów kaszubskich, które można było kupić na miejscu.

Na temat swojej pracy pisarskiej mówił Stefan Fikus. Jego powieść „Pojmań-czycie” wzbudziła duże zainteresowanie. W żywej dyskusji uczestnicy wieczoru namawiali S. Fikusa na napisanie jakby drugiego tomu powieści, w którym uwzględniłby realia Ziemi Bytowskiej. W części kameralnej wieczoru śpiewał nasz chór, gawędził, jak zawsze z ogromnym powodzeniem, Roman Skwiercz, a przygrywała orkiestra ze Skwieraw.

Dnia 22.09 oddział zorganizował wycieczkę autokarową dla swolch członków i ich rodzin do Bydgoszczy na wspaniałą imprezę – Dzień Kaszubski w klubie „Kosmos” na bydgoskich Błoniach. W oprawie artystycznej imprezy wziął udział również nasz chór. 4.10 chór śpiewał w czasie mszy św. poświęconej J. Trepczykowi z okazji 80-lecia jego urodzin. Parę dni później wystąpił obok „Małych Kaszubów” ze SP nr 2 w Bytowie na plenarnym posiedzeniu WK SD w Bytowie, poświęconemu rozwojowi kultury regionalnej. 15.10 śpiewał u siebie w Jasieniu. Na zaproszenie WDK w Słupsku wystąpił wraz z Regionalnym Zespołem Pieśni i Tańca z Jasienia, teatrem „Stopek” z Czarnej Dąbrówki oraz kapelą z Piekłowa w nowo rozbudowanym Domu Kultury z okazji wojewódzkiej inauguracji roku kulturalno-oświatowego. (Da-Win)

## ... W RUMI

Otwarcie wystawy obrazów o tematyce kaszubskiej Andrzeja Zwary zapoczątkowaliśmy 21 października III Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej. Szczególnie pięknie prezentowany był na wystawie temat morski: „Klif w Osłoninie”, „Piełgrzymka Kuźnica–Puck na łodziach”, „Morze”, „Na sztrądze”. Morze jest bodaj największą fascynacją artysty, poświęca mu wiele prac. Ale bliski też jest artyście pejzaż wiejski. Zaświadczały to choćby obrazy: „Uroczysko”, „Droga”, „Piotrowa zagroda”. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Dnia 27 października otworzyliśmy następną wystawę – wydawnictw ZK-P oraz haftów kaszubskich. Swoje prace prezentowały panie Anna Kromska i Krystyna Wolf. Dużą różnorodność prac: serwetki, poduszki, makatki, świetne wykonanie przydągały zwiedzających, dostarczając sporo przeżyć estetycznych. Kol. Kromska, dyżurując przy wystawach przez cały tydzień, dzieliła się uwagami na temat haftu, udzielała rad, a zwiedzający wpisywali do księgi pamiątkowej swoje wrażenia. Szczerym zainteresowaniem cieszyła się też wystawa wydawnictw ZK-P, choć ze względu na niewielkie pomieszczenie nie było możliwości pełnego wyeksponowania książek z odpowiednim podziałem i informacją.

Dnia 29 października zorganizowaliśmy w MDK wieczorek taneczno-towarzyski. Podczas wieczorku kilka gadek zaprezentował stały gość naszych imprez Franciszek Okuń. Licytowaliśmy obraz podarowany przez dręcha Leona Bieszkę, pieniądze ze sprzedaży zwiększyły dochód z wieczorku. Była też okazja do zwiedzania wystaw.

Dnia 30 października gościliśmy zespół teatralny ze Strzelna ze sztuką Pawła Szeffi „Wrórejze Jidą” w reżyserii Gerarda Renusza, który poprzedził spektakl słowem wstępnym. Sztuka nawiązuje do zwyczajów drugiego dnia świąt wielkanocnych, kiedy to wrórejze udawali się do upatrzonych dziewcząt oraz ich matek, prosząc o rękę. Świetna kaszëbizna, dobra gra aktorska, żywe tempo sprawiły, że przedstawienie zostało przychylnie przyjęte przez prawie pełną widownię. W podziękowaniu za gorące brawa zespół wykonał dodatkowo kilka tańców kaszubskich, co wzbudziło entuzjazm na widowni. Po występie posłaliśmy zwiedzić wystawę. Chętni kupowali książki u naszego kolportera Feliksa Bronka, który dyżurował również na wieczorku.

Wszystkie imprezy odbywały się przy współpracy MDK w Rumi oraz wydanej pomocy dyr. Bazylego Przybylskiego. Podziękowanie należy się również Annie Kromskiej, pełniącej dyżur przy wystawach oraz koleżance Elżbiecie Liśkiewicz, wykonawczyni plakatów reklamujących Dni, która na przedstawienie teatralne przybyła wraz z grupą swoich uczniów.

Przez cały okres trwania III Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej, od 21–31 października, MDK, w którym mamy swoją siedzibę, przybrał kaszubski wystrój. (Lub.)

## ... W SZEMUDZIE

Pierwszą imprezą Dni Kultury Lesockiej było spotkanie władz reprezentujących Gminą Radę Narodową, Urząd Gminy, Oddział ZK-P, Bank Spółdzielczy i władze oświatowe z seniorami w dniu 7 listopada. Spotkanie w szkole w Szemudzie prowadził przewodniczący GRN, prezes koła gminnego ZBoWiD i członek zarządu szemudzkiego Zrzeszenia w jednej osobie – Franciszek Liedtke z Kamienia. Umiał je Regionalny Zespół „Koleczkowanie”, szkolny zespół wokaino-recytatorski miejscowej szkoły i gawędziarz lesocki Alfred Hewelt. O ciałach, realizowanych zadaniach i planach szemudzkich zrzeszeńców mówił prezes oddziału Bolesław Bork. Poczęstunek seniorom i gościom zaufundował Bank Spółdzielczy w Szemudzie. Spotkaniu reprezentantów wszystkich pokoleń gminy Szemud towarzyszyła rodzinna atmosfera: były wspomnienia, śpiewy, toasty.

Drugą imprezą, VIII Sejmik Uczniowski odbył się 14 listopada w Szkole Podstawowej w Lebińskiej Hucie. Zjechała tu młodzież z wszystkich szkół gminy



ze swoimi wychowawcami i dyrektorami szkół oraz członkowie oddziału Zrzeszenia. Gośćmi Sejmiku byli: pierwszy sekretarz KG PZPR Jan Szulendzki, przedstawiciele KG ZSL, przewodniczący GRN Franciszek Liedtke, naczelnik gminy Mirosław Plutowski, sekretarz UG Jan Dempe, Inspektor Oświaty i Wychowania Andrzej Olejnik i jego zastępczyni Lidia Chranzowska-Orlikowska.

Gospodarzem Sejmiku była szkoła w Lebieńskiej Hucie z jej dyrektorem Leszkiem Grzenia. Miejscowy chór szkolny rozpoczął imprezę wiankami pieśni kaszubskich. Motto Sejmiku: „Zemia rodno” podkreślało umieszczone na frontowej ścianie holu szkolnego hasło: „Kaszëbów nie wolno sę sromić! Miejtą w swojij głowie, że swiętą sprawą je chronić to, co dale nama nasi ojcowie”. Regionalny charakter imprezy podkreślało stoisko wydawnictw kaszubskich, wystawy haftu ludowego i plansza nut kaszubskich.

Przebiegnie pięcioosobowe zespoły uczniowskie z poszczególnych szkół prezentowały tradycje i dorobek pokoleń swych rodzinnych wsi, zasługi rodzinnych działaczy ludowych, znaczenie mowy kaszubskiej, piękno swych stron, ale też bezmyślność w obcowaniu z przyrodą szczególnie w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym i inne grzechy współczesności, jak pijaństwo.

Wypowiedzi uczniów uzupełniały pieśń kaszubską i twórczość poetów urodzonych na tej ziemi lub z Lesokami związanych, jak Leon Heyke z Cierani, Aleksander Labuda i Jan Trepczyk z Mirachowa, Leon Roppel z Wejherowa, Alojzy Nagel z Kielna, Józef Ceynowa z Polczyna, Stefan Bleszk z Koleczkowa, Paweł Szeffa ze Strzebielina i tych mniej znanych, jak Leszek Grzenia, Belgrau, Franciszek Hopa, Franciszek Treder, Bolesław Bork, Rycytowano też fragmenty książki B. Borka „Scieżki, bezdroża i drogi” oraz legendy i gadki kaszubskie ukazujące się niekiedy w „Pomeranii”. Podkreślić należy, że zespoły uczniowskie pokazały tylko fragmenty przygotowanych repertuarów. W całości będą one pokazane w środowiskach szkolnych na spotkaniach z rodzicami i mieszkańcami poszczególnych wsi.

Po występach dzieci wiceprezes szemudzkiego Zrzeszenia Stanisław Sikora przedstawił sylwetkę, dokonania i wartość dla współczesnych dorobku Aleksandra Majkowskiego — patrona III Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej.

Po obiedzie i tradycyjnych kuchach przygotowanych przez rodzinę nauczycielską Grzeniów, zaufdowanych również przez Bank Spółdzielczy w Szemudzie, odbyło się doroczne ogólne zebranie członków oddziału Zrzeszenia, na którym zarząd i komisja rewizyjna złożyły sprawozdania z rocznej działalności szemudzkiego partu. Krytycznie ale rzeczowo oceniono pracę zrzeźniowej instancji. W dyskusji wypłynęła też wśród innych problemów uwaga pod adresem redakcji „Pomeranii”. Zdaniem dyskutantów w miesięczniku jest za mało monografi, legend, baśni, opowiadań — słowem materiałów przydatnych szkółom do nauczania regionalnego i na zajęciach w kółkach regionalnych, a także chętnie czytanych przez społeczność wiejską. Za mało jest też regionalnych wydawnictw tego typu.

Wspólną cechą tej udanej imprezy była swojskość, swoboda wypowiedziania się, gorące przywiązanie do „małej ojczyzny”. Swoją wymowę mają złożone po niej przez 6 osób deklaracje przystąpienia do Zrzeszenia. Zgłoszone przez młodzież podczas wystąpienia wnioski i postulaty włączono do programu działania oddziału w przyszłym roku.

Dalsze imprezy odbywać się będą aż do Godów, m.in. imprezę dla młodzieży gminy przygotowuje GOK. (B.Kor)

W dyskusji zwrócono uwagę na te elementy okupacyjnego życia na Pomorzu, które w sposób istotny wpływały na charakter i zakres działalności konspiracyjnej w tym regionie Polski (Ferdinand Ziętek); na trudności, z jakimi borykają się historycy profesjonalni zajmujący się historią AK na Pomorzu (Stanisław Krasucki); na brak krajowego centrum koordynującego badania nad Armią Krajową (Komisja Historyczna AK przy Zarządzie Głównym ZBoWiD — zdaniem S. Krasuckiego — nie może pretendować do miast takiego centrum); a także na to, że Instytut Zachodni w Poznaniu dopiero w 40 lat po zakończeniu wojny zabrał się do prac badawczych nad ruchem oporu na Pomorzu i w Wielkopolsce (Andrzej Niesobski).

Jan Wyrowiński

## RACIAŻ ODMŁODZONY

W przewodnikach turystycznych, katalogach i innych wydawnictwach czytamy o Raciążu: „jedna z najstarszych osad, wzmiankowana 1178 w dokumencie (...) Samбора I, dotyczącym dzieł świątyni dla klasztoru oliwskiego” („Tuchola i okolice — katalog zabytków”, s. 19), „gród Redzik czyli Raciąż wymieniony w 1188 r.” (F. Mamuszka, „Panorama turystyczna”, s. 239), „W 1188 osadził książę Sambor I konwent cystersów” (tamże, s. 166).

Z tego wynika, że dziesięć lat wcześniej niż osadzone w Oliwie zakon cystersów... Może więc wychylić się drugiej daty i w roku 1988 obchodzić 800-lecie Raciąża?

Nie z tego — jubileusz nie będzie. Prowadzone od 1969 r. przez Pomorską Ekspedycję Archeologiczną Uniwersytetu Łódzkiego kompleksowe badania archeologiczne oraz analiza źródeł pisanych — składają się na treść książki: „Raciąż — średniowieczny gród i kasztelan”. Jest to praca doktorska Małgorzaty Kowalczyk napisana w Katedrze Archeologii UL pod kierunkiem doc. dr. Jerzego Kmiecńskiego. W rozdziale IV autorka udowadnia: „akt fundacyjny księcia pomorskiego Samбора I dla klasztoru oliwskiego spisany w Gdańsku 18 marca 1178 r. (...) należy identyfikować z nie istniejącą osadą Redzik leżącą w najbliższym otoczeniu dóbr cystersów oliwskich (...) pod wsią Domatowo (okolice Pucka) nad nie istniejącym już dziś Jeziołem Redzikim, przez które przepływa Reda”.

Omawiany w książce gród i kasztelan Raciąż znajdowały się na wyspie jeziora Spierewnik w pobliżu Tucholi. Najstarszym wiarygodnym źródłem o grodzie jest przekaz z 1256 r. o zdobyciu i spaleniu grodu przez Przemysła I Wielkopolskiego i Kazimierza I Kujawskiego w odwet za podbój Nakiła przez syna Świętopełka II — Mściwoja („Kronika Wielkopolska”). W ten sposób Raciąż został odmlodzony o 78 lat.

Na marginesie warto zaznaczyć, że w herbie Tucholi (a na terenie tej gminy leży Raciąż) znajduje się św. Małgorzata, która według legendy obroniła obłożony gród. Tym razem inna Małgorzata obroniła ... kasę miejsko-gminną od kosztów jubileuszu Raciąża.

Franciszek Wegner

## KASZUBI BYTOWSCY W TV

Szczecińska TV 13.10 zaprezentowała w Kronice Pomorza Zachodniego II program młodych z działalności Oddziału Bytowskiego ZK-P. Pokazano dziecięcy zespół pieśni i tańca „Małe Kaszuby” ze Szkoły Podstawowej Nr 2 w Bytowie, a także moment złożenia kwiatów pod tablicą upamiętniającą nauczycieli Szkoły Polskiej w Płotowie przez delegację uczniów ze Szkoły Podstawowej Nr 2 oraz ZK-P w Bytowie. Prezes Stanisław Marmołowski mówił o celach, osiągnięciach i planach bytowskiego Zrzeszenia.

Pokazano również efekty czynu społecznego bytowskich rzemieślników. Z inicjatywy członka bytowskiego Zrzeszenia Henryka Gańskiego postanowili odnowić elewację budynków przy ul. Sikorskiego. Kolega Gański sam odnowił elewację trzech budynków.

Piotr Rudnik

## DARY

Z wdzięcznością odnotowujemy kolejnych ofiarodawców: Grzegorz Potarzyński z Torunia — 2640 zł; Gerarda Hinza z Gdańska — 1000 zł; Jana Karaowskiego z Brus — 1000 zł; Franciszka Zaremskiego ze Skarszew — 1540 zł; Wandę Muchę z Poznania — 400 zł; Leona Wickiego z Łapina — 3000 zł; Oddział Gdyński Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego — 5000 zł; Władysława Brzezińskiego z Brzeźna Szlacheckiego — 1000 zł; Klub hafciarski „Rozeta” z Gdyni — 1000 zł; Aleksandra Trzebiatowskiego z Gdyni — 1000 zł; Edmunda Kuklińskiego z Gdyni — 500 zł; Zygmunta Milczewskiego z Wejherowa — 2040 zł; Stanisława Wargina z Sopotu — 1000 zł; X. Józefa Zelewskiego z RFN — 160 zł; X. Bronisława Szymichowskiego z Pomieczyzna — 540 zł; Danutę Gliszczyską z Sominek — 240 zł; Marię Lebińską z Kartuz — 1040 zł; Jadwigę Kuchtę z Wejherowa — 240 zł; Stanisława Wierzbę z Bydgoszczy — 540 zł; Henrykę Mułkowską z Kościerzyny — 540 zł; Annę Kujaczyską z Bydgoszczy — 300 zł; Kazimierza Grzędzickiego z Gdańska — 340 zł; Danutę i Jerzego Trawickich z Zukowa — 500 zł; X. Bernarda Mielcarzewicza z Turowa Pomorskiego — 1000 zł; Irenę Nowak z Anglii — 4500 zł; Halinę Szumocką z Sarnów — 540 zł; Tadeusza Sadkowskiego z Kościerzyny — 120 zł; Renatę Cieniewicz z Gdańska — 1160 zł; O. Jacka Kuppera z Katowic — 1040 zł; Piotra Brzezińskiego z Sopotu — 540 zł; Franciszka Kosznika z Helu — 540 zł; Władysława Wickiego z Prokowa — 4000 zł; Mieczysława Skibę z Miastka — 540 zł; Bronisława Szulfera z Gdyni — 1040 zł; Romana Wróblewskiego z Warszawy — 1120 zł.

Olgierd Sochacki z Gdańska, Małgorzata Czerniakowska z Gdańska, Aleksander Majewski z Gdyni, Ewa Czerniakowska z Gdańska, Maria Pająkowska ze Świecia, Tadeusz Gleinert z Gdańska, Jan Wyrowiński z Torunia i Danuta Winiecka z Jasienia ofiarowali nam swoje honoraria autorskie na łączną sumę 17 000 zł.

Wszystkim ofiarodawcom gorąco dziękujemy.

Dary można wpłacać na nasze konto PKO I O/M Gdańsk, nr 19510-5890-132 oraz na konto dewizowe ZG ZK-P w Banku Polska Kasa Opieki S.A. O/Gdańsk, Pl. Konstytucji 3 Maja 1, 81-704 Sopot, nr 519166-151-5-787-463283.



# PTÔCH ZA USZAMA

## Trojako krew pijoka

Pijok mō w sobie trojaką krew. Pierwszō to je lēsō krew, drēgō to je wilczō, a trzeczō swinskō. Lēsō krew odzēwō sę w pijoku po pierwszych czieliszkach, cziej on łazy i kożdēgo po remieniu klepie i kuszō. Po czilenōsce czieliszkach odzēwō sę w pijoku wilczō krew. Tej on stōlczī lōmie, budle szmērgō, bije sę z kożdīm i z kożdīm zawōrō. W kuńcu odezwie sę w nim swinskō krew. Tej on leżī pod stolēm jak wieprz i ani rękā, ani nogā nie rēszi.

## Jesz nie sygło

Cziej rōz ksądz Rogalszī przējachōl do Szopē na kolędę, tak on widzōl przed chēcā skopicā statkōw od piwa. Jak on je porechowōl, to jich bēlo jedentrzēdzescē. Tak ksądz rzekl:

— Wa, strēsze, tēliscē piwa wēpilē?

A chlōpi rzekl:

— Jegomosc, ko tu le niedōwno wieselē bēlo.

— A tak duzo wisce wēpilē?

— Jegomosc mōwi duzo, a to jesz nie sygło. Mē jesz do karczmē szlē.

## Porechujta so

Szedl wieczōr chlōp z miasta, gđe sprzedōl celę. Dostōl on za nie sētmē talarōw. Jednēgo talara on przepił i upiti szedl dodōm. Cziej on szedl wedle błotka, tej zabē zacheł rzechotac:

— Szterē, szterē, szterē, szterē.

A on jima rzekl:

— Wa, głupē zabē, szesc talarōw w mieszku mōm, a nie szterē!

Ale ne głupē zabē nie dalē sę przekonac, le dali wrzeszczatē:

— Szterē, szterē.

Tak on sę rozgorzil i wrzucil jima cali miēszk w błoto i rzekl:

— Porechujta so terē, głupē zabē, że talarōw je szesc, a nie szterē.

Bialka doma za to tēz porechowała, ale jęgo zebra.

## Chłop pilowōl mlēka

Bialka postawiła mlēko na odzin, wēsziā na podwōrk i rzeklā do swōjēgo chlōpa:

— Nēze, tatku, biōj opasuj, zebē to mlēko z grōnka nie uceklo.

Tak chlōp wzāj batug, ustapił w dwiērzach i pasowōl. A jak mlēko wēczipiā a po zemi ucēka, tej on w nie batugē prōl i zascygowōl, zebē ono przez prōg buten nie wēszo. Wtim przēsziā bialka, a jak widza co sę djeze, rzeklā:

— Co tē robisz, chlōpie!?

A na to chlōp:

— Ko tē mie kōza zascēgnac to mlēko, jak ono bē chca ucekac.

## Recepta

Do chori stōri Maszotczy na daleczich pustkach przējachōl doktōr. Doktōr chcōl zapisac krople, ale w całēch chēcach nie bēlo ani tińtu, ani blifka, le bēla krēda, chtērnā Maszota zapisowōl wēdatczy na dwiērzach. Tak doktōr wzāj krēdę i napisōl receptę na nēch dwiērzach. Maszota bēl machtny i wzāj zadwignāl dwiērze na pucziel i ja-

chōl do miasta. Wlōżō z dwiērzamē do aptēczi, a aptēkōrz wolō:

— Tu je aptēka, tu je aptēka, a niē stolarniō!

A Maszota leno pakuje sę do aptēczi i powiōdō:

— To je recepta! Jō chcę do aptēczi!

I dostōl lēczi.

## Kątem oka

### PRZYCIĄGANIE

W jednym z gdyńskich mieszkań pokazano mi dowód na zwiększone przyciąganie w strefie podbiegunowej. Była to fotografia formatu pocztówkowego, kolorowa. Przedstawiła dwóch mężczyzn w strojach zimowych na tle wypiętrzonego i zmrożonego krajobrazu.

Pan Ł., który mi to zdjęcie podsunął, nie wiedział, gdzie zostało wykonane: czy bliżej bieguna północnego czy południowego, w Arktyce czy na Antarktydzie. Otrzymał je od swego dawnego kolegi, który wręczając mu je spytał, czy wierzy w cuda? Pan Ł. spojrzał i oniemiał: zobaczył cud na własne oczy.

Ci dwaj, objaśnił pan Ł. stukając palcem w postacie na fotografii, to jego koledzy z piaskownicy i lat szkolnych. Mieszkali razem w budynku wzniesionym przez przedwojenny ZUS: w Gdyni, przy ul. Świętojańskiej 139. Spośród gromady rówieśników ci ze zdjęcia tym się wyróżniali, że bardzo się nie lubili. Nie znosili się. Ich wzajemna niechęć była wyjątkowa. Nie taka, jaka zdarza się w tym wieku, że ktoś się z kimś pokłóci, a nawet obłoży pięściami, dąsają się potem, nie rozmawiają, ale mija dzień, dwa i znowu koledzy. Ci dwaj stronili od siebie odkąd pan Ł. pamięta. Nigdy razem nie grali w dwa ognie czy klipy. Nigdy razem nie wybrali się na lemoniadę. Nie wymieniali ze sobą znaczków. Więcej — nikt nigdy nie słyszał, żeby odezwali się do siebie słowem. Ta ich awersja prowadziła do podziałów wśród rówieśników. Do grupy, w której przebywał jeden, nie dołączyłby drugi. Na jabłko do ogrodu Nowackiego, na pachtę wyruszały więc dwie oddzielne paczki, a ich przewodnicy doprowadzali każdą z nich od innej strony płotu i kierowali w inną część ogrodu, żeby nie doszło do zbliżenia. Ci dwaj stroniąc od siebie, zara-

zem rywalizowali z sobą. Obaj mieli cechy przywódcze i być może wszystko wzięło się stąd, że żaden nie zamierzał się podporządkować drugiemu. Ich rodzice żyli w przyjaźni, oni w całkowitej separacji.

W szkole podstawowej, kontynuował pan Ł. wyliczanie oznak niechęci, siadali tak, żeby być jak najdalej od siebie, w czasie przerw zajmowali przeciwległe narożniki korytarza. I to okazało się ponad ich wytrzymałość, więc w szkole średniej zapisali się do różnych klas. Byli wyjątkowo zdolni, przymusi w swoich klasach. Po ukończeniu liceum studiowali w różnych miastach: jeden w Gdańsku, drugi w Warszawie. W czasie wakacji pan Ł. spotykał to jednego, to drugiego. Nie chadzali razem, nie zauważali się, wciąż sobie dalecy, a jednak bliscy — upodobaniami. Ł. widywał ich najczęściej z plecakami. Z rozmowy z jednym, a potem z drugim wynikało, że obaj upodobali sobie alpinistykę, stała się ich życiową pasją.

Potem pan Ł. dłuższy czas ich nie widział ani o nich nie słyszał, gdyż spędził kilka lat poza Gdynią. Po powrocie odwiedził znajomego z czasów młodości. I wówczas otrzymał tę fotografię, na której został utrwalony cud. Cudem było to, że ci dwaj, którzy tak stronili od siebie, stali razem, blisko siebie. Stali spleceni ramionami, z twarzami zwróconymi ku sobie, uśmiechnięci. Znajomy objaśnił panu Ł. jak doszło do tej sceny. Otóż po ukończeniu studiów ci dwaj zakwalifikowali się na wyprawę polarną. Jeden w Warszawie, drugi w Poznaniu, gdzie pracował po studiach. Zaden z nich nie wiedział, że znajdą się w tej samej ekspedycji. Spotkali się na statku, który dowiózł ich do bazy. Nadal unikali się. Ale po pewnym czasie kierownictwo wyprawy, nieświadome awersji, skierowało ich na bardziej jeszcze wysuniętą placówkę — dwuosobową. Skazani na siebie nagle odkryli, że nie ich nie dzieli, a łączy bardzo wiele. Przyjaciele jakich mało — skomentował pan Ł. wpatrzony w gorące postacie usytuowane na tle wiecznej zmarzliny.

Edmund Szczesiak



## ZAPOMINALSKI!

Numer 2 kwartalnika „Pomorze”, pisma Związku Przyjaciół Pomorza, otwiera artykuł Roberta Komkowskiego „Naszej drogi — ciąg dalszy”. Autor wspomina o działalności i ideach założonego 19 września 1935 roku w Warszawie Stowarzyszenia Przyjaciół Pomorza. Mówiąc o okresie powojennym stwierdza, że w tym czasie SPP „nie znalazło warunków do dalszej pracy w dotychczasowej formie organizacyjnej”, a następnie pisze: „Zasła konieczność szukania innych form działania. Postanowiono działać w ramach pokrewnych organizacji społecznych. Najpierw w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich i Północnych, w komisji ekonomicznej, a następnie w Towarzystwie Przyjaciół Gdańska, gdzie w Klubie Przyjaciół Pomorza kontynuowano działalność programową oraz przygotowywano materiały do przejścia w samodzielną organizację. I tak dnia 31 maja 1984 roku powstał Związek Przyjaciół Pomorza...”

Minęło zaledwie siedem lat od czasu, gdy Robert Komkowski przejął pełnię funkcję wieloletniego sekretarza Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Inni członkowie byłego Stowarzyszenia Przyjaciół Pomorza, których wymieniał w artykule, również piastowali ważne funkcje we władzach Zrzeszenia. Czyżby więc R. Komkowski wziął sobie do serca kaszubskie powiedzenie: Wez to w zabët (zapomnienie), a nòdali zańdziesz? (s.j.)

### MİŁOŚNIK PORZĄDKU

Pan R. Nawrocki w liście do „Głosu Wybrzeża” (6.11.87 r.) wyraził niezadowolenie z powodu powołania Klubu Przyjaciół Gdyni przy oddziale Ligi Kobiet w tym mieście, a to „wobec faktu istnie-



nia już Koła Starych Gdynian i Towarzystwa Miłośników Gdyni”. Jego zdaniem „w tej sytuacji słusze byłoby stworzyć jedną organizację np. pod nazwą Towarzystwo Przyjaciół Gdyni i w ramach jego stworzyć sekcje (czy też koła) np. Starych Gdynian, Miłośników Miasta Gdyni, Młodzieży — Przyjaciół Miasta Gdyni itp.”

Pana Nawrockiego nie interesuje, czy Koło Starych Gdynian ma ochotę na trwały związek z Ligą Kobiet. On wie, że w stadzie „łatwiej byłoby uzgadniać i koordynować wszelkie sugestie oraz problemy”. Wielość i różnorodność kolarzów mu się zapewne z rozbijactwem i anarchią, konkurencją — z niepotrzebnym marnowaniem sił. Ujednolicić, uporządkować, połączyć, podporządkować i pokierować ku słusznemu celom. Zdaje się, że ten kurs już przerabialiśmy. I co wyszło? (Sz)

### ILU WAS?

Ostatnią Dekadę Pisarzy Wybrzeża poprzedziła potężna reklama. Gdańskie dzienniki zapowiadały ją jako duże wydarzenie. Apogeum miała stanowić sesja literacka „Pisarz wobec zagrożeń współczesności”. Na miejsce spotkania obrano budowę elektrowni jądrowej w Żarnowcu. „Gospodarze Żarnowca niezwykle starannie przygotowali się do spotkania z ludźmi pióra, chcieli powiedzieć jak najwięcej, chcieli uświadomić najważniejsze. Jednak środowisko gdańskie literatów, z niezrozumiałych powodów, okazało swoją obojętność” — napi-

sała w relacji z sesji Alina Kietrys („Głos Wybrzeża” z 10.11.87 r.), informując, że przybyło 7 pisarzy.

Może powody absencji byłyby bardziej zrozumiałe, gdyby operować przystającym do imprezy określeniem: członkowie gdańskiego oddziału ZLP, gdyż z kręgu tej młodej organizacji, używającej starej nazwy, wywodzą się uczestnicy Dekady od blisko dekady. A — ilu was? (Sz)

### NIEZDECYDOWANY

Jan Piepka, prezes gdańskiego ZLP, jeszcze przed Dekadą Pisarzy Wybrzeża określił swój stosunek do żarnowieckiej budowy: „Gdy niedawno byłem w RFN, protestowano tam mocno przeciw budowie elektrowni jądrowej. Podobne obawy znajdują odzwierciedlenie i u nas. Ale zdajemy sobie chyba sprawę, że bez tych elektrowni nie będziemy mogli iść naprzód” — powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego” (z 6.11.87 r.).

Wygląda na to, że niezdecydowanie (prezes popiera, ale użycie liczby mnogiej oraz partykuły „chyba” świadczy, że ma wątpliwości) wpływa niekorzystnie na postęp pracy nad książką o budowie. „Piszę już trzecią jej redakcję” — zwierzył się. (Sz)

### OPTYMISTA

Rezydent „Trybuny Ludu” w Gdańsku (zw) zakończył swój artykuł pt. „Zatoka Gdańska zaczyna czysto oddychać” („TL” nr 239 z 87 r.) stwierdzeniem, iż „pomoc techniki (...) sprawi, że za dwa lata co drugie z zamkniętych obecnie kąpielisk nadmorskich na Wybrzeżu Wschodnim zapewne będzie w całości dostępne dla plażowej rekreacji”.

Notujemy tę przypowieść, aby przypomnieć ją w 1989 roku.

(J.Kow.)

Kto pamięta ten mecz, który odbył się w Koście-rzynie, w roku...?

Zdjęcie otrzymaliśmy od p. Michała Woronia, który natrafił na nie przeglądając zbiory po zmarłym w 1949 roku fotografie Bernardzie Dol-leiserze („Foto Bałtyk”), przechowywane przez syna mieszkającego w Ciechanowie.





## MOJA PROWINCJA W WASZEJ PROWINCJI

„Persona non grata potrzebna od zaraz” — powiedział redaktor Szczesiak siedząc na pieńku, gdzie przed chwilą jeszcze leżała „Świadomość nadprzyrodzona” Simone Weil. Upiętno już parę godzin od chwili, gdy tropiciel śladów Remusa potknął się o mój szalas na Wdzydzkim Ostrowiu i czas ten spędziliśmy przyjemnie. Co zatem skłoniło go do tej tajemniczej wypowiedzi urągającej zasadom logiki? Podejrzewałem, że dialektyka (sprzeczności motorem postępu, mawiano ongiś) — i nie myliłem się, jak się potem okazało.

— Co pan ma na myśli? — spytałem, szczególnie nacisk kładąc na słowo „pan”.

Redaktor Szczesiak rozlał do szklanek resztki mleka i postawił na pieńku, gdzie przedtem siedział, a jeszcze wcześniej leżała Simone Weil. Tak oto, mając na pieńku, wypiliśmy bruderszaft, kładąc kres słowu, na które położyłem nacisk. Wokół rozkwitały ideały porozumienia, a na ziemi walał się nikomu niepotrzebny korek przekłuty agrafką. W dalekich Dziemianach sapała lokomotywa, lecz nie była to lokomotywa historii. To kolejny transport plaketek Green Peace’u docierał do pobliskiego Borska. Dialektyka wcieliła się, aż nami wstrząsnęło.

Mówiąc niedialektycznie zostałem zaproszony do współpracy z „Pomeranią”. Dzień dobry. Nie pomyśleć sobie Państwo przypadkiem, że jestem jakiś kombatant, gdy powiem, że długo milczałem. Każdy ma swoje prywatne wojny i nie tylko Homer o tym milczy. Zresztą czyż nie jest przyjemnie pomilczeć w dobrym towarzystwie? Cemu jednak, zapyta ktoś (to taki felietonowy zwrot retoryczny), nie odzywałeś się w dobrym towarzystwie? Dlatego otóż, że ja i w dobrym towarzystwie nie powinienem gęby uchylać. Bo albo mi zmysły wypelną na usta, albo powiem coś nie tak o Emilii Plater, lub nawet — niejednokrotnie — dobrego Polaka urażę. Katolika częstokroć. Cóż więc robię w dobrym towarzystwie, jakim jest niewątpliwie „Pomerania”? Dlaczego kłapię klawiszami jak nieproszony, chociaż proszony? To będzie do okazania.

Nie ukrywam, że jestem tutaj obcy i takim pragnę pozostać. Jako piszący. Przyjaźnijmy się w knajpach i salonach, za kratkami i w łóżku, ale literaturę pozostawmy jej własnym emocjom: artystycznym. Nie pakujemy do niej salonowego *savoir-vivre*, ani najszczerzych przyjaźni, ani politycznej gorączki — nie dlatego, że literatura musi być oschła, pozbawiona ciepłych uczuć, elegancji czy polityki, ale że nie może być odbiciem „życia towarzyskiego i uczuciowego”. Musi promieniować własnym życiem. Literatura jest wielkim dyktatorem i nie należy bać się jej totalizmu. Należy raczej przypatrzeć się narodom, które tworząc w swej historii ekstremalne modele literackie, stworzyły jednocześnie w praktyce godne podziwu modele demokracji. Tak więc chociaż jestem człowiekiem subtelnym, genetycznie demokratą i liberałem od kilku pokoleń („jeszcze jeden wysiłek, Francuzi, a staniecie się prawdziwymi republikanami” — powiedział inny liberalny subtelniaczek), proszę uprzejmie o kolumnę (najlepiej piątą), gdzie nie będę się musiał z wami przyjaźnić. Obejdzie się być może bez ekscesów, ale satrapa to będzie niewątpliwa. I nie pytajcie, po co wam ona, mili Pomeranicy. A raczej pytajcie, gdyż i tak odpowiem: po to

samo, co każdej chcącej w dobrym zdrowiu prze-trwać władzy — opozycja. Nie żadna tam wielość w jedności, ale regularny opozycjonista, dywersant ideowy, szyderca i prześmiewca, który jest jednocześnie fanatykiem dialogu. Nie takiego bynajmniej, który zaprowadzi nas na łono porozumienia. Dialog rozumieć jako permanentną wojnę — z epoki przed Clausewitzem, kiedy wojna i polityka nie stanowiły jeszcze wzajemnego przedłużenia. A więc opuśćmy przyłbice!

Jedną rzecz łączy nas niewątpliwie: mieszkamy na prowincji. Na tej kaszubsko-pomorskiej i na tej polskiej. Większość mieszkańców ziemi mieszka na prowincji, a ci mieszkający w centrum szukają gwałtownie swoich prywatnych prowincji, aby nudnemu centralizmowi nadać osobowość (w ramach wielkomiejskiego centrum takimi lokalnymi prowincjami mogą być kawiarnia literacka, cyganeria artystyczna, gmina żydowska, itp.). Ja też mam swoją prowincję w waszej prowincji. Jest to szalas na Wyspie. Z tego być może powodu pragnę w paru najbliższych felietonach zająć się problemem prowincji.

Jest z nią trochę tak, jak z przyczynkarstwem w literaturze. Bywa najwyższego lotu, zdobi i niekiedy przewyższa to, do czego jest przyczynkiem. Tak mają się sprawy z tekstem Wyki o karierze literackiej burzanu (który tylko patrzeć, jak wyrośnie na mojej Prowincji, chociaż podobno wcale go nie ma), czy sporem na temat kołatka (*Anobium pertinax*) w „Dziadach” Mickiewicza. Są przyczynki nadęte aż do doktoratów, jak słynne rozprawy o kiju palantowym, o roli tyżki w wychowaniu przedszkolnym dziecka, czy drodze konia na pastwisku. Albo weźmy przykładowo problem zielarstwa. Nikt normalny nie będzie twierdził, że prace o ziołach są przyczynkarskie, że jest to jakaś „prowincja wiedzy”, itp. Przeciwnie, istnieją w tej dziedzinie prace tak pasjonujące, że zdają się potwierdzać gnostyczne przekonanie, że w każdej części tkwi model całości, że różne drogi prowadzą do Prawdy (drukowane obecnie, z wielkim opóźnieniem w „Literaturze”, Carlosa Castenady „Nauki Don Juana” są dowodem, jak fascynująca w kontekście mistycznej Drogi może być farmakognozja). A jednak można wydawać o ziołach pismo... prowincjonalne. Pomimo szeregu dobrych, fachowych artykułów. Mowa tu o „Wiadomościach Zielarskich”. Cóż nadaje owemu piśmu prowincjonalny ton? Nie regionalizm, gdyż zielarstwo jest doskonale kosmopolityczne. Nie marginesowość wobec nauki, gdyż publikują tam najznakomitsi specjaliści uznani przez międzynarodowy świat naukowy. Nie rozmiękanie się z oczekiwaniami czytelników, gdyż ziołolecznictwo jest bardzo modne; ten fakt pozostaje zresztą bez wpływu na prowincjonalizm pisma, chociaż moda może być źródłem tegoż (vide: „Przekrój”). Więc co? Nie wiem. Może poezja? Zachwycający wiersz zatytułowany „Królowa łąk — wiązówka błotna”? (1986, nr 7—8). Albo „Mniszek lekarski” Wiktora Błaszczyka (1986, nr 5):

Na marginesie chciałbym zaznaczyć  
Ile surowca ginie bez przerwy  
Nie pogłębiajmy dalej kryzysu  
Hej, Towarzysze, tu tkwią rezerwy.

Albo tegoż autora, w dziale „Z działalności Związku”, rubryce „zasłużeni dla zielarstwa” (1986, nr 4):

Długo owoc dojrzewał  
Kilkanaście lat prawie  
Aż wreszcie zwołano  
Zjazd zielarski w Warszawie  
Pamiętamy dokładnie  
Sala ciszą zamiera  
A nasz senior Jankowski  
Zjazd Krajowy otwiera.

Nie, poezja niewinna. Rośliny też. Poezja demaskuje tylko to, co w prozie pozostaje nie zauważone. Tymczasem kończy się miejsce w mojej kolumnie (piątej).

Pamiętaj, Bracie, o prenumeracie.

Włodzimierz Cegłowski





STĘCZNIK  
1988

- 1 RYSZARD CIEMIŃSKI — Ujawnienie pani Marii
- 4 MARIUSZ KULETA — Ostatnia rzeźba
- 6 ERWIN KRUK — Pociąg już odchodzi. *Z mazurskiego brulionu*
- 7 (SZ) — Sami sobie. Na przykładzie Chmielna
- 8 BŁAŻEJ WIERZBOWSKI — Nie wykorzystane możliwości. Samorząd wiejski na Pomorzu dawniej a dziś
- 11 JANUSZ ISKERSKI — W oczach letników
- 14 RAFAŁ NOWAKOWSKI — Na gorącym uczynku
- 16 Czy mówi się po kaszubsku? Ankieta — JÓZEF TRZEBIATOWSKI; ALOJZY NAGEL
- 17 JERZY ŁYSK — \*\*\*
- 17 ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ — Stecki i stegnny. *Stegna*
- 18 Wystawa STO + JEDEN
- 20 ZBIGNIEW JANKOWSKI — Odkrywanie Kaszubej (3)
- 21 KAZIMIERZ NOWOSIELSKI — Rodowód; Obrzydzenie; Rozmowa z ojcem; Obcy; Jestem
- 23 ANNA ŁAJMING — Seweryna (dokończenie)
- 27 EUGENIUSZ GOŁĄBK — Nawrócenie (2)
- 28 BOGUMIŁA CIROCKA — Kaszubska kołysanka usypiająca Włochów
- 29 EUGENIUSZ GOŁĄBK — Słowniczek polsko-kaszubski (4)
- 31 ANDRISÓW GUST — Węjeżdżanie do miasta. *Ze wspomnień (14)*
- 31 MARIA [PAJĄKOWSKA] — Zamiast epitafium
- 32 MARIA KOWALEWSKA — Dochodzenie do prawdy. II Colloquium Gdańskie
- 34 JANUSZ KOWALSKI — Z prasy
- 34 (B.C.) — Kaszubszczyzna — bogactwo czy przeszkoda?
- 36 BOGUMIŁA CIROCKA — „Gedania” skończyła już 65 lat
- 37 Listy
- 38 Klęka
- 41 Dary
- 42 Płóch za uszama
- 44 WŁODZIMIERZ CEGŁOWSKI — Moja prowincja w waszej prowincji. *Persona non grata*
- 46 E. SZ. — Tuchola. *Herby miast pomorskich*

KOLEGIUM I ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Eugeniusz Gołąbk, Stanisław Janke, Jerzy Kiedrowski, Wojciech Kiedrowski (redaktor naczelny), Maria Kowalewska (zastępca sekretarza redakcji), Tadeusz Lipski, Kazimierz Ostrowski, Stanisław Pestka, Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Edmund Puzdrowski, Jerzy Samp, Edmund Szczesiak (zastępca redaktora naczelnego), Jan Wyrowiński  
Redakcja graficzna i techniczna: Elżbieta Zglejc

„Pomeranie” można zaprenumerować bezpośrednio w redakcji lub optać przekazem pocztowym (zaznaczając „prenumerata”) na adres i konto podane obok. Prenumerata roczna 1045 zł, za I, II i IV kwartał po 285 zł, za III kwartał 190 zł.

Indeks 37193      PL ISSN 0238-9045  
Druk Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 2494      F-4      Nakład 4000.

**POMERANIA**

Nr 1 (177)

Rok zał. 1963

WYDAWCA  
Zarząd Główny  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

ADRES REDAKCJI  
Długi Targ 8/10, 80-828 Gdańsk  
tel. 31 36 56

KONTO  
PKO Gdańsk 19510-5890-132



# TUCHOLA

Nieprzyjaciół od dłuższego czasu oblegał miasto. W grodzie odciętym od świata, nękany szturmami, zaczęło brakować żywności, szerzyły się choroby. Klęska wydawała się nieuchronna i rychła. Wówczas to, gdy już stracono wszelkie nadzieje na ocalenie, pojawiła się w nocy na murze obronny św. Małgorzata. Doradziła obleganym, żeby z reszty mąki upiekli chleb i podczas kolejnego szturmego rzucali nim w nieprzyjaciół. Rada okazała się zbawienna. Gdy tylko zaczęto ciskać chlebem, wróg odstąpił od szturmów i oddalił się. Przeciwnik uznał najwiedźniej, iż nie zdoła zdobyć twierdzy, w której jest jeszcze tyle żywności, że mieszkańcy mogą sobie pozwolić na rzucanie w oblegających chlebem.

Tak to, według miejscowego podania zapisanego w kronice magistrackiej, św. Małgorzata ocaliła miasto. Wdzięczni tucholanie obrali ją sobie wówczas za patronkę, a jej wizerunek umieścili w herbie miasta. Widnieje na nim z gołębiem — symbolem pokoju — w prawej ręce i krzyżem — znakiem wiary — w lewej. Jedną z starszych wersji, uwidoczniła na dawnej pieczęci miejskiej, przedstawia postać świętej, u której stóp znajduje się zdeptyany

wał. Scena znamionująca zwycięstwo współbrzmi z podaniem o cudownym ocaleniu.

Podanie milczy, w jakim okresie 700-letnich dziejów miasta jego mieszkańcy znaleźli się w takiej opresji, że aż niezbędna okazała się interwencja pozaziemska, a także kto był wówczas napastnikiem. Można by sądzić, że działo się to podczas wojen szwedzkich w XVII wieku. Tuchola była wówczas wielokrotnie atakowana przez zamorskie wojska. Za pierwszym razem została zdobyta i dopiero wieść o nadciąganiu wojsk polskich przepłoszyła Szwedów. Następne szturmów odpierano dzielnie, co wobec przewagi wroga graniczyło rzeczywiście z cudem. Co prawda w sukurs mieszkańcom grodu przyszedł a to oddziały pod wodzą Jakuba Wejhera, a to partyzanci z okolicznych wsi skrzyknieni przez walecznego młynarza o imieniu Michałko, ale bez męstwa i desperacji samych tucholan nie udało się tyle razy odeprzeć wroga.

Najazdy zniszczyły miasto. Spłonęły przedmieścia. Kwitnący wcześniej gród przemienił się w upadający. Do tego stopnia, że w pochodzącej z tego okresu pieśni wspomina się, iż w Tucholi mieszkają „nędznicy” — w znaczeniu nędzarze. Takie były konsekwencje kilkakrotnych najazdów. Nic więc dziwnego, że utkwiły mocno w pamięci mieszkańców, że ich echa przetrwały w ustnych przekazach. Zarówno te o zniszczeniach, jak i o bohaterskiej postawie obrońców grodu.

W zmaganiach ze Szwedami upatrywano jednak wstawiennictwa innej, ważniejszej od św. Małgorzaty, patronki. Świadczy o tym relacja z pobytu w Tucholi, zamieszczona w pelplińskim „Pielgrzymie”, w nr. 13 z 1875 roku. Anonimowy autor podaje, że w kościele parafialnym w Tucholi znajduje się tablica z wizerunkiem Matki Boskiej. Znaczenie tego obrazu wyjaśnia podpis widniejący pod wizerunkiem:

*Znak obrony twej Panno Matko prawdziwego  
Boga przez wojnę Szweczką całość Miasta tego,  
Któręś od nieprzyjaciół pięćkroć obrotnie  
Od ognia y ruiny znaczny ochroniła,  
Przeło na dziękczynię nas samych w niewola  
Oddajemyć mię w opiece Tucholę.*

Jak świadczy podpis pod dziękczynną pamiątką, nie św. Małgorzacie przypisywano zasługi w obronie miasta przed Szwedami. Jeśli uznać, że w każdej legendzie jest jakieś ziarenko prawdy, można przypuszczać, że ta utrwalona w herbie dotyczy zdarzeń jeszcze wcześniejszych, których już nie ujmuje przekazy historyczne. Ustna tradycja sięga często do pokładów zalegających głębiej niż źródła pisane.

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia próbowano wyrugować św. Małgorzatę z herbu Tucholi. Z takim wnioskiem wystąpiło kilku członków rady miejskiej. Mimo że w tym czasie przewagę w radzie mieli Żydzi i ewangelicy, wniosek nie przeszedł. Większość członków rady była zdania, że nie należy zacierać pięknych tradycji. I tak św. Małgorzata trwa w herbie Tucholi do dziś.

E. SZ.

